











# O CHATE

---



MIKOŁÓW, G.-ŚI.

---

NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KAROLA MIARKI.

[1892]

<http://rcin.org.pl>

90/-30

-95

<http://rcin.org.pl>

Z BARDZKICH ANNA KARWATOWA.

# O CHATEŁ.

POWIEŚĆ OSNUTA NA TLE STOSUNKÓW  
WSPÓŁCZESNYCH.

INSTITUT  
KONSTANTYŃSKICH PANI



1. KCI

w. 1. 1. Nr 72

4 W. 320 wa

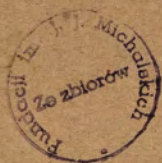
Tel. -68-53, 26-52-31 w. 43

MIKOŁÓW, G.-ŚI.

---

NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KAROLA MIARKI.

<http://rcin.org.pl>





## ROZDZIAŁ I.

Przed białą chatkę, oddaloną o kilkadziesiąt kroków od głównego traktu, zajechała bryka. W tejże samej chwili wybiegł z chaty spory wyrostek ubrany w kurtkę, a ujrawszy, schodzącego z wózka, proboszcza, upadł na kolana. Kapłan piastował Zbawiciela i niósł Go z godnością umierającej kobiecie — matce Walka, gdyż tak chłopakowi było na imię. Proboszcz objął wyrostka wzrokiem pełnym litości, a poważnym ruchem głowy rozkazał drzwi otworzyć. Walek zerwał się na równe nogi i drzwi rozwarł na oścież. W izbie powstał szmer, obecni poklękali, by oddać cześć Panu, umierająca rzuciła bolesne i tęskne spojrzenie w stronę kapłana.

Stara i skurczona Janowa Motkowa, pielęgnująca chorych tej wioski, wzięła za rękę dzieci Piotrowej Dąbkowej (tak się nazywała umierająca) i wyszła z nimi do sionki; tu wzdychając, jęklwym zawodziła głosem:

— Co wy, biedne sieroty, poczniecie, gdy wam Pan Bóg matkę zabierze?

Walek i młodsza od niego Basia spoglądali na nią wystraszonemi oczyma, ale z odcieniem niedo-

wierzenia; bo czyż dzieci zrozumieć zdołają ból i twardy los sierocy, kiedy dotąd opieka matki wszelkie troski od nich oddalała?

Za Janową wyszły do sieni dwie młodsze kobiety, a chora została sama z proboszczem. Po długiej, bardzo długiej chwili, gdy dzwonek się odezwał, wszyscy wrócili do izby; cicho i w pokornej postawie, na klęczkach chwalili Zbawiciela, który pod skromną postacią chleba przychodzi nas wesprzeć i pocieszyć. Oczy Piotrowej błyszczały blaskiem nie tego świata, dusza jej po trudach życia tęskniła do Pana swego, to też pobożnie złożywszy ręce, z najgłębszą wiarą, pełna gorącej ufności w miłosierdzie Boże, przyjęła z rąk kapłana „Chleb anielski — Chleb żywota wiecznego“. Po skończonych modłach, wyciągnęła wychudzoną rękę ku proboszczowi.

— Jegomościu, nie mam nikogo tu z krewniaków — wszyscy pomarli — brat gdzieś przepadł tam, w Ameryce — Jegomość się zmiłuje i będzie ojcem dzieciom moim!

Proboszcz Przyłbicki zafrasował się, spojrzął kłopotliwie na dzieci i pytał:

— Któż jest teraz ich opiekunem?

— Paweł Wróbnik! — odpowiedziała z boku Janowa — ale Paweł, to nie to, co Dobrodziej i Jegomość. — Chora patrzyła wzrokiem tak błagalnym na proboszcza, mając oczy zalane łzami, że zmiękł zupełnie, bo zaczął, bardzo zaczął miał duszę i litosne serce.

Dobrodzieju! — odezwała się znów chora — skoro drobne dzieci matkę tracą, to tracą wszystko! O, dopomóżcie im choć radą!

— Moja pocziwa Piotrowo — rzekł proboszcz poważnie — znacie mię, że nikomu pomocy ni rady nie odmawiam, ale sieroty zupełnie wziąć pod swoją opiekę, to sprawa bardzo trudna i ciężka odpowiedzialność przed Panem Bogiem! Jednak... chcę i będę nad nimi czuwał, chociaż i zdala!

Piotrowa powtórnie sięgnęła po rękę kapłana i przycisnęła ją do ust spieczonych gorączką, wreszcie gasnącemi oczyma szukała dzieci, a skoro je Janowa przyprowadziła do łóża, z trudnością ręce swe złożyła na jasne ich główki i słabym, drżącym głosem przemówiła:

— Dzieci... bądźcie zawsze dobre i uczciwe!... Kochajcie się... i przebaczajcie sobie... a skoro wam źle będzie na świecie... bardzo źle... to pójdziecie do Dobrodzieja po radę! — Tchu zabrakło chorej, po dłuższej przerwie mówiła dalej:

— Pamiętajcie... że ta chata jest wasza! i ta ziemia koło niej też wasza!... Nie wolno wam wyzbyć się tej chaty... ni tej ziemi!... Ona was będzie żywiła!... Ojciec wasz obrabiał tę rolę... tu wasza matka pracowała... i was chowała... tu i wy pracujcie!... — Głowa Piotrowej opadła na poduszki z osłabienia, a proboszcz stał spływające po jego obliczu łzy i odezwał się uroczystym głosem:

— Walek, będziesz dobrym i będziesz pracował?...

— Będę! Dobrodzieju! — odpowiedział chłopiec głosem, w którym przebijało się silne postanowienie.

— Basiu, będziesz grzeczna i pilna? — zwrócił się proboszcz do dziewczeczki.

— Tak... szepnęła Basia i spojrzała wielkimi, szafirowymi jak niebo, oczyma na kapłana.

— Ha, jeżeli tak będzie, jak mówicie, to Pan Bóg was nie opuści, dzieci! No, moja pocziwa Piotrowo, Pan z wami i z dziećmi waszemi!

Tu kapłan nakreślił w powietrzu krzyżyk nad chorą, Walkiem i Basią, i pochwaliwszy Pana Boga, wyszedł. Z pospiechem wskoczył na brykę, bo był prędko i ruchliwy z natury, a przytem jeszcze w średnich latach.

— Ruszaj! — zawołał do siedzącego na koźle woźnicy — dziś sobota, to spieszyć muszę, bo pracy huk! Jutro o dziewiątej zajedziesz, wybieram się z kazaniem do Błędowa.

Chłopak śmignął batem siwki, małe lecz rącze, a bryka wartko potoczyła się po zmarzłej lecz ujeżdżonej drodze. Jechali przez samą wieś, Grzybowo; z jednej i drugiej strony traktu porozrzucane były chaty murowane i drewniane, około nich opłotkami otulone ogródki, stodołki niewielkie, a jeszcze mniejsze stajenki. Proboszcz spozierał w prawo i w lewo, nareszcie wzrok zatrzymał na schludnej chacie, wskazał ją ręką i zapytał:

— Wojciech, wszak to tu Wróblík mieszka?

— A tak, Jegomość.

— Tam dzieci huk, o ile pamiętam?



— Sześcioro, proszę Jegomości.

— A Wróblík, czy dobry gospodarz?

— Ba, i jaki! ale chciwy, a kobietę ma jeszcze chciwszą!

— To i masz! — szepnął proboszcz do siebie i mocniej czapkę wcisnął na uszy, bo i wiatr mroźny dokuczał.

Spory jeszcze kawał jechali przez wieś, nareszcie skręcili około wielkiego, pięknie wybudowanego podwórza i ujrzeli dworek nowy, z oszklonym przedsionkiem, jedną stroną wciśnięty w gąszcz obszernego ogrodu.

Ksiądz proboszcz znów zagadnął swego woźnicę:

— Wojciech, nie wiesz, jak się też tym osadnikom powodzi?

— Dosyć im się dzieje, Jegomości, ale kto nie pracuje, to i nic nie ma! Rychlik, kowal, to człowiek dobry i pracowity, ale taki Adamczyk — pożał się Boże! Pije i pije od rana do nocy a biedna kobieta płacze, a dzieci głód mają — Jezu, Jezu, Jegomości, to za wielka obraza Boża!

— Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy!

— Tak, kara go spotka, Jegomości — bogać nie!

— A nie wiesz, czy państwo z głównego folwarku powrócili z Warszawy?

— Wrócili, Jegomości, wrócili już; wczoraj widziałem woźnicę ich i mówiłem z nim.

Tu proboszcz począł myśleć o p. Kazimierzu Pączkowskim, którego bardzo cenił, bo był szlachetny i dobry dla swoich i obcych, a często osadni-

kom szczerą radą służył, uważając ich jako dzieci swoje, chociaż różnił się od nich starannem wychowaniem i obszernem wykształceniem umysłu. Całe Grzybowo należało kiedyś do niego, lecz przyszły lata chude, nieurodzajne, więc z bólem serca pozbyć się musiał połowy ziemi, którą odziedziczył po ojcu. Nie dał jej jednak cudzoziemcom, bo uważał to za zdradę wobec wiernego ludu i wobec swego ojca, co mu tę glebę zostawił w opiekę. Po długich trudach, rozsprzedał połowę Grzybowa swoim, t. j. braciom kmiotkom, dzieląc ziemię na małe gospodarstwa. Było to wielką pociechą w jego frasunku, że tracąc część gleby, odstępuje ją młodszej braci, mówiącej tym samym językiem, wyznającej równą z nim wiarę i kochającej, jak on, tę ziemię, co go zrodziła i żywiła.

Gdy tak proboszcz sobie rozmyślał, zbliżając się ku domowi, w chacie Piotrowej Dąbkowej było coraz smutniej. Kumoszki poszły już do domu, została tylko Janowa Motkowa i dzieci. Chora, wycieńczona i znużona, zdrzemnęła się na chwilę, lecz nagle, mając duszność w piersiach, zrywała się z pościeli i znów zemdlona padała na poduszki. Chorowała na ciężkie zapalenie płuc — serce miała słabe, więc ciału dłużej służyć nie mogło, zwłaszcza przy takiej dolegliwości. Ku wieczorowi i głos jej uwiązał w gardle, lecz wskazała jeszcze Janowej na skrzynkę, stojącą w kącie za szafą. Staruszka otworzyła ją natychmiast i spostrzegła na wierzchu woreczek z pieniędzmi i dwa krzyżyki, wciągnięte na czarną tasiemkę, a że była domyślna, więc podała przed-

mioty te chorej. Umierająca oddychała ciężko i z trudem szepnęła Motkowej, dotykając się zimną, jak lód, ręką woreczka: — To na opędzenie kosztów mojego pogrzebu!...

Potem czyniąc wysiłek nadludzki prawie w takim osłabieniu, zarzuciła na szyje dzieciom krzyżyki i przygarnęła je do piersi, mówiąc chrapliwym głosem:

— Kochajcie Boga i chatę waszą!

Nagle głowa jej opadła na ramię Walka, a ręce zeszywniały. Janowa usunęła dzieci i zacisnęła umarłej powieki, a będąc z natury czułą, jęła zawodzić:

— Sieroty! Sieroty! cóż z wami się stanie? Dzieci bez matki, to jak kwiaty bez słońca!

Walek i Basia, skuleni na ziemi, szlochali w głos, że trudno było Janowej przesłuchać; a skoro jeszcze dziewczątko drobne z rozpaczą zawołało: „Matulu nie umierajcie!“ — i wyciągnęło rączyny do skostniałej już matki, to taka żałość ogarnęła staruszkę, że przypadła do sierot jak matka i tuliła główki ich jasne do piersi, mówiąc głosem tłumionym i urywanym ze wzruszenia:

— Cicho dzieci, cicho! Matula was opuściła, ale poszła jak dobra duszyczka do raju, do Pana Jezusa i Matki Najświętszej, służyć Jej jako Królowej naszej! Lepiej matuli tam, aniżeli tu na ziemi, a i wam będzie dobrze, bo sierotom Pan Jezus ojcem, a Najczystsza Panienska matką! Cicho dzieci, cicho! Matula tylko śpi, ale żyje w niebie!

Dzieciny płakały długo jeszcze, a wtórował im żalosem wyciem, patrząc pilnie w ich twarze pobladłe, kudłaty ich przyjaciel, pies Wilczek, a nawet rozpieszczony i zaspany kot biały, Czaj, wychylił się z poza przypiecka i gwałtem cisnął się do Basi. Nareszcie dzieci znużone żalem i płaczem, przytuliły się do siebie i zasnęły pod piecem, oparte o ławę. Wilczek położył się przy Walku, a Czaj przy Basi. — W tej chwili zjawiała się na progu postać kobieca, wysoka i chuda, o ostrych rysach twarzy i surowem spojrzeniu; była to żona tutejszego osadnika, Wróblika. Wchodząc, rzuciła bystrem okiem po izbie i machnęła ręką, bo Janowa, ze względu na martwe ciało i śpiące dzieci, nakazała jej milczenie, przykładając palec do ust. Wilczek zawarczał, lecz staruszka uspokoiła go i prosiła Wróblikową o pomoc przy zwłokach. Wróblikowa niechętnie zabrała się do tej czynności, wreszcie pomogła włożyć czystą bieliznę na zgasłą i okryć ją prześcieradłem, ale zrobiwszy to zabierała się zaraz do wyjścia, nie troszcząc się wcale o pozostałe sieroty. Janowa jednakże, zatrzymała ją:

— Tu są pieniądze na żgło <sup>1)</sup>, trumnę i pogrzeb — przeliczyła grosze Wróblikowej.

— A co mnie do tego? Ja tam po trumnę nie pojedę!

— Ale wasz pojedzie, bo jest opiekunem dzieci Piotrowej! Ja bo muszę tu zostać przy sierotach i zmarłej. Oddajcie pieniądze Wróblikowi, niech

---

<sup>1)</sup> Koszuła śmiertelna.



przywiezie perkalu na żgiełko i niebieskie, jak niebo, wstażki do przepaski, bo Piotrowa zawsze mawiała, że tak przybrane chodzą duszyczki błogosławione po śmierci.

— Co ona tam plotła! — sarknęła Wróblikowa, bo złość w sercu już miała, że mąż jej będzie musiał jutro jechać do miasta, zamiast młócić w stodołę. A pilne jej było to młócenie! Potrzebowała pieniędzy na stroje dla najstarszej córki. Za tydzień szykowało się wesele we wsi, u zamożnego gospodarza, a jej Kaśka musi przecież mieć najładniejszą suknię! ha! i przepaskę z jedwabiu, bo taką nosi dworska panienka! W sposób taki rozmyślając, chwyciła Wróblikowa nagle za sakiewkę, nie spojrziała nawet na dzieci, nie zmówiła pacierza za zmarłą, wybiegła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Janowa po jej wyjściu ruszyła ramionami, a dzieci obudziwszy się, z trwogą spoglądały to na łożę matki, oświecone gromnicą, to na starą Janową, przygarbioną dziś więcej niż zwykle. I Wilczek się zerwał i zawarczał ostro, a Czaj zgiął w pałąk krzyż i najeżył sierść. — Janowa zbliżyła się do dzieci, pogłaskała je po ich smutnych twarzyczkach, a różniciejszy ogień na kominie, ugotowała wieczerzę. Potem wzięła dzieci na podwórko, wydoiła krowę, założyła siana kasztankowi, napasła trzodę, a ptactwu rzuciła pszenicy. Tak chodząc po podwórzu i stajniach, ciągle zawodziła:

— Kto tu będzie dalej gospodarzył? Kto będzie krówkę doił, kto orał i siał?

— Ja będę orał i siał! — zawołał Walek z siłą — Matula mówiła, że chata i ziemia jest nasza!

— A ja będę krówkę doila, świnki pasła i kurki chowała! Matula kazała pracować! — odezwała się mała Basia słodkim głosem.

— Dzieci, dzieci, to później, nie teraz! — upominała Motkowa — Ty Walek masz lat dwanaście, a Basia dziesięć — czyż wy możecie już gospodarować? Za młodzi jesteście!

— Ale matula zabroniła nam ziemi tej się wyzbyć; ta ziemia ma nas żywić! — mówił Walek patrząc bystro w oczy staruszki.

— To też skoro dorośniecie, to pogospodarujecie sobie, i ona was będzie żywiła, ta nasza stara, kochana ziemia, ale teraz musi tu rządzić wasz opiekun, stary Wróblík.

— Jezu, Jezu! — jęknął chłopiec, chwytając się rozpaczliwie za głowę.

— Co tak wzdychasz, Walek?

— Wróblíkom chaty nie dam!

— I ja też nie dam! nie dam! — wtórowała Basia.

— Cicho dzieci, cicho, starszych trzeba słuchać. Skoro ks. proboszcz pomyśli o was, to i dobrze będzie, a i Wróblíkwie wam krzywdy nie zrobią.

— Nie dam chaty! — powtarzał bezustannie Walek przyciszonym głosem i zaciskał pięści.

— Nie dam krówki! — wołała Basia drżącymi ustami.

— Dostyc tego! — krzyknęła ostro Janowa, chociaż w duszy cieszyła się, że dzieci do ojcowizny tak przywiązane.

Skoro noc zapadła, a dzieci wśród łkań zmówiły pacierz za matkę, przyszła najbliższa sąsiadka, Andrzejowa Rychlikowa, żona kowala, żeby razem z Janową czuwać w chacie przy zwłokach Piotrowej. Obie kobiety, otuliwszy sieroty w łóżku, usiadły przy kominie, gdzie jeszcze kilka żarzyło się węgla, i poczęły radzić o losie Walka i Basi sądząc, że dzieci dawno posnęły. Basię, młodszą i słabszą, sen dawno przemógł, ale Walek, chociaż drzemał, chciwie ucha nadstawiał, a przy każdej wzmiance o Wróblkach zacinał zęby i ścisnął pięście.

Trzeciego dnia odprawiono w izbie Dąbkowej pustą noc<sup>1)</sup>. Skoro zmrok zapadł, zeszli się ludzie gromadnie i śpiewali żałośnie noc całą otaczając trumnę, połyskując ponurem światłem gromnic. Wiatr dnia tego dał przeraźliwie, szarpał oknami i drzwiami izdebki i gwizdał i jęczał tak przenikliwie, cisnąc się przez najmniejsze szczeliny i otwory, chatki, że aż dreszcze przechodziły obecnych, a tem bardziej smutne i biedne sieroty. Siedziały one znów skulone i przytulone do siebie w kącie izby, a Wilczek i Czaj leżał przy nich. Wilczek nie mógł znieść żałosnego śpiewu, więc począł wyć tak okropnie, że wrażliwa mała Basia zanosila się od płaczu. Cała ta pusta noc, z wichrem szalonym,

---

<sup>1)</sup> Ostatnia noc przed pogrzebem.

z bladym, zimnym ciałem matki, z smętnym śpiewem tych poważnych ludzi, tak straszne na niej zrobiła wrażenie, że Janowa dla uspokojenia jej musiała ją odprowadzić do innej chaty. Za Basią wyniósł się cichaczem Wilczek, stuliwszy ogon. Walek pozostał w chacie, łzy mu płynęły jak groch, ale głowę podniósł w górę, bo zoczył Wróblików.

Nad ranem wprawdzie wichur się zmniejszył, lecz zimno było dokuczliwsze; pomimo to trzeba było ruszyć z pogrzebem, bo proboszcz już czekał, a i dzień czwarty od śmierci Piotrowej mijał, więc ciało musiało pójść do ziemi.

Zajechał też wkrótce przed chatę Wróblik w parę koni, zaprzął kasztana Dąbkowej ze swoim siwkim. — Walka i Basię otuliła Motkowa ciepłymi chustami, kazała im ucałować skostniałe ręce matuli i pociągnęła je ku sobie, bo trumnę już zamykano. I Wróblik też był pomocnym, a w nieuwadze przyskrzypił żgło wiekiem.

— Nie przyciskajcie matuli sukienki! — zawołała łkając Basia — bo ciężko jej będzie podnieść się z trumny!

Wróblik spojrzał ostro w stronę Basi, lecz uniósł wieka, bo i Walek krzyknął przeraźliwie:

— Trzeba z nówek żgło usunąć, żeby matula wygodnie chodzić mogła po tamtym świecie!

— Cicho dzieci, cicho! — uspakajała Motkowa, lecz copędzej sama odgarnęła śmiertelną osłonę z nóg Piotrowej i całą jej śnieżną szatę, i błękitne przepaski ciasniej ułożyła, żeby wiekiem trumny,



nie nie przyskrzynić i dzieciom nowej nie robić przykrości.

Wreszcie wyniesiono zwłoki i złożono je na wozie, wysłanym słomą, a Walkowi i Basi kazano usiąść przy trumnie. Zwolna wóz ruszył z miejsca; lud szedł za ciałem, nucąc „Kto się w opiekę“. Przy figurze św. Jana, w Grzybowie, stanął orszak żałobny na chwilę, tam też największa gromada osadników przyłączyła się do smutnego pochodu. Upłynęło jeszcze chwil kilka, a już sieroty stanęły nad grobem matki, drżąc od wzruszenia i zimna.

Proboszcz, pomimo że z uwagą odmawiał modlitwy, wciąż na sieroty spoglądał, a skoro potem zmarznięte bryłki ziemi, jak grad, z głuchym i straszonym łoskotem posypały się na trumnę Piotrowej, dzieci wybuchły tak rzewliwym płaczem, że i kapłanowi głos zamarł w piersiach. Po krótkiej walce, zaszlochał razem z sierotami, bo i jemu w pamięci stanął ten łzawy, sądny dzień, pogrzeb jego własnej matki! Ocknął się jednak wnet z bólu, widząc, że sieroty sine już od zimna i żalu, i rozkazał krótko:

— Odprawdźcie dzieci do plebanji, a wy, Wróblík, przyjdźcie do mnie.

Skrzywił się na słowa te Wróblík, a jeszcze więcej Wróblíkowa, lecz poszedł, bo proboszcz kazał. Motkowa zabrała dzieci i wcisnęła się z nimi do ciepłej kuchni na plebanji. Tu dano Walkowi i Basi gorącego mleka i posadzono przy piecu. Proboszcz po drugiej stronie domu radził z Wróblikiem:

— Co myślicie uczynić z sierotami, jako opiekun?

— Ha, trzeba je wziąć do siebie! — odparł z niechęcią Wróblík. — Kobieta moja będzie miała około nich dużo zachodu, a i własnych dzieci mam wiele — darmo je żywić nie mogę, Jegomość!

— Wszak one mają chatę i kawał ziemi! Dochód z tego powinien starczyć na ich wyżywienie. Nikt od was nie wymaga, abyście z szkodą własną opiekowali się sierotami. Dobrzeby było, gdybyście chatę i ziemię wydzierżawili komu, a pieniądze za dzierżawę obrócili na utrzymanie i wychowanie dzieci; a może dałoby się też jeszcze coś zaoszczędzić i odłożyć dla sierot?

— Bogać to się da, Jegomość! Drożyzna straszna wszędzie, a któż tam zaraz chatę weźmie i rolę w dzierżawę? Każdy ma swego dosyć! Pewnie to cały ciężar na mnie spadnie, — i dzieci wychować i ziemię obrobić... Dyć to piaseczek lichy i jałowy, to mało tam plonuje... pytanie, czy za to sieroty wyżywię...

— A bójcie się Boga! powinno nawet coś pozostać a na razie trzeba kapitalik, jaki się zbierze za inwentarz po Dąbkowej oddać do Banku Ludowego, żeby sierotom mająteczek urosł.

— A cóż one tam mają? Jezu — tu Wróblík ruszył ramionami. — Krówkę nędzną, kasztanka ślepego na jedno oko, dwa prosiaki i może z dziesięć kur!

— Pewnie mają jeszcze i szafy, stołki, łóżka i gospodarcze i kuchenne sprzęty?

— Dyć to próchno, Jegomość! to bez wartości, a kto dzieci weźmie, musi i sprzęty domowe zabrać,

żeby sieroty miały na czem spać, siedzieć, z czego jeść i gdzie swoje rzeczy pochować.

— No, mój Wróbliku — kończył wreszcie proboszcz z serdecznem ciepłem w głosie — polecam wszystko waszemu sumieniu, i te dzieci i ich gospodarstwo! Wiem, że im krzywdy nie zrobicie! Sami macie dzieci, więc wiecie też, jakie powinny być starania ojcowskie. Przytulcie wraz z żoną sieroty chętnie do waszego ogniska domowego, jak gdyby to były wasze dziatki! Nie brońcie im też przyjść do mnie niekiedy, bo chociaż wy jesteście wobec prawa ich opiekunem, ja nim jestem wobec Pana Boga, jako ich pasterz, i wobec zmarłej, którą dziś pogrzebaliśmy; a wiecie też pewnie, że Dąbkowa umierając, prosiła mnie o opiekę nad dziećmi.

Słyszając słowa te Wróblik, spuścił głowę ku ziemi, zaciał się i nic nie odpowiedział. Proboszcz nie zwracał uwagi na uparte milczenie Wróblika, lecz spieszenie przyprowadził Walka i Basię do opiekuna i nakazał dzieciom szanować i słuchać Wróblika i jego żonę, dzieci ich kochać jak braci i siostry, a raz w miesiąc przychodzić na plebanję. Obdarzywszy potem sieroty obrazkami i piernikami, pożegnał je temi słowy:

— Idźcie z Bogiem, dzieci! przecież jakoś tu będzie... Pan z wami!

Dzieci ucałowawszy ręce proboszcza, wyszły z plebanji pokrzepione na duchu. Do Grzybowa wróciły razem za starą Janową i Wróblikami tym samym wózkiem, na którym wieziono zwłoki matki. Przed chatą Wróblików wóz stanął, a Wróblikowa

zeszła, bo spieszo jej było do gospodarstwa, reszta osób pojechała na podwórko Dąbkowej. Tu Wróblík konie wyprzągl i wprowadził do stajenki, potem zarzucił powróz na kark białej i dobrze utrzymanej krowy, chcąc ją zabrać z sobą. Białucha wyszła wprawdzie z obórki, lecz z podwórza ruszyć nie chciała; spuściła łeb ku ziemi, szarpała i cofała się. Spostrzegłszy ruch nadzwyczajny w podwórku, dzieci poczęły krzyczeć i płakać w głos:

— Jezu! Jezu! krówkę nam bierze! naszą kochaną Białuchę!

Janowa spiesznie zamknęła sierotom ręką usta, lecz niestety Wróblík słyszał już wszystko i wrzasnął:

— Co wam do tego, dzieciaki! Bądźcie rade, że was będę żywił! — Tu z większą jeszcze siłą szarpnął powrozem i powiódł Białuchę w stronę swego gospodarstwa.

Janowa uspakajała dzieci, tłumaczyła, że co opiekun zrobi, to musi być dobrem; lecz one zanadto kochały wszystko, co im zostało po rodzicach, tak, że na razie słów staruszki pojąć nie mogły. Rozpacz ich nie miała granic, gdy po południu wpadli Wróblíkwie z dziećmi, nieprzymierzając jak szarańcza i jęli przenosić sprzęty z chaty Dąbkowej do chaty Wróblíków. Walek błagał i prosił, żeby wszystko w chacie zostało, że on przecież niedługo dorośnie i tu dalej będzie gospodarzył; chłopak wybladły aż upadł na klęczki przed opiekunem. Wróblík obdarzył go w zamian strasznym wzrokiem i huknął jak grom: „głupiś!” — Następnie



z większym jeszcze pospiechem, razem z swemi trzema chłopakami pakował na wóz szafy, łóżka, stoły, beczki i kuchenne sprzęty. Wróblkowa wpadła do komory i gorączkowo wiązała worki z makiem i kaszą, zerwała też kawał tłustego połcia ze ściany i dźwigała go na swoje podwórko.

Sieroty nie mogły znieść tak straszego widoku ogoławania i odzierania tej kochanej i drogiej chaty i całego gospodarstwa; więc łamały z bólu ręczęta, i rzewliwie płakały. Wreszcie zagotowała się krew w Walku, począł pięściami bić wkoło siebie i gwałtem wypychać z chaty dzieci Wróblików. Dwóch mocnych chłopaków, Antek i Jakób, przyskoczyło ku niemu i nuż się bić z Walkiem. Basia widząc Walka w niebezpieczeństwie, poczęła gryźć, jak piesiak młody, zębami synów Wróblika. Powstał hałas i pisk nie do opisanania! Stara Janowa dopadła i rozbroiła dzieci, lecz niestety spostrzegła całe to zajście Wróblkowa, zapieniła się więc od złości, przyskoczyła i zabiła Walka i Basię okrutnie.

— Dla Boga! co robicie?! — upominała zrozpaczona Motkowa, zasłaniając swoją osobą dzieci. — Toć to sieroty! a serce je boli, że wszystko im zabieracie! Matuli już nie mają i tej izby już widzieć nie będą, gdzie rosły i żyły z matką! Miejcież litość, kumoszko!

— Żadne sieroty! to łotry! Dam ja im, dam! — Pięścią wygrażając pobiegła Wróblkowa do klatki drewnianej, gdzie siedziały kury — Basia rzuciła się z krzykiem i odepchnęła Wróblkową, bo w tej klatce siedziały jej ulubione czarnuchy z wielkimi

czubami! Wróblkowa porwała Basię w pół i w zapamiętałym gniewie rzuciła ją za próg chaty, że aż jęknęło w powietrzu i znów zabrała się do pakowania kur do kosza. Ręce jej się trzęsły od złości, usta, pełne piany, wołały:

— To nie dzieci, to wilki drapieżne! A to je wychowała! a niby taka pobożna — — Bić w skórę od rana do wieczora, a jeść im nie dać! a gałgany, a psubraty!

— Cicho stara! — krzyknął Wróblik — to głupie jeszcze! a nie wrzeszcz tak, bo ludzie pomyślą, że krzywdę im robimy.

— Jeno co! — pomyślała sobie Motkowa — bo czyż to się godzi w dzień pogrzebu matki sierotom taki ból sprawiać? Milczała jednak uparcie, tylko ze smutkiem obejrzała się po pustych ścianach izby. — Na ścianie, gdzie stało łóżko Dąbkowej, wisiały jeszcze dwa obrazki, Chrystus w cierniowej koronie i Matka Bolesna; Motkowa zdjawszy je, oddała w ręce Walkowi i Basi, mówiąc łagodnym głosem:

— Obrazki te powiesicie nad waszemi łóżeczkami. — Dzieci przycisnęły do piersi obrazy, jakby zrozumiały, że to najdroższa pamiątka po rodzicach, a stary Wróblik w tej chwili stanął na progu i szorstko rozkazał:

— Wychodzić z chaty! noc zapada, a jeszcze okiennice muszą zamknąć i drzwi pozabijać, żeby złodzieje tu nie weszli.

Słyszając rozkaz ten, sieroty rozpaczliwym wzrokiem objęły puste już kąty i uczepiły się kurczowo

ręki Janowej. Kobięcina wyprowadziła je cała drżąc za próg chatynki i ucałowała, kreśląc krzyżyk nad ich główkami.

— Bierzcie wy nas, chrzestno! — wołały dzieci, patrząc jej błagalnie w oczy.

— Dzieci! — tłumaczyła się drżącym głosem Motkowa — ja nie mogę was wziąć do siebie, za stara jestem, sama potrzebuję łaski i opieki. Uspokójcie się, będzie wam dobrze, ale bądźcie pokorne! Z Leosią przyjdę was odwiedzić.

— A Wilczek, gdzie się podzieje? — pytał cicho Walek.

— A Czaj, gdzie? — wtórowała Basia.

— Jeszcze tam i koty i psy wasze będą pasła! — wrzasnęła Wróblikowa. — Njech Wilczek i Czaj zdychają na śmieciach!

Uspokojone nieco dzieci po słowach tych okrutnych znów zaczęły w głos szlochać. Tu narazie obudziła się litość w Wróbliku, bo chociaż był chciwy i twardy, ale więcej miał serca od żony:

— A cicho, matka! Będziesz się tam z dziećmi upierała! gdzie tyle gęb się naje, to i dla Wilczka i Czaja coś pozostanie!

Pocieszone dzieci wsadziły kota na wóz, a Wilczka pogłaskały z czułością. Widząc pieśczoły te i troskliwość dzieci, Antek roześmiał się na całe gardło, a Wróblikowa ruszała ramionami, pomrukując sobie: „głuptasie“.

Wtem Wróblik podniósł młot w górę i zaczął zabijać gwoźdźmi drzwi chaty. Głuchy huk młota

przypomniał Walkowi i Basi luk grudek, padających na trumnę matki!

— Och! — pomyślał Walek — to dziś były dwa pogrzeby! pogrzeb matuli i pogrzeb chatynki! — Tu nagłym ruchem chwycił się za włosy i wyrwał z nich garść sporą.

— Zwarjował smarkacz! — krzyknęła Wróblikowa.

— Cicho, matka! — zamruczał Wróblik.

To zabijanie drzwi od chaty i jemu miłem nie było! Przypomniał sobie w tej chwili, że i on już stary i słaby, że i na jego dzieci taka bieda przyjść może... i nagle uczuł, że źle sobie postąpił, robiąc taki porządek dziś właśnie, w dniu pogrzebu matki biednych sierot.

Wzruszenie Wróblika było sprawą Opatrzności Bożej, która czuwa nad każdym ptakiem, nawet nad lilją polną, a nie miałaby czuwać nad sierotami, mającemi w sobie duszę nieśmiertelną?

Wróblik miękł coraz bardziej i stał się łagodny jak baranek wobec sierot, a ostry dla żony i dla swoich dzieci.

Wóz znów ruszył z miejsca z sprzętami i węzełkami, a Wróblikowie postępowali za nim, jak przy pogrzebie Dąbkowej dziś rano. Skoro sprzęty poczęto składać przed chatę Wróblików, zapytał się ostro inąż żony:

— Gdzie ustawić łóżko dla Walka i Basi?

— A no przecież nie w izbie, tylko w komorze!

— Tam zimno bardzo!

— Nic im nie będzie!



— To Basię weź do izby; chłopak wytrzymałszy, niech śpi z naszym Jakóbem.

Słyszac rozmowę tę Basia, poczęła błagać ze łzami:

— Ja z Walkiem pójdę do komory!

— A widzisz? Sama tam chce spać — zawołała uradowana Wróblikowa.

— Niech i tak będzie, skoro mała chce — szepnęła Wróblik i wziął szerokie łóżko do komory.

Sieroty ustawiły skrzyneczkę z rzeczami pod okienkiem komory, a obrazki dwa, których z rąk nie wypuściły, powiesiły nad łóżkiem. Ciasno było w komorze, że się obracać nie było można, ale zadowolone były, że miały swój własny, choć mały kątek, gdzie nie tylko same, lecz Wilczek i Czaj przytulić się będą mogli.

Wieczorem wystawiła Wróblikowa na stół dygniącą zupę, ponalewała misy i kazała jeść. Sieroty stały zdaleka i nie śmiały się zabrać do wieczerzy; zlitował się nad nimi Wróblik i podał im miskę i dwie łyżki. Dzieci poszły w najciaśniejszy kącik i jadły niewiele. Do nich przysiadł się ulubieniec pies i kot, patrząc im pilnie w oczy, bo i one głód już uczuły. Raz Wilczek, machając ogonkiem, kładł z niecierpliwością łapkę na ramię Walka, to znów Czaj ocierał się o Basię; wreszcie wskoczył jej na łono, chcąc się prędzej dorwać do misy.

Sześcioro dzieci Wróblików: Kasia, Marta i Róża i trzech chłopców, Antek, Jakób i Władek, siedziało przy stole z rodzicami. Wróblikowa spoglądała raz na swoje dzieci, raz na Dąbkowej sie-

roty, wkońcu zachmurzyła się, widocznie spostrzegła różnicę. Dzieci jej miały rysy grube, pospolite i nieprzyjemne wejrzenie, a sieroty wyglądały przy nich jak paniątka. Walek miał włosy, ciemno-blond, czoło wysokie, spojrzenie bystre i rozumne, twarz pociągłą. Basia była okrąglejsza na buzi, ale ją zdobiła korona z jasnych kędziorów nad czołem, cerę miała świeżą, jak zorza poranna i oczy szafirowe, z odcieniem aksamitu i z niezrównanym wyrazem słodczy.

Po wieczerzy, kazała Wróblikowa Walkowi i Basi myć naczynia; natomiast dziewczęta jej wycinały sobie figle z papieru, a chłopcy strugali kije.

Po skończonej robocie Walek pociągnął za sobą Basię do komory. Tu upadły sieroty na kolana przed obrazami, co dawniej wisiały w ukochanej ich chatce, przed Chrystusem w cierniowej koronie i Matką Bolesną, razem wśród łez zmówiły wieczorne pacierze, ofiarując je za dusze rodziców, i ci-chutko położyły się do łóżka. Wrażenia dnia dzisiejszego zanadto utkwiły sierotom w pamięci, więc zasnąć nie mogły, a i zimno dokuczało im bardzo.

Nieodstępny ich przyjaciel Wilczek wszedł pod łóżko, a Czaj wskoczył na nie i wcisnął się pod róg pierzyny.

Basia leżąc cicho z otwartymi oczyma, przypomniała sobie matkę i w głos płakać zaczęła. Walek zarzucił jej ręce na szyję, przytulił główkę do piersi i mówił słodko:

— Baśka, Baśka! nie płacz! ja cię bardzo będę kochał! i za tatę i za matkę! Patrzaj i Wilczek

i Czaj są przy nas, a jutro zobaczysz swoje czubate kurki i nasze szafy w tej izbie!

— Ale matuli tu nie zobaczę! — jęknęło dziewczątko. Słyszac to Walek, sam zaszlochał.

Rano, spostrzegłszy dzieci swoje szafy w izbie Wróblików ucieszyły im się, jak starym znajomym; potem Basia pobiegła do czubatych kokoszek i napasła je, a Walek dorzucił siana Białusze i kasztankowi. Wilczek i Czaj kręciły się z dziećmi po podwórku. Gniewała cała ta czwórka Wróblikową, więc często pod nosem mruczała: „Jak to się oprowadzają!“

Wreszcie dzieci zniknęły za stajenką i pobiegły w stronę swego gospodarstwa. Tu obeszły wkoło chatę, stodółkę i stajenkę, spróbowwały, czy okiennice i furtki zamknięte i ze łzami w oczach wracały do Wróblików. Wilczek i Czaj ociągały się, chciały tu pozostać. Czaj wskoczył na płot, a Wilczek położył się u furtki, lecz dzieci zabrały je gwałtem z sobą, bo zimno przejmowało aż do szpiku kości.

Odwiedziny te chaty powtarzały się codziennie, najgorsza niepogoda, najcięższy mróz nie odstraszył dzieci od tego. Mówiono już o tem głośno w całej wsi i okolicy; i proboszcz i państwo z głównego folwarku dowiedzieli się już o przywiązaniu dzieci Dąbkowej do swojej małej chaty. Odtąd wszyscy poczeli uważniej spoglądać na Walka i Basię, a dzieci nawięc nie przeczuwały, że mają tak dużo przyjaciół i opiekunów wokoło siebie. Przywiązanie do chaty i ziemi było cnotą u dzieci Dąbkowej.



Starą Janową Motkową wzywano do dworu do pomocy przy pracy, a że staruszka kochała Walka i Basię jak swoje wnuki, stąd też często opowiadała o nich w czeladnicy i pańskiej kuchni. Panny dworskie polubiły bardzo z opowiadań Janowej sieroty, więc kazały i Walkowi i Basi chodzić do ochronki dworskiej. — Panna Michalina, najstarsza i najenergiczniejsza ze wszystkich panien, uczyła samych chłopców, młodsza, panna Irena, miała silny i czysty głos, więc śpiewała cudne pioseneczki z dziećmi, że aż za serce chwytaly, bo to były swojskie i nasze ulubione pieśni. Najmłodsza z panien, Anna, łagodna z natury, uczyła same dziewczątka. — Dzieci Dąbkowej były pilne, więc często dostawały nagrody za naukę; panienki dawały książki z obrazkami, zapaski, chustki, lub inne drobnostki. — Wróblikowa z zazdrością patrzyła, że sieroty są w łasce u dworu; rzadko się coś dostało jej dzieciom, a jeżeli, to najwyżej małej Róży, lub Władkowi, bo najmłodsze dzieci Wróblików były lepsze od starszych.

W trzecią niedzielę śmierci Dąbkowej, odbyło się na wsi wesele. Wróblikowie i Kasia stroili się na nie od rana, wreszcie ostatnia do zielonej sukni, przypięła w pasie szeroką czerwoną jedwabną wstążkę. Basia spostrzegłszy strój Kasi, zawołała gwałtownie:

— To nasza wstążka! wzięłaś ją ze skrzynki matuli!

Wróblikowa zgromiła Basię, Kasia odwróciła głowę śmiejąc się, a mała Róża wydała wszystko.



— No i co takiego?! Kasia otworzyła wczoraj skrzynkę i wzięła!

— Kłamiesz! — krzyknęła w tej chwili Wróblkowa i uderzyła Różę po plecach.

Róża z przerażeniem spojrzała na matkę, a pomimo kary kręciła głową na znak, że mówi prawdę. Miała dobrą zaletę, brzydziła się kłamstwem i pojąć nie mogła, że matka ją bije za prawdę, bo panienki we dworze inaczej uczyły. — Kto szczerą prawdę wypowie — mówiły zawsze panny — łagodniej będzie sądzony.

— Kasia poszła wkrótce na tańce i muzykę; a mała Basia płakała w kącie, bo żal jej było wstążki po matce.

W kilka dni po weselu, sprzedali Wróblkowie niektóre sprzęty Dąbkowej, które im zawadzały w izbie. Sieroty patrzyły zboliałem sercem, jak gracyki ich roznoszono po całej wiosce, a w chacie Wróblków zostało tylko mało pamiątek po matce. — Po sprzedaży tłómaczył się Wróblik przed ludźmi, że pieniędzy za sprzęty użyje na utrzymanie dzieci, bo gotówki nie zostało nic po zmarłej, a dopiero od św. Jana weźmie ziemię Dąbków w dzierżawę.

Minęła wreszcie zima ciężka i przykra dla sierot żyjących pod takimi warunkami. Komora, w której spały, była wilgotna i zimna, lód iskrzył się na ścianach, pożywienie było liche, bielizna i suknie brudne i podarte. Nieraz mała Basia brała igłę do ręki, żeby połatać sobie sukienki, albo spodzienki dla brata, ale co dziesięcioletnie dziecko

działać mogło, łatwo pojąć. — Skoro dzieci spostrzegły, że koszule mają brudne, a Wróblikowa nie myślała o praniu, zabierały się same i prały po kilka godzin, a prały bez mydła, bo pieniędzy na nie nie miały i więcej narozdzierały bielizny, aniżeli wyprały. — Władek i Różia Ignęli do Walka i Basi, to też nieraz dzieci szyły i prały w czworo. Stara Motkowa litowała się często nad sierotami i zabierała ich sukienki i bieliznę do wyporządzenia, lub też w niedzielę przynosiła po kilka bułek z miasta. Wtedy to sieroty biegły do niej jak do matki, całowały po twarzy i rękach z najczulszemi pieśczołkami a staruszka cieszyła im się jak wnukom rodzonym i tuliła do piersi kształtne ich główki. Zwykle, idąc do Walka i Basi, zabierała z sobą śliczną swoją wnuczkę, o piwnych oczach i ciemnych włosach. Dziesięcioletnia Leosia kochała Basię jak siostrę, a Walka jak brata. Basia całowała i ścisłała nieraz Leosię z wielkiej ku niej miłości i z serdecznego swego usposobienia, a Walek uparcie się wpatrywał w wyraziste i tęskne spojrzenie dziewczęcia. Skoro babka obdarzyła Leosię piernikiem i karmelkami, to dziewczątko samo prędzej nie ruszyło słodczy, aż się zobaczyło z Walkiem i Basią, bo koniecznie z niemi musiało się podzielić każdym niedledwie darem. Było coś rozczulającego w miłości tych trojga dziątek: one się kochały jak dzieci jednej matki, one o sobie myślały i wszystkim się z sobą dzieliły, czuwały nad sobą wzajemnie i jedno drugie broniło wobec ludzi i złych języków.

Z wiosną dzień dłuższy i słoneczny pozwalał dzieciom częściej spotykać się z sobą we wsi i nastroczał sposobność do rozmaitych zajęć. Walek, skoro tylko powrócił ze szkoły, biegł zaraz do kowala Rychlika i tam, w kuźni, razem z synem jego, Stefanem, wysmukłym szatynem, pracował pilnie. Obydwaj chłopcy byli w równym wieku i lubili się bardzo, wkrótce też wprawili się nie źle w rzemieśle i nieraz już wyręczał samego kowala. Rychlik, chcąc chłopców, jeszcze więcej zachęcić do pracy, wypłacał im co sobotę po kilkanaście groszy. Walek chował pilnie pieniądze do kufierka, odmawiając sobie wszystkiego, chociaż często głód mu dokuczał i chciałby się posilić choć świeżą bułką albo kawałkiem suchego chleba! Piekarz rozwoził chleb po wsi, pleczywo było świeże i pachnące, Walek ślinkę łykał, ale sobie nic nie kupił, chyba najwyżej dla Leosi i Basi!

I Basia drobnemi rączynami już zarabiać zaczęła. Panienki z dworu brały ją nieraz do ogrodu, do pełenia kwiatników, bo była staranna i uważna. Zarobione grosze wkładała Basia wraz z bratem do skarbonki i cieszyły się dzieci niezmiernie, że uzbierały już parę marek na chatynkę drogą! Zdawało im się zawsze, że chata ich dostanie się wkrótce w obce ręce, że one kiedyś będą musiały ją nabyć, wywalczyć, słowem, wydrzeć z jakichś szpon drapieżnych. Słyszały widocznie rozmowy starszych i zachowały je, mając z natury wrażliwe usposobienie, głęboko w pamięci. Wiedziały też, że bez pleńędzy nic nabyć nie można, często też pytały się

siebie, za co kupimy drogą chatynkę? Czuły, że jedynie pracą i oszczędnością dojdą do celu, więc tem pilniej i skrzętniej pracowały i oszczędzały grosze.

Leosia mała wiedziała, że Walek i Basia zbierają pieniądze na chatę, nieraz mówiła o tem do babki; Motkowa powtórzyła to pannom dworskim, a panny znów zacnemu proboszczowi. Dobra sława dzieci Dąbkowej rosła z dnia na dzień, zjednały już sobie u ludzi wiele przychylności.

Proboszcz często przejeżdżał przez Grzybowo i widział zawsze Walka krzątającego się pilnie po kuźni; kilka razy kazał nawet woźnicy przystanąć i przywołać kowala Rychlika, a skoro tenże Walka pochwalił, wciskał i proboszcz po kilka groszy w dłoń chłopca, jako nagrodę za pilność. — Pewnego dnia spostrzegł Walek, że jednej okiennicy, niema przy ukochanej chatce i kilka drażków z opłotków. — Co tu robić? — pomyślał i zastanowił się — kto może być tym złodziejem? Trzeba go przypilnować! Może w nocy uda mi się wyśledzić! — pomyślał sobie.

Ponieważ wiedział, że jest za słaby, żeby mógł sam pójść na czaty, więc namówił się ze Stefanem Rychlikiem, który znacznie był silniejszy od niego. Dwaj chłopcy późno wieczorem schowali się w stajence i czyhali cierpliwie na złodzieja.

Gdy noc zapadła nad wioską i światełka pogasły, chłopcy, pilnie nadstawiając uszu, usłyszeli jakiś szmer około chaty i odgłos zbliżających się kroków. Wkrótce nastąpiło lekkie uderzenie o płot i słyhać było, jak drażek usunął się na ziemię. Wa-



lek i Stefan zatrzymali z początku oddech w piersiach, chcąc zrozumieć każde poruszenie złodzieja, potem cichaczem wyszli ze stajenki i zbliżali się w stronę szmeru. Noc była wprawdzie ciemna, lecz gwiazdy wychyliły się z poza chmur i dostatecznie oświeciły świat, tak, że o kilka kroków rozpoznać można było każdą osobę. Stefan i Walek biec chcieli, żeby zastąpić drogę złodziejowi, lecz nagle stanęli jak skamienieli. Tym złodziejem był Wróblík!

— A to łotr! Czy to jemu potrzeba sieroty okradać, wszystkiego mając pod dostatkiem!

Chłopcy cofnęli się i tyłami wrócili do chaty, niespostrzeżeni przez nikogo. Walek nie spał przez całą noc, a w myśli ciągle sobie powtarzał: Wszystko pokradną! wszystko zabiorą!

Stefan odtąd więcej zwracał uwagi na chatkę Dąbkowej, bo bardzo przywiązał się do Walka i siostrzyczki jego, małej Basi. — Och, ona patrzyła tak słodko na niego, a oczy miała cude, jak niebo! — myślał nieraz, bijąc młotem w kuźni.

Zaraz po owej nocy, którą spędził na czatach, opowiedział Stefan ojcu swemu, co widział przy chatce. Rychlik, spostrzegłszy następnego rana Wróblíka, zatrzymał go przed kuźnią:

— A co tam słychać, kumotrze? — zagadnął opiekuna sierot.

— A no, nic nowego! Pracuję ciężko na swoje dzieci i dzieci Dąbkowej! — odparł szorstko Wróblík.

— Pewnie za darmo sierot nie żywicie?

— Jeno co! alboż one jaki dochód mają? Żadnego! dzierżawę jeszcze muszę płacić i tyle! A ziemia nic nie wydaje, bo za jałowa, a do połowy piasek!

— A widzieliście, że płot wam rozkradają około chaty Dąbkowej?

— Ktoby go tam brał! Próchno jest! —

— Powiadam wam, że płot kradną, choć próchno, chciwemu, to wszystko dobre!

— Niema na co się łakomić! — Tu Wróblík machnął ręką i poszedł, ale w duszy myślał:

— Ha! już spostrzegli! opiekuni! opiekuni! Co człowiek z tej wioski, to opiekun Walka i Basi! To ta wiedźma Motkowa wszystkiego nawarzyła, ona zawsze dziwy opowiada o tych dzieciakach, a to dzieci takie, jak każde inne!

Tak sam z sobą rozmawiając, poszedł Wróblík chmurny w pole. Tu pierwszy nawinał mu się parobek, a że pług źle prowadził, więc go sfukał i okrutnie zbił kijem. Złość swoją koniecznie musiał wylać na kimś, tem bardziej, że i sumienie dręczyło go nieraz, nie dając mu spokoju. Chciwość była u Wróblíka silniejszą, niż czujność sumienia, wybujała ona wielkim chwastem i tłumila w nim wszystkie cnoty, które nieraz budziły się i kielkowały, ale prawdziwie nie zakwitły nigdy.

Po roku, Wróblík narzekał do proboszcza, że 'dzierżawy z osady Dąbkowej wygospodarować nie może, że będzie musiał na swoją rękę wydzierżawić chatę i rolę komu innemu. Proboszcz zgodził się na zmianę, lecz bardzo niechętnie.

Chytry Wróblík chciał koniecznie zarobić, a sieroty na tem cierpiały. Wszystko urządził w największej tajemnicy przed ludźmi; nowy dzierżawca płacił mu o wiele więcej, niż wynosiła dzierżawa, którą zobowiązał się dać dzieciom. Przytem tłómaczył się każdemu, że dzierżawa rozchodzi się na utrzymanie i ubranie dzieci, Walka i Basi. Dzierżawcę, Śuma, umiał sobie ująć od razu; obiecując mu na wstępie wkrótce sprzedać całą osadę jaknajtaniej, byleby milczał o całej ugodzie, zawartej między nimi, jak kamień grobowy!

Czas niszczy wszystko, więc i w drewnianej chatce sierot, porobiły się szczeliny i dosyć znaczne otwory. Spostrzegłszy to Walek i Basia, zabrali się zaraz do naprawy ukochanej chatynki. Znalazły gdzieś pod dachem stajenki kilka odpadków od desek, więc dalejże znosić coprędzej i przybijać łaty na otwory w chacie.

Zastał dzieci przy tej robocie Wróblík i wrzasnął ze złości:

— A co wy tu, gałgany, chcecie?! Marsz do domu!

— Chatka się psuje, przyjdzie wiatr, to i gorszych dziur narobi! — tłómaczył się spokojnie Walek.

— Głupiś z twoją chatą! Djabli i tak ją nie długo wezmą!

— Matka Najświętsza nie da jej wziąć! — mówiła z płaczem Basia.

— I ty już dziwy prawisz?! Patrzajcie ją!

Dzieci pomimo ostrych słów, nie przeszkadzały sobie wcale w robocie i zabijały szczeliny dalej.

— A skąd macie te łaty? — Pewnie zabrałyście je z mojego podwórka?

— Uchowaj nas Boże! — zawołał Walek — znaleźliśmy je tam, na naszej stajence, a gwoździ narobiłem sobie w kuźni, Rychlik mi pozwolił.

Nadszedł w tej chwili i nowy dzierżawca, Sum, przyglądał się dzieciom długo i litość go wzięła nad sierotami:

— Dajcież im pokój, Wróbliku, niechżeż się bawią, dopóki chata ich własnością.

— Zawsze będzie naszą! — zawołał Walek z siłą.

— A masz pieniądze na zapłacenie długów? — pytał go Wróblik, piniąc się od złości.

— Nie mam, lecz chcę zarobić!

— I ja zarobię! — wołała Basia, a słowa jej pełne były szczerzej chęci.

— Niedoczekanie wasze! — mruknął Wróblik i poszedł.

Walek posmutniał i począł narzekać na twarde sierocą dołę.

— Zobaczysz, zabiorą nam chatynkę!

— Boże mój, Boże! — szeptała ze smutkiem Basia, załamując ręczęta.

Z płaczem poszły sieroty do Motkowej na pociechę i opowiedziały jej całą rozmowę z opiekunem. Staruszka przy sposobności wspomniała o tem, co słyszała, ks. proboszczowi.



W najbliższą niedzielę zacny kapłan kazał zaraz przywołać Wróblika do siebie i pytał się o sprawy majątkowe sierot.

— Ciężko, ciężko, Jegomość! — stękał Wróblik, dużo trzeba wkładać w budynki.

— Ależ, mój Wróbliku, toć wy tam nic nie robicie przy budynkach! Wszędzie szczelin pełno, dachy popsute!

— Robię wiele, bardzo wiele, Jegomość, ale i tego za mało! Przyjdzie to grubo płacić za wszystkie naprawy, a w roku przyszłym, to już nie wiem, czy starczymy pieniędzmi, a w dodatku mamy jeszcze inny kłopot. Za kilka miesięcy trzeba spłacić parę set długu bankowi!

— O, mój Boże! — jęknął proboszcz — Ocalcież tę chatę i ziemię dzieciom, boć one tej straty chyba nie przeżyją!

— Muszą, Jegomość! muszą! Człowiek wiele znieść może! — pokiwał głową Wróblik i zabrał się do wyjścia.

Proboszcz zamyślił się głęboko i postanowił przekonać się sam o długach, ciężących na majątku sierot. Przypomniał sobie, że Walek kończy już rok czternasty, a Basia dwunasty. Basia, chociaż o dwa lata młodsza, nad wiek była roztropna, więc kapłan umyślił brata i siostrę razem przyjąć do Stołu Pańskiego.

Dwór chciał sierotom sprawić przyjemność, a zarazem ułatwić zacnemu kapłanowi przysposobienie Walka i Basi do pierwszej Spowiedzi świętej, tembardziej że w chacie Wróblików dzieci nie

miały dobrego przykładu i nieraz słyszały kłamstwa i kłatwy. Panny ze dworu poszły więc do Wróblików, wytłómaczyły całą sprawę i zabrały sieroty z sobą, na ostatnie trzy tygodnie przed przyjęciem do Sakramentów świętych. Panna Michalina przyuczała dzieci katechizmu, roztrząsała im sumienie, a dwie młodsze panny szyły sukienkę dla Basi i bieliznę dla Walka. Dzieci przebywając we dworze, odetchnęły, czuły się jak w raju i pojęły, że życie może być o wiele miłsze, spokojniejsze, świętobliwsze, chociaż przy pracy ciężkiej, byleby tylko człowiek sam zechciał! Tu we dworze wszyscy pracowali od rana, i pan się krzątał i pani, i dzieci ich i służba! a tak było cicho, spokojnie, żadnej obrazy Bożej! Nie słyszały tu ani przekleństw, jak w chacie Wróblików, ani kłótni, ani kłamstw!

— O, jak tu dobrze! Baśka! — mówił zawsze wieczorem Walek, całując siostrę na dobranoc. — Kiedyś, skoro zdobędziemy naszą chatynkę, i my tak w niej żyć będziemy!

— O tak, Walek, tak żyć nam trzeba! — szepotało dziewczę i z błogą tą myślą, pełne dobrych chęci usypiało smacznie pod dachem spokojnego dworu.

Wróblikowa niechętnie powierzyła dzieci Dąbkowej dworowi, ale zastanowiwszy się, że grosza przez zmianę tę zaoszczędzi, uspokoiła się zupełnie i nawet z tego była zadowolona. Raz tylko odezwiała się z goryczą w głosie do Władka i Róży, skoro dzieci jej tęsknić poczęły za Walkiem i Basią:

— Ha! was tam nie wezmą do dworu! Czegóż się o nich pytacie? Wszędzie mają opiekunów pełno! Jeszcze i wy ich kochajcie!

— Matko, kiedy mnie tęskno za Walkiem i Basią — odezwał się nieśmiało Władek.

— I mnie też — dodała Róża.

— Patrzcie no! — krzyknęła Wróblikowa, grożąc pięścią dzieciom — patrzcie no, dzieciary! dam wam tęsknotę.

Nie czekając, aż matka im zechce dać dobitniejszy wyraz swemu gniewowi, uciekły dzieci do ogrodu.

Zbliżył się nareszcie uroczysty dzień w parafji, dzień przystąpienia niewinnych dzieci po raz pierwszy do Stołu Pańskiego. Dzieci korzyły się już w sobotę rano wobec swego Stwórcy i Zbawiciela przy konfesjonale; a wieczorem tegoż samego wieczora przybrano gustownie kościół w Wierzbowie w zieleń i kwiaty, przysłane ze dworu grzybowskiego. W niedzielę, wprowadzono dzieci w uroczystej procesji do domu Bożego. Wałek, przybrany w strój czarny, z kokardką białą z wstążki u kurtki, postępował na czele chłopców; Basia w bieli, z wiankiem i welonem na jasnych kędziorach, szła pierwsza z dziewcząt. Dziwnie pięknie wyglądały dnia tego sieroty Dąbkowej! Sieroctwo nadało ich twarzom wyraz smutku i powagi, a spokój duszy i wewnętrzne szczęście wyryło na nich ślady świętości, łagodności i słodyczy. Po nabożeństwie, zabrały panny sieroty na groby rodziców, przystrojone dziś umyślnie świeżemi kwiatami.

Panna Michalina przemówiła do nich poważnym, lecz łagodnym głosem:

— Módlcie się gorąco, dzieci, za dusze rodziców waszych, a proście też i rodziców, żeby wam błogosławili z tamtego świata na dalszą drogę życia tego, abyście kiedyś szczęśliwie żyły i pobożnie umierały w ukochanej waszej chatynce!

Słyszając słowa te Walek, zatrząsł się cały od płaczu, ale prędko zapanował nad sobą i tylko łzy ciche płynęły po twarzy jego. Basia nie mogła się uspokoić, więc szlochała na głos.

Następnie sieroty ucałowały groby rodziców i poszły najpierw z pannami na plebanję, gdzie zacny proboszcz obdarzył je pamiątkami, a potem wróciły do dworu grzybowskiego. Panna Michalina w swoim pokoju podejmowała Walka i Basię; tutaj znalazły uszczęśliwione dzieci na uwieńczonym stole rozmaite upominki, owoce, cukierki i ciasta. Przejęte prawdziwą wdzięcznością, całowały ręce swych dobrodziejek, które widząc uznanie i zrozumienie w sercach dzieci, patrzyły na nie z miłością i ocierały skrycie łzy.

Dzieci powróciły dnia następnego do chaty opiekuna, a że Wróblikom nie ufały, więc zajrzały zaraz do skarbonki, będącej w skrzynce. Niestety! tu ból straszny ścisnął ich serce — skarbonka była pusta! Poczęły więc zawodzić w głos! Wróblík, słysząc płacz ów żaloszny, przyszedł pytać o przyczynę. Z otwartością dobrych dzieci, wyznały mu, że z wielkim trudem uzbierały już dziesięć marek



ra chatynkę drogą, a ktoś nielitościwy zabrał ich skarb cały!

Wróblík zatrząsł się z gniewu i wrzasnął:

— Gałgany! Ja was żywię za darmo, a wy pieniądze chowacie? A może powiecie, że to ja wam grosze zabrałem.

— Nic nie powiemy na was, chrzestny — mówił Walek przez łyzy — ale jednak ktoś pieniądze te wziął!

W tejże chwili wszedł Antek do izby, co widząc Wilczek, zawarczał, przypadł ostro i ukąsił go w nogę.

— A bies! — krzyknął chłopak, unosząc w górę nogę — ciągle mię gryzie, ale dam ja mu, niech jeszcze raz spróbuje!

Walek patrzył oczyma pełnemi zdziwienia na zajście z psem, bo Wilczek dawniej nikogo nie naruszył z Wróblików. Przy sposobności wygadała się też Róża, że kiedyś Antek coś szukał pod łóżkiem Walka i odtąd pies warczy i gryzie jej brata.

— Nic innego — mówił Walek cicho do Basi, skoro dzieci zostały same w komorze — Antek wziął pieniądze, a wierny Wilczek bronił skrzynki.

— Pewnie, że tak było! Oj Walku; szkoda naszych groszy, mielibyśmy już coś na chatynkę! — i znów Basia łyzy roniła.

— Trzeba nam teraz jeszcze pilniej pracować, żeby się szkoda nagrodziła! Nie płacz już, Basiu, to już nic nie pomoże, — uspakajał Walek siostrę, lecz sam tej nocy oka nie zmrużył.

W najbliższą niedzielę poszły sieroty do kościoła, a gdy wróciły, nowa je czekała boleść. Nie widząc Wilczka, z bijącym sercem szukały go wszędzie, wreszcie zajrzały i pod łóżko w komorze. Okropny przedstawił im się widok: Wilczek leżał zбитy, pokaleczony, poszarpany, martwy w kałuży krwi! Dzieci stały nad nim z załamanemi rękoma i płakały długo, nie mówiąc słowa. Komuż miały się w tej chwili uskarżyć? Zresztą obiecały Panu Bogu uroczyście poprawę, więc chciały być pokorne i cierpliwe w znoszeniu przykrości.

Antek spoglądał z ukosa na Walka i Basię i śmiał się szyderczo:

— No, sprawicie mu teraz suty pogrzeb?!

Kpinom Antka wtórowała Marta z Jakóbem, tylko Róża i Władek smutnie pospuszczali głowy. Widząc ich zaszępienie Wróblikowa, krzyknęła chrapliwym głosem:

— A co wam to trznadle? Czy i wy będziecie szlochać nad Wilczkiem?

Po południu przyszła mała Leosia do Basi, a Stefan do Walka. Dzieci owinęły cichaczem Wilczka w stary miech i zniosły pod chatę matuli. Towarzyszył im Stefan z Leosią, i Władek z Różą. Walek wykopał dół przed chatą, wyłożył go kawałkami cegły i spuścił doń Wilczka, a na pamiętkę zasadził w miejscu tem krzaczek bzu, który wydobyl z pod płota. Przy robocie tej zastała go Sumowa, ale widząc splakane twarze dzieci, udała, że sierot nie widzi. Zaraz potem wróciły dzieci do domu, bo bały się gniewu Wróblików, a Różę

i Władka prosiły, żeby o pogrzebaniu Wilczka nikomu nie wspominały.

Smutne było życie sierot u Wróblików, cała wieś mówiła o tem głośno, a po twarzach Walka i Basi i całej ich postaci znać było, że cierpią głód i są pozbawione warunków, potrzebnych do należytego rozwijania się; brakowało im pokarmu pożywneho, czystej odzieży, ciepła w komorze, zdrowego i czystego powietrza, zwłaszcza zimą. Proboszcz frasował się, widząc blade twarze dzieci; dwór nieraz żywił sieroty potajemnie i radził stanowczo odebrać je Wróblikom, a chociażby tylko dla samego złego przykładu, który miały w chacie opiekuna. Antek i Kasia przesiadywali całe noce na zabawach w gospodzie, a rano hardo odpowiadali ojcu, skoro ich napominał.

— Tak wlokło się życie sierot blisko rok jeszcze, aż wreszcie drobny wypadek, lecz dla dzieci Dąbkowej bardzo bolesny, spowodził je na inne tory.

Otóż Czaj, źle żywiony, rzucił się na ptactwo Wróblikowej i udusił jej dwa spore kurczęta. Marta pochwyciła w gniewie kota i zbiła bez miłosierdzia, a Wróblikowa, mściwej natury, zadzierżgnęła mu sznur na karku i powiesiła na drzewie w podwórku. — Skoro Walek przyszedł na obiad od kowala, gdzie już całemi dniami pracował a Basia wróciła ze szkoły, rozszedł się w osadzie rozpaczliwy płacz dzieci. Basia szlochała w głos, a Walek lży ronił bezwiednie, a pięści z gniewu zaciskał:

— Ostatnie nasze zwierzątko zabili Wróblikowie! — tak skarżył się sam sobie w duszy. — Białucha dawno już sprzedana, kasztanka Wróblik zajeździł, a czubate kurki zjedli w rosole! Ani śladu niema dawniejszego gospodarstwa w chatynce matczynej!

Dzieci przypomniały sobie wszystkie krzywdy, wyrządzone im przez opiekuna, jego żonę i dzieci ich i poczęły utyskiwać rozzwierającym serce głosem. Wróblikowa nie posiadała się ze złości, słysząc ten lament sierot; nuż więc okładać je pierwszym lepszym kijem, który wpadł w jej dłoń. Kij był gruby i sękaty, stąd każde uderzenie było nader bolesne, a kaleczyło głęboko ciało. Krew zalała czoło Walka, Basia zemdliała z bólu, a plecy miała sine od razów jej wymierzonych. Na szczęście wpadł Wróblik do chaty, a widząc żonę, bijącą bez upamiętania, odepchnął ją gwałtownie od dzieci i huknął głosem piorunującym:

— Szalona! co robisz? Do więzienia się dostaniesz! — Na słowa te Wróblikowa szeroko rozwarła oczy błędne zupełnie, bo gniew odebrał jej przytomność i chciała coś powiedzieć, lecz piana zatamowała jej usta. Wtem zaturkotało; przed chatą stanęła bryczka, a wkrótce w progu izby ukazał się ks. proboszcz. Zbladł Wróblik na widok kapłana, Wróblikowa oprzytomniała, a Walek rzucił się do nóg proboszczowi żałośnie zawodząc:

— Ratujcie! Dobrodzieju! zabijają nas! Basia ledwie żyje!



Proboszcz badawczem spojrzeniem obrzucił osoby w izbie się znajdujące, a widząc straszną krzywdę sierot — skamieniał! Po długiej dopiero chwili odzyskał spokój i kilka ostrych rzucił słów:

— Łotry! Włóżyc mi Basię na wózek! Walek, siadaj!

Wróblík przypadł z pokorą do kolan ks. proboszcza, całował go po rękę tłómacząc żonę, że Czaj wielką jej szkodę wyrządził. Nie poskutkowały jednak prośby, Marta musiała Basię wsadzić do bryczki, a Walek sam do niej wskoczył z ochotą.

Proboszcz zawiózł dzieci do dworu, prosząc o chwilową dla nich opiekę. Państwo Pączkowcy przerazili się widokiem sierot, pokaleczonych i skrwawionych. Basię trzeba zaraz było kłaść do łóżka i robić jej zimne okłady na miejsca sine, a Wal-kowi przemywać rany na głowie.

Wieś cała była oburzona do najwyższego stopnia okrucieństwem Wróblików, potajemnie nawet poszły skargi do prokuratora. Odezwało się sumienie w ludziach i poczucie sprawiedliwości. Pan Pączkowski i ksiądz proboszcz chcieli sprawę załagodzić, ze względu na drobne jeszcze dzieci Wróblików, ale kara pomimo to spotkała winowajczynię. Musiała odsiedzieć kilka tygodni w więzieniu za uszkodzenie cielesne sierot, a była to jeszcze kara bardzo łagodna, gdyż zwykle kara większa spotyka osoby nadużywające swych praw w tym względzie.

Wróblika śledzono także na każdym kroku, bo wieś cała wiedziała, że bogacił się krzywdą sierot. Ostatecznie przyszło i do tego, że miał zdać szcze-

głowy rachunek z opieki nad dziećmi Dąbkowej. Wróblík chytry i przebiegły z natury, umiał tak wytłómaczyć każde swoje postępowanie w sprawach majątkowych sierot wobec sądu, że nic mu nie było można zarzucić! W głębi duszy czuł jednak ciężkie wyrzuty sumienia, a pomimo to korzystał z grosza sierot coraz to więcej, bo chciwości opanować nie umiał. — Wieś żądała i upominała się, żeby Wróblíkowi wogóle odebrano opiekę nad Basią i Walkiem. Pogłoska ta doszła już nawet do uszu chytrego człowieka, postanowił więc czemprędzej załatwić się z dzierżawcą swoim, Sumem, w umówionej sprawie, żeby, w razie pozbycia się opieki, nie wyjść bez upragnionego zysku. Zabrał się też zaraz do wyjaśnienia sądowi i ludziom, że chatę musi sprzedać, bo wielkie ma wypłaty i znaczne reperacje budynków, a pieniędzy znikąd dostać nie może. Tłómaczył dobitnie wszystkim, że sprzedaż osady korzystniejsza o wiele dla sierot, niż dzierżawa, bo przynajmniej im cokolwiek grosza zostanie i dopiął tego, co pragnął! Wkrótce Sum został właścicielem chaty, a Wróblík w Banku Ludowym złożył dla sierot 300 marek, a drugie 300 skrycie zarobił, jako nagrodę za niską cenę chaty i ziemi, którą powinien był opiekować się sumiennie.

Właśnie któregoś dnia, nad wieczorem, gdy pieniądze zarobione liczył potajemnie i chował do skrzynki, doleciał do uszu jego przez otwarte okno głos z drogi:

— Krzywdę ludzką Pan Bóg dziesięć razy wytrąci! a gorzej jeszcze krzywdę sierot!

Drgnął słysząc słowa te Wróblík, i ostro spoj-  
rzał ku drodze. Koło chaty przechodziła stara Mot-  
kowa i Rychlikowa, rozmawiając z sobą.

— Wiedźma stara! — syknął Wróblík i splu-  
nął, jakby się bał czarów, a w istocie lękał się tylko  
swego sumienia, które mu już nieraz spać nie  
dawało.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

Basia odtąd chowała się we dworze, posługi-  
wała pannom, a panny w zamian kształciły jej  
umysł i przyuczały do praktycznych zajęć.

Walek pracował ze Stefanem Rychlikiem w naj-  
bliższem mieście, w fabryce i zarabiał miesięcznie  
po kilka marek. Przed pójściem do fabryki, obszedł  
ukochaną swoją chatę trzykrotnie razem z Basią,  
patrzył na nią długo zadumany, nagle rzucił się  
siostrze na szyję, a tłumiąc łzy gorące, zawołał:

— Baśko, zobaczysz, ta chata droga prze-  
padnie nam!

Basia rozplakała się, lecz na pociechę mó-  
wiła bratu:

— To ją odkupimy!

— Za co? — jęknął chłopiec.

— Trzeba pracować, trzeba się uczyć!

— Tak, pracować i uczyć się! — zawołał Wa-  
lek stanowczo, a smętne oczy swoje wznosił  
w niebo, jakby przysięgał Stwórcy, że chce praco-

wać i uczyć się, by tylko móc wywalczyć tę chatę i ziemię z powrotem!

Państwo Pączkowsy i ks. proboszcz chcieli wszystkimi siłami zachować osadę dla dzieci Dąbkowej, żeby przez stratę jej nie dorzucić nowej boleści do sieroczej ich doli, ale Wróblík tak umiejętnie sprawą kierował i tak dobitnie i szczegółowo rzecz całą przedstawiał, że ostatecznie każdy wołał sierotom kiedyś, w przyszłości, dopomóc do chleba, aniżeli teraz tracić pieniądze na utrzymanie rozpadających się budynków i zaniedbanej ziemi.

Dłuższy czas tajono przed sierotami sprzedaż chaty i gleby, wreszcie wygadano się z tem w czeladnicy dworskiej.

Basia załamała ręce na straszną tę wiadomość, słów jej i łez zabrakło! Stała długo jak posąg boleści, cała skamieniała, nagle chwyciła się oburącz za głowę i biegła jak szalona! Powstrzymano ją gwałtem i uspakajano. Panny dworskie wlewały w jej serce pociechę gorącemi słowy i obsypywały ją różnemi podarkami. Nic jej nie cieszyło, nic nie widziała, czuła niewysłowioną boleść. Po długiej, bardzo długiej chwili, puściły się jej łzy wielkie z szafirowych ócz i ulżyły sercu, ściśniętemu strasznym żalem. Zaraz rano napisała Basia list do Walka, prosząc go, żeby przybył do proboszcza dowiedzieć się coś pewnego o chacie. Walek, odebrawszy list od Basi, nie zmrużył oka noc całą, smutne przeczucie dręczyło go, a że nazajutrz przypadła niedziela i wolny był od zajęć, pospieszył o świcie do Wierzbowa.



Zacny proboszcz, zobaczywszy chłopca bladego i wystraszonego, utkwil weń oczy współczucia.

— Walku — rzekł żalonym głosem — muszę ci smutną wiadomość powtórzyć — chatka wasza sprzedana!

— Sprzedana! — jęknął Walek i zbladł jak chusta, utkwivszy wzrok w sufit. — Sprzedana!... sprzedana!... — powtarzał bezprzytomnie, a wzrok stał się błędny.

— Walku! bądź rozumny! — rzekł proboszcz energicznie, widząc chłopca w rozpacz. — 300 marek wam zostało, to kiedyś z tego urosnie kapitalik i będzie chleb, a może być i chatka!

Napróżno silił się proboszcz, chłopiec nie sły-szał słów jego, patrzył w jeden punkt osłupiałym wzrokiem i wołał smutnym głosem:

— Sprzedana! sprzedana!

— Obłądu dostał biedny chłopiec! — szepnął proboszcz sam do siebie, zawołał gospodynię i ka-zał Walka położyć do łóżka, a głowę mu obłożyć chustami, maczanemi w studziennej wodzie.

— Sprzedana!... sprzedana!... — jęczał wciąż Walek i wpadał w gorączkę.

Przywołany lekarz bał się, aby Walek nie do-stał zapalenia mózgu, lecz że wcześniej zapobiegł rozwinięciu się choroby, więc udało mu się na razie najgorsze zło usunąć. Pozostało jeszcze wielkie osłabienie i widoczna skłonność do melancholji, co w latach Walka i przy jego żywości jest rzadko-ścią, ale chłopiec był rozwinięty nad wiek, a sie-roctwo dało mu jeszcze przedwczesną dojrzałość.

Za radą lekarza przesiedział Walek u swego dobrodzieja na świeżem wiejskiem powietrzu kilka tygodni i często widywał się z Basią i Leosią.

Wnuczka Motkowej płakała razem z Walkiem i Basią nad stratą ukochanej chatynki i razem z niemi odwiedzała groby rodziców. Młodziutkiem swoim sercem, okazywała sierotom przychylność i miłość. Sama będąc sierotą, chociaż zostawała pod czułą opieką babki, łatwiej pojmowała ból i cierpienia Walka i Basi. Młoda Dąbkówna kochała w zamian Leosię jak siostrę, żadnej przed nią nie ukrywając tajemnicy, a dla Walka była Leosia nietylko siostrą, ale wprost ożywczem słońcem, do którego zwracały się oczy chłopca, pełne łez, pełne smutku, jakby żądały, żeby w nim obudziła chęć do życia, do pracy, i do nauki!

Kiedyś, w pogodny czas, gdy tak we troje siedzieli sobie w lesie, w cieniu drzew, na miękkim mchu, zabarwionym kwieciem, Leosia z Basią wzięły wieńce i kładły je na głowę Walka, żeby go rozweselić i ubawić. Chłopiec podpierał, jak zwykle, ciężką głowę rękoma, a w myśli powtarzał często: „sprzedana!“ Nie wiedział nawet, że Basia z Leosią uwieńczyły go całego i że przypatrywały mu się z przyjemnością. Uczuł wreszcie wzrok ich spoczywający na nim, spojrział i uśmiechnął się. Uśmiech ten był podobny do bladego promienia słonecznego, który zdołał przedrzeć się zaledwie na chwilę przez gęste kłęby czarnych chmur, przepełnionych wilgocią.

— A widzisz, Basiu, — wołała Leosia uradowana — Walek śmieje się!

— A jaki ładny w tym wianku! wygląda jak król na obrazku! — zauważyła Basia.

— Król! — jęknął chłopiec — żebrak bez chaty!

— Nie żebrak! — odrzekła żywo Leosia — kto ma ręce zdrowe, może zapracować! Kaleka jest żebrakiem, tak tłumaczy nasza babka.

Chłopiec spojrział uważnie na Leosię i zamyślił się na razie jeszcze więcej, nagle zerwał się z miejsca i radził wracać do domu. Dziewczęta dziwiły się pospiechowi Walka, bo dotychczas był ociążały i żadnej ochoty nie okazywał do szybkiego ruchu. Gdy się z nimi rozstawał w Grzybowie, dostał wypieków na twarzy, a głos mu drżał gorączkowo:

— Jutro wracam do fabryki i albo się zapracuję, albo kiedyś nabędę chatę z powrotem.

— Walek tyś słaby jeszcze! — upominała Basia.

Leosia obrzuciła go zażawionemi oczyma, lecz słowa nie śmiała wyrzec. I Walek roztarł łzy w oczach i powiedział na pożegnanie prawie szeptem:

— Módlcie się, jeżeli zachoruję — bo skoro zdrów będę i zapracuję, to i wam będzie lepiej.

Nazajutrz Walek wrócił do miasta i pracował odąd za dwóch, tak, że fabrykant powstrzymywać go musiał w jego dobrych chęciach ze względu na osłabienie cielesne i młody wiek. Nieraz opuszczały jeszcze Walka siły i wola, zwykle mocna, słabła; wtedy na otrzeźwienie szepnął sobie: „sprzedana!“

— a słowo to czarodziejskie działało na niego, jak silny prąd elektryczny!

— Sprzedana! sprzedana! — powtarzał codziennie i znów rwał się ze zdwojoną siłą do młota i kuł i kuł żelazo bez końca, od świtu do późnej nocy.

Fabrykant i robotnicy z szacunkiem i uwielbieniem spoglądali na chłopca, rosnącego na dzielnego młodzieńca, bo znali dokładnie historję jego życia i podziwiali żelazną wytrwałość, rzadką w tak młodym wieku! — Nawet w święta i niedziele Walek nie próżnował. Wiedział i rozumiał, że są ludzie mędrsi od niego, że koniecznie uczyć się trzeba, żeby nabyć wiedzy i nie być wyśmianym przez drugich. Pojął, że trzeba się też starać o zewnętrzną ogładę, żeby być przyjemnym i miłym dla każdego, a w ten sposób nauczyć się sztuki zjednywania sobie przyjaciół, wszędzie i zawsze, czy to we wspaniałym dworze, lub też w chatce słomą krytej. Kierując się takimi zasadami, Walek uczęszczał pilnie do szkółek niedzielnych, czytywał dużo wieczorami, chodził na zebrania towarzystw i wszędzie korzystał, a miał też to zdrowe zrozumienie, że najbardziej każdy kształcić się powinien w swoim języku, w rozwoju piśmiennictwa i w historii swego narodu.

W dwa lata zmienił się Walek ogromnie i znieżył cieleśnie, bo praca wyrobiła w nim siłę; wyprzystojniał, bo wiedza uszlachetniła wyraz jego twarzy, a uprzejmość zaokrągliła sztywne i proste ruchy. Proboszcz cieszył się niezmiernie z tej



zmiany w Walku, tembardziej, że z ocz tryskała młodzieńcowi energia i zdrowie.

Basia i Leosia również nie próżnowały; panny dworskie kształciły je jak tylko mogły, a że dziewczęta były chciwe wiedzy, więc w wolnych chwilach czytywały pilnie i same nabywały światła.

Wielkie zdziwienie opadło całą wioskę, gdy po dłuższym czasie zjawił się Walek z prośbą do nauczyciela grzybowskiego, żeby za wynagrodzeniem udzielał Basi i Leosi nauki historii, geografii i innych. Nauczyciel spojrział na Walka osłupiałym wzrokiem, a Walek, czerwieniąc się, zapłacił godziny na cały kwartał z góry.

Młodzieniec pozyskiwał coraz to więcej szacunku u ludzi. Odznaczał się też uczynnością i uprzejmością w obcowaniu z drugimi, co mu jednało serca wszystkich, co go widywali i poznawali. Niebo obdarzyło Walka wielką bystrością umysłu, a bystrość ta, z żelazną pilnością i wytrwałością jego, budziła chęć w proboszczu i w fabrykancie do dopomożenia mu w przyszłości, żeby kiedyś miał chleb własny i większe znaczenie w świecie, bo na wywyższenie takie zasługiwał zupełnie.

Wychowany w ubogiej chacie i wykarmiony piersią prostej kobiety, wyssał Walek z niej dziwną szlachetność i delikatność uczuć i rozumu. Uspokojenie jego, zdolności i chęci nadawały się ku temu, żeby z nieokrzesanego chłopca wiejskiego stał się człowiekiem rozumny i przyczynił się do dobra społeczeństwa naszego, a kształcony fachowo, był kiedyś prawdziwie użyteczny ludzkości.

Wkrótce też Walek, polecony przez fabrykanta, a wspierany przez proboszcza i p. Pączkowskiego małym stosunkowo datkiem, dostał się do wielkiego miasta i pracował w słynnej fabryce, a zarazem uczęszczał na szkołę politechniczną. Nader skromne mając dochody, zarabiał na chleb powszedni i na opłacanie nauki w szkole.

W ślad za nim szedł Stefan Rychlik, syn kowala z Grzybowa, chociaż mniej zdolny i wytrwały, ale dobry przykład Waleka porywał go i prowadził za sobą. Obydwaj młodzieńcy nieraz przymierali głodu, aby tylko wyżyć w wielkiem mieście z szczupłych funduszków i móc się dalej kształcić. Tygodniami karmili się suchym chlebem, a chociaż przechodzili codziennie około wystawnie urządzonych sklepów spożywczych, nie przychodziło im nigdy nawet na myśl, że specjalny te również skosztować mogłyby ich usta, jak i usta bogaczy! Przymaki i zbytki uważali za rzecz wprost niepotrzebną, nieprowadzącą do upragnionego celu. To skromne zachowanie się w wielkiem mieście ułatwiało im życie proste, które wiedli od kolebki w chacie, na wsi. Nie znając zbyt licznych potrzeb, nie czuli ich braku i nie pragnęli ich.

Walek widząc dobre chęci w Stefanie i przywiązanie prawdziwe ku sobie, dzielił się z nim ostatnim groszem. Razem pracowali, razem się uczyli, razem głodu przymierali, pocieszając się nawzajem w czarnych godzinach. Wyrośli już teraz obydwaj na dojrzałych młodzieńców, a wieś, fabryka i oko-

lica Grzybowa stawiała ich za wzór pilności, cnoty i wytrwałości.

Cieszył się zacny proboszcz owocom zapobiegliwości swojej, dziękował Panu Bogu gorąco stary kował, Rychlik i resztę wydobywał sił do pracy, żeby zasilać syna jakim takim groszem, a musiał myśleć i o własnej starości, bo sam już został w chacie. Żonę, towarzyszkę życia i pracy, pogrzebał przed rokiem na cmentarzu w Wierzbowie, pod rozłożystym jesionem.

W pomoc dobrym chęciom przychodził niekiedy pan Pączkowski i „Pomoc naukowa“, a dwaj młodzieńcy rośli i przysposabiali się na godnych obywateli kraju. — Nieraz towarzysze zachęcali ich do zabaw publicznych i pijatyk, wtedy stanowczo opierał się pokusom Walek, a Stefan nie ufając sile swojej odpornej, spychał odmowę na młodego Dąbka i szedł tropem w trop za nim. Walek wołał wydać kilka groszy na użyteczną książkę, z której mógłby się coś nauczyć, aniżeli marnować pieniądze na rozpustę i zabawy. Mając towarzysza hulakę, syna kupca, Ludwika Kruga, gorzkie czasami znosili obydwoj od niego prześladowanie. Stefan chwiał się nieraz i jakiś fałszywy wstyd go ogarniał; byłby też niechybnie zaniedbał się w postępkach w cnotcie w nędznym towarzystwie Ludwika, ale Walek stał jak dąb przy zamiarach swoich i zasadach, przy czem wpływ zbawienny wywierał na Stefana. — Towarzysze nazywali Walka dziwakiem, wiedział on o tem i śmiał się z tego w duchu. Chociaż i jego niekiedy szyderstwa zjadliwie zabołały w sercu, to

jednak po chwili rozum brał górę, a wspomnienie sprzedanej i straconej już chaty doprowadzały go do równowagi. Pewnego razu zjawił się w mieście sławny kompozytor, skrzypek. Bilety na koncert były bardzo drogie, dotrzeć się nie można było do gmachu. Stefan szepnął nieśmiało Walkowi:

— Chodźmy i my na koncert! Przecież choć raz usłyszymy coś pięknego!

Walek lubił muzykę i dał się nakłonić; poszli na koncert i stracili kilka marek. Wyszli prawda z gmachu zachwyceni i porwani artystyczną grą wielkiego muzyka, którego jednak zupełnie jeszcze nie pojmowali i nie rozumieli, ale w zamian chodzili kilka dni jak struci, spostrzegłszy, że wielki uczynili uszczerbek ubogiej swojej kasie i chyba im przyjdzie głodem za to odpokutować! Śmiał się z ich kłopotu Ludwik, radził zaciągnąć pożyczkę gdziekolwiekbydź, albo stołować się na kredyt. Stefanowi na razie podobała się myśl Ludwika, więc rzucił wesołe spojrzenie na Walka, myśląc, że odkrył źródło, z którego będzie można czerpać w nieskończoność. Walek spojrzał głęboko w oczy Stefanowi i upomniał ostrym głosem:

— Łatwo używać i brać na kredyt! a z czego oddasz? skąd weźmiesz? Jeżeli żadnych chwilowo nie masz widoków, a ludzi w błąd wprowadzasz, to tak, jak gdybyś sobie przywłaszczył cudzą własność!

— Do tego daleko! — zawołał oburzony Stefan. — Skoro będę miał chleb i zarobię, to i oddam!



— Skoro będziesz miał chleb! — powtórzył z naciskiem słowa Stefana Walek — a czy ty wiesz, że go mieć będziesz, czy dożyjesz i doczekasz się tego? A skoro go wreszcie znajdziesz, to na razie nie będzie go zaraz tyle, żebyś długi mógł płacić! Z długami rozpoczynać — to życie bardzo ciężkie! Dług, to kula u nogi! Z tym ciężarem nigdy nie dojdzie się w porę do oznaczonej mety.

— Ożenię się bogato i już! — zawołał Stefan ze swobodą.

— Cha, cha, cha, — zaśmiał się szyderczo Walek — to ostatnia ucieczka dla leniuchów! I ty śmiałybyś wyzyskiwać kobietę, mając zdrowe ręce i siłę? Kobietę, której Pan Bóg dał delikatniejsze zdrowie, więc nie stworzył do ciężkiej pracy?! Wstydz się, Stefan, wstydz!

W głosie Waleka było tyle oburzenia szlachetnego, że Stefan zawstydził się rzeczywiście, a uczucie to spotęgowała jeszcze myśl o Basi, o jej słodkim spojrzeniu i o wdzięczności, którą winien Walekowi. Stefan czuł się teraz nawet bardzo upokorzonym i postanowił od tej chwili być mężniejszym, stalszym i szlachetniejszym w zasadach swoich.

W kilka dni po owej pamiętnej dla Stefana rozmowie, w niedzielę, wybrali się dwaj młodzi towarzysze spacerem, za forty miasta. Na przedmieściu spostrzegli Antka Wróblika w żołnierskim stroju; ponieważ zaś zauważyli u niego chód niepewny, przypuszczali, że nie jest trzeźwy i zboczyli nagle w inną ulicę, chcąc uniknąć nie milego spotkania.

Antek jednakowoż poznał ich od razu i wrzasnął ochryplym głosem:

— Panicze! panicze! nie znają mię! Sprawię ja wam; mam jeszcze mały rachuneczek za ojca i matkę.

Walek poszedł ku niemu, mówiąc spokojnie, lecz z pewnym przyciskiem:

— Nie ty, ale ja mam porachunek z ojcem twoim i matką, a mimo to im przebaczyłem.

— Przebaczyłeś, ha! ale Antkiem dziś gardzisz!

— Nie pogardzę tobą, jeżeli będziesz uczciwy — powiedziawszy to Walek, usunął się.

Antek zacisnął pięści i zaklął głośno.

W dwa tygodnie później podjęli Walek ze Stefanem znów wycieczkę za miasto, nad rzekę. Uszli już spory kawał wzdłuż łożyska rzeki, gdy naraz spostrzegli w niebezpiecznym miejscu dwóch kąpiących się ludzi. W jednym z nich poznali Antka Wróblika. Stefan chciał się zaraz cofnąć, lecz Walek szedł dalej i pociągnął go za sobą, a spostrzegłszy w bliskości leżące kłody drzewa, usiadł i gwarzył wesoło ze Stefanem. Walek śledził przytem pilnie najmniejszy ruch Antka, a zmęczony się ciąglem uważaniem, zawołał niespokojnie:

— Gdzie też ten Antek się kąpie! Widocznie nie zna głębin rzeki i gotów jeszcze utonąć!

— A ty gotów jesteś go ratować i z nim pójść na dno! Chodź lepiej do domu, Walek, chodź!

— Skoro Antek tonąć będzie, nie chciałbyś go ocalić, Stefanie? Przecież zginać mu nie dasz!

— Obawiam się — słabo pływam.

Tak rozmawiał Walek ze Stefanem, dwaj zaś kąpiący się wiedli inną rozmowę:

— Powiedziałem ci już, Janie, że nie dam się porwać wodzie! — wołał Antek ze śmiechem — od czego siła! Cha, cha, cha, myślisz, że jeno ty masz taką siłę!

— Nie próbuj, Antek, boś słabszy! tu trzeba być takim siłaczem jak ja! — upominał żołnierz Jan.

— Głupiś — wrzasnął Antek — pokażę ci, co umiem! i puścił się śmiało na najniebezpieczniejsze miejsce rzeki.

Stefan i Walek wyteżyli wzrok. Antek pływał czas pewien spokojnie i śmiał się w głos; nagle dostał się w wir wody. Opierał się mu wprawdzie z całej siły i byłby może wypłynął z niego, będąc mocnym z natury, lecz kurcz chwycił go w nodze! Czując swą słabość, wołał gwałtownie: — Kurcz w nodze! ratuj! ratuj!

Jan podpłynął ku Antkowi, lecz z daleka już upominał:

— Nie czepiaj się mnie, bo zginiemy obydwaj! Wyciągnę cię, ale muszę mieć wolne ręce i nogi!

W tej chwili Walek zbliżył się do rzeki i zwrócił się do Stefana:

— Widzisz ten drążek? Popłynę za nimi, gdyż zginęliby obydwaj, a ty rzuć nam ów drąg i pociągnij ku sobie, skoro będziemy blisko brzegu; oprzyj się przytem o ten krzak wielki, abyś miał więcej siły.

Powiedziawszy to Walek, zdjął szybko z siebie ubranie i rzucił się w nurty rzeki. Antek nie zwa-

zając na przestrogi Jana, będąc bliskim śmierci, uchwycił się go oburącz, uniemożliwiając przez to ratowanie. Byliby też niechybnie w śmiertelnych uściskach utonęli, gdyby nie Walek, który właśnie na czas dopłynąwszy, uchwycił sterczącą jeszcze z wody rękę Jana i gwałtownym ruchem pociągnął obydwóch ku brzegowi.

Stefan widząc, że Walek wyteża się nad siły, rzucił drąg na wodę, a trzymając koniec jego w ręku, oparł się o bliski krzak. Po długiej i strasznej walce, jakoteż nadludzkiem wyteżeniu, chwycił Walek za drąg, a Stefan pociągnął go ostrożnie, bo włos mu stawał na głowie na samą myśl, że słabe to drzewo nie wytrzyma straszego ciężaru.

Wreszcie Walek dopłynął do brzegu, za pomocą Stefana wy dobył Antka i Jana z wody, a spełniwszy swój obowiązek, runął jak martwy na piasek. Stefan w rozpaczę ręce załamywał, zdawało mu się bowiem, że trzech trupów widzi przed sobą! Na szczęście Jan odzyskał wkrótce przytomność i pocieszył Stefana, że Walek tylko chwilowo osłabł, ale z Antkiem o wiele gorzej i trzeba z niego wytoczyć wodę. Poczęli więc kulać topielca po piasku, aż wodę oddał z siebie, i trzeźwili dopóty, dopóki nie zaczął wolniej oddychać.

Wreszcie i Walek otworzył oczy, a oprzytomniawszy, kazał Stefanowi biec do miasta po konie. W godzinę później zajechała dorożka przed szpital wojskowy, a z niej wysadził Stefan z Walkiem Antka i oddali go opiece ordynującego lekarza.



Walek chorował dni kilka po owym wypadku, a Stefan pielęgnował go czule, wielbiąc jego współczyność.

— Walek, tegoś się odplacił Wróblikom za krzywdy wam uczynione! — szepnął Stefan dnia jednego.

— Powiedziałem ci, że już nic im nie pamiętam! I tybyś ratował nieprzyjaciela w potrzebie.

— Antek powinien ci być wdzięcznym za czyn ten aż do śmierci.

— Nie spodziewam się tego!

— Walek, naprawdę przebaczyłeś Wróblikom wszystko?

— Przebaczyłem.

— A sprzedaż chaty i ziemi?

Walek zaciął usta i schmurzył czoło. — Po długiej, bardzo długiej chwili odpowiedział spokojnie:

— Czyn haniebny przebaczyłem, ale chaty nie zapomnę nigdy! Muszę ją przy Boskiej pomocy z powrotem otrzymać, — i smutnym okiem patrzył w dal, cały zamyślony, a Stefan robił sobie wyrzuty, że przypomniał przyjacielowi ciężkie chwile przeszłości. Uczucia i pojęcie Walka uszlachetniały się z dnia na dzień, i niktby w nim nie poznał dawnego prostego wieśniaka. Czuł on tę przemianę w sobie i pragnął jej dla Basi i Leosi; dwie te istoty były, równie drogie jego sercu, więc nie rozłączał ich nigdy w swoich marzeniach. Całymi siłami starał się o wiedzę dla nich, posyłał książki i pisywał do nauczyciela z prośbą o dopilnowanie uczennic w nauce. — Wróblikowie wyśmiewali się z Walka i Mot-

kowej, że wychowują Basię i Leosię na guwernantki, a przecież one są w tym wieku, że powinny już same zapracować na siebie, nie zaś wiecznie się czegoś douczać.

Dwór i ks. proboszcz zaradzili i temu. Basię i Leosię umieszczono na kilka miesięcy pod opieką Motkowej, w najbliższym mieście, gdzie się wyuczyły haftu, szycia bielizny i kroju sukien; miały więc w przyszłości już i chleb w rękę.

Ksiądz proboszcz nie posiadał się z radości, gdy pomyślał nad tem, iż sieroty jego tak dobrze się rozwijają. Wróblikowie zaś, a zwłaszcza matka i córki, szalały od złości, iż sierotom się tak dobrze wiedzie, przyczem prześladowały Basię na każdym kroku. Basia odczuwała tę nienawiść Wróblików, która się temwięcej wzmagala, im większe Basia robiła postępy w naukach; często się więc zamykała w swej komórce, gorzkie łzy wylewając nad swą dolą. W sercu Wróblikowej tymczasem tliła zemsta od dawna za karę więzienną, którą odsiedzieć musiała za ukrzywdzenie cielesne sierot, a teraz za zdrość podniecała jeszcze płomień zawiści. — Dziewczęta jej często spotykały się w kościele i we wsi z Basią i Leosią, lecz nikły zupełnie wobec gładkich i ładnych twarzyczek tych istot. Oczy wszystkich zwracały się ku Basi i Leosi, do chaty zaś Wróblików zaglądały coraz to częściej nieszczęście i niechęć ludzka.

Którejś wiosny zniszczył grad urodzaj na polu Wróblików, jesienią padło bydełko. Wróblikowa załamywała ręce, a Wróblik rozum tracił, nie wie-

dząc, w jaki sposób się z tego nieszczęścia wy-  
dostanie.

— Szczęście jakoś od nas poszło — rzekł razu  
pewnego do żony.

— A poszło! poszło za Dąbkami, Walkiem  
i Basią! — odparła niepewnym głosem Wróblkowa.

— Chyba zło!

— Pewnie, że ta stara wiedźma, Motkowa, po-  
kumała się z duchami, bo dziwy się dzieją! Cała  
wieś przepada za Dąbkami, a nas to wytykają pal-  
cami! Kasia z rozpaczyny poszła w świat, a Marta też  
nie chce w domu siedzieć. To wszystko sprawa sie-  
rot i Motkowej, ale poczekajcie...

— Cicho! — przerwał z gniewem Wróblík —  
Walek daleko, a Basia szkodzić nie umie.

— Broń ich! broń! a sam czujesz, że ci źle!

— Oj, co źle, to źle! Bieda rozpościera się po  
wszystkich kątach.

— A kto winien temu?

— Antek, Marta, Kasia, bo nie pracują tak, jak  
powinni, a co zarobią, to roztrwonią na hulankę  
i stroje.

— Pleciesz! wszystkiemu winne sieroty.

— Chyba od rozumu odchodzisz?

— Odchodzę, czy nie odchodzę, sieroty winne,  
bo z nimi weszła bieda do chaty i nienawiść ludzka.

— Bo z nimi przyszły pieniądze, a jam je brał  
i używał dla siebie, — pomyślał sobie w duchu Wró-  
blik — teraz jednak Pan Bóg krzywdę wytrąca. —  
Nic jednak nie odpowiedział, tylko głęboko west-

chnął i w ten sposób zakończyła się rozmowa obu małżonków.

\*

\*

Stało się, iż razu jednego zjawił się bogaty, młody włościanin, Jan Mrozek, w chacie Wróblików i pytał o Martę. Widział dziewczę w sąsiedniej wiosce na weselu i zajął się niem, bo było wesołe i dowcipne. Wróblikowie nie posiadali się z radości, gdy następnej niedzieli zjawił się swat, osadnik Sroka, i prosił o Martę dla Mrozka. Zdało im się, że szczęście na nowo zakwita w ich chacie, bo Jan Mrozek znany był z zamożności, więc też z góry liczyli, że w przyszłości będzie im podporą w razie upadku majątkowego. Jan jednakowoż nietylko, że był zamożny, lecz i uczciwy i pobożny, przytem i roztropny, więc też swata wysłał do chaty Wróblików, a sam wcisnął się do kościoła, aby Pan Bóg mu w jego przedsięwzięciu raczył dopomóc. Po nabożeństwie chciał też przepytać trochę o rodzinie Wróblików. Wyszedł więc zamyślony z kościoła i rozglądając się od niechcienia po cmentarzu, żeby kogoś zaczepić i z nim pogawędzić. Nagle oczy jego spoczęły na grobie starannie pielęgnowanym: pełno tam było różnobarwnych kwiatów, wydzielających woń przyjemną, a wokoło ziemia była oczyszczona z chwastów i czystym piaskiem posypana. Grób ten odznaczał się od innych mogił nadzwyczajnym porządkiem.

— Kto tu spoczywa? — zapytał więc przechodnia.



- Dąbkowa z Grzybowa.
- Dawno jak nie żyje?
- Już kilka lat temu.
- A kto pielęgnuje jej grób?
- Córka.

— Musi być dobra i kochająca córka.

— Dobra i ładna — szepnął nieznajomy, wskazując oczyma na wychodzącą z kościoła Basię.

Jan przyglądał się Basi ciekawie; widział, jak przyklekła u grobu matki, jak się modliła, ocierając łzy, jak oglądała i cieszyła się każdym świeżo rozwiniętemu kwiatkowi, wreszcie jak wstała i poszła, nie spojrzawszy nawet za siebie.

Jan szedł powoli za nią, nie mogąc wzroku od niej oderwać. Postać jej kształtna i ułożenie skromne pociągało go ku niej. Spotkawszy po drodze jakiegoś starca, począł wypytywać się o Wróblików.

— To chciwi i chytry ludzie, a dzieci nic dobrego! — brzmiała odpowiedź. — Jak oni pokrzywdzili sieroty zmarłej Dąbkowej!

— A Dąbkowa co za jedna?

— Dąbkowa? To pracowita i dobra była kobieta! Umierając zostawiła chatę i ziemię Walkowi i Basi pod opieką Wróblika, ale opiekun ten wszystko zagarnął dla siebie, a sieroty krzywdził. Pan Bóg mu też teraz nie błogosławi, a sierotom, chociaż straciły chatę, dobrze się wiedzie. Walek jest w mieście, w szkole maszynistów, a Basia służy we dworze, u pp. Pączkowskich. Panny ją uczą i mądra i dobra z niej dziewczyna!

Rozmowa powyższa ze starcem wystarczyła zupełnie, żeby Mrozek zmienił zamiary swoje, a zwłaszcza teraz, gdy widział Basię. Poszedł wprawdzie do Grzybowa, ale wstąpił tylko do gospody i kazał sobie zawołać swata. Sroka, stary przyjaciel jego ojca, stawił się wkrótce i z największą swobodą opowiadał Janowi, że Wróblikowie z prawdziwą radością dają mu Martę. Jan zachmurzył się, a na to swat:

— No i cóż? Żle ci znowu!

— Bóg zapłać, chrzestny, za przysługę, ale na nic się nie zdała!

— A to dlaczego?

— Bo od dziś nie mam serca dla Marty!

— Jeno dla kogo?

— Zostawcie to mnie — sam nie wiem jeszcze.

— Czyś oszalał? Taki mi wstyd robisz wobec Wróblików?!

— Co tam Wróbliki! — machnął Jan ręką.

— Ależ to porządni gospodarze?

— Chciwcy i oszukańcy! Nie chcę się z nimi łączyć!

— Kto ci to nagadał?

— Kto nagadał, to nagadał! Dostyc, że wiem!

Mrozek poczęstował swata piwem i siedział całą chwilę bardzo zamyślony, wreszcie zerwał się z miejsca i począł się dopytywać dzierżawcy gospody o rodzinę Dąbków. Swat nadstawił ucha pilnie i bystrem okiem mierzył Jana, a gospodarz cuda opowiadał o pilności i wytrwałości Walka i o cno-

cie Basi. Na wspomnienie dziewczęcia uśmiechał się Jan, jak do szczęścia.

Swat Sroka zrozumiał Mrozka, ale żał mu też było i Wróblików, bo go mile przyjęli i szczerze uczęstowali, więc cichaczem wymknął się z gospody i poszedł do nich, a wkrótce potem wrócił, prowadząc z sobą Wróblika. Na widok tegoż, Jan skoczył jak oparzony ukropem i wyszedł bocznemi drzwiami; Sroka i Wróblík zdumieli, a gospodarz śmiejąc się pod wąsem, dodał w głos:

— A to uciekł! jakby go osa ukłuła!

— Może zachorował — szepnął zmartwiony Sroka — chciał się przecież widzieć z Wróblikiem.

— Nic o tem nie słyszałem — zauważył gospodarz.

— Ale ja wiem — dodał z naciskiem swat, nie chcąc sobie Wróblika narazić.

Sroka częstował Wróblika piwem, Wróblík Srokę, a obydwaj spoglądali niecierpliwie na drzwi, czy czasem Mrozek się w nich nie pokaże. Ale napróżno!

Jan powracał sobie spokojnie do domu, a idąc koło podwórza dworskiego, zobaczył Basię sypiącą ziarna młodemu ptactwu, co ją otoczyło chmurą i leciało do niej na skrzydłach, jak do ognia.

— Będzie z niej dobra gospodyni! — pomyślał Jan i śledził ją dłużej wzrokiem.

Basia nacieszywszy się ptactwem, biegła do ogrodu, nucąc wesołą, staropolską piosnkę. Głos miała słodki i czysty, więc tem bardziej chwyciła

Jana za serce, a zwłaszcza też, że wyborem pieśni zdradziła się z uczuć swoich serdecznych.

Poznał on od razu, że Basia kocha wszystko, co jej przypomina ojczyste strony. Mrozek czuł, że i on z mlekiem matki wyssał miłość do ziemi rodzinnej i mowy ojczystej, i nie umiał szanować człowieka, któryby nie cenił i nie kochał tych darów przyrodzonych. Wiedział też, że dary te idą wprost od Boga i że człowiek się z nimi zrasta od kolebki.

Po tygodniu zjawił się znów swat, Sroka, w Grzybowie u Wróblików. Przykre miał zadanie, musiał kręcić na wszystkie strony, żeby wytłómaczyć Wróblikom, że się pomylił i nie zrozumiał Jana Mrozka, że nie szło tu o Martę, lecz o Basię, której Wróblik jest jeszcze opiekunem i jako małoletniej musi dać pozwolenie. Wróblik słysząc te wykręty, zbladł, lecz milczał; Wróblikowa zapłonila się z gniewu, wstała i utkwivszy złowrogie spojrzenie w swacie, syknęła przez zaciśnięte zęby:

— Tak to?! Taki wstyd nam robicie?! Wieś i Marta już wiedzą o tem! i to wszystko dla tej dziewczyny! — Poczem porwała się z miejsca, wywracając stołek, wreszcie wybiegła z izby, i zatrzasnęła drzwi za sobą. Przeszła jak groch z hukiem i łoskotem!

Wróblik także sposepniał, lecz umiał się przezwyciężyć, a że był chciwy, pomyślał więc najpierw, czyby tracąc tyle, nie dało się jeszcze coś zyskać w przyszłości. Może Mrozek dopomoże, może coś zaofiaruje, skoro Basię mu przyrzeknie. Łudząc się



miłą nadzieją, starał się być dla Sroki najprzyjemniejszym.

— Dobrze, dobrze — zawołał z udaną serdecznością do swata — pomówię z Basią o Janie; ale ona ma tylu opiekunów przyszywanych, że i z nimi porozmawiać będzie trzeba. No, no, — dodał po chwili — sam wszystko załatwię, ale niech Mrozek przyjdzie do mnie, bo od mojej woli zależy wszystko. Wiecie dobrze, że tylko ja jestem prawdziwym opiekunem Basi.

Swat, powróciwszy z Grzybowa, dobitnie powtórzył Mrozkowi całą rozmowę swoją z Wróblikiem; pomimo to Jan zaraz nie pospieszył do Wróblika, lecz wpierw zajechał nową, żółtą bryczką przed dwór z prośbą o pozwolenie porozumienia się z Basią. Na rozkaz p. Pączkowskiej wyszła Basia cała zapłomieniona do Jana, lecz nie chcąc być sama, pociągnęła za sobą Leosię. Młody gospodarz rozmawiał uprzejmie z dziewczętami i pilnie się przypatrywał jednej i drugiej. Leosia była wyższa, cerę miała bledszą, a wielkie piwne oczy rzucały blaski wkoło siebie; postać Basi za to, choć nie tak okazała, bardzo była zręczna, miła, a dziwna słodycz tryskała z jej ócz szafirowych. Mrozek był łagodnego usposobienia, więc serce ciągnęło go więcej do Basi. Odtąd częściej zaglądał do Grzybowa, lecz dziewczę coraz to było smutniejsze, a w końcu już i niechętnie z nim rozmawiało. Ganiła niechęć Basi p. Pączkowska, lecz troskliwe o los jej panny tłumaczyły matce, że dziewczę woli towarzysza lat dziecięcych. Schodził tak dzień za dniem, aż tu

pewnego razu p. Pączkowska kazała zawołać Basię do swego pokoju. Dziewczę przybyło i stanęło skromnie, czekając rozkazu swej dobrodziejki, która spojrzawszy na Basię uważnie, spostrzegła, że dziewczę znacznie pobladło i że troska maluje się na jej licach.

— Moja Basiu, czyś ty chora? — odezwała się pani łagodnie.

— Nie — o nie.

— Ale martwisz się czemś?

— Tak... szepnęło cicho dziewczę.

— Powiedz otwarcie, co ci dolega, bądź szczerą, jak do matki.

Basia przypadła do kolan dobrodziejki swojej i rozplakała się.

— Co tobie, dziecko?! mów, mów!

— Niech Mrozek tu nie jeździ! — jęknęła przez łzy.

— Basiu, nim pogardzać nie można, pamiętaj o przyszłości, to człowiek dobry, gospodarny i zamożny.

— Nie lubię go.

— Dlaczego? Zastanów się, wszak on i dośyć gładki.

— Nie przywiążę się do niego nigdy, choćby był jeszcze gładszy i cały w złocie.

— Więc wolisz i pewnie już wybrałaś innego? Może Stefana?

Basia poczęła gorzko płakać.

— A czy pewną jesteś, że Stefan myśli o tobie? — badała pani dalej. — Czy wiesz, jak Stefan

jeszcze pokieruje sobą? Nie zrażaj Jana do siebie, pomówię z nim... a później zobaczymy jeszcze.

— Proszę pani, niech Jan bierze Martę! Boję się Wróblików, oni się na mnie zemszczą.

— Jakże się mogą mścić na tobie, skoro zostajesz pod naszą opieką?

— O, kto chce kogo ukrzywdzić, zawsze znajdzie sposobność, chociaż przy najlepszej opiece! Boję się, boję Wróblików — wołała Basia drżąc cała.

Pani Pączkowska widząc, iż tu wszelkie przymawiania daremne, poleciła Basi poradzić się jeszcze brata, kończąc w ten sposób rozmowę.

Dziewczę pobiegło zaraz do swego pokoiku i napisało długi list do Walka. Donosiła wprawdzie i o Janie, o jego zamiarach, ale krótko i sucho.

Nadszedł do Walka także i list od ks. proboszcza, z pochwałami dla Jana i z szczerą radą, żeby Basię zachęcał do wyjścia za niego. Kochający brat domyślił się, co Basię odstręcza od Jana. Najpierw przywiązanie do Stefana, potem brak ogłady u Jana, a wkońcu i obawa zemsty Wróblików. Siedział więc bardzo zakłopotany i zamyślny, gdy naraz wszedł Stefan, a spostrzegłszy listy na stole, pytał ciekawie o nowiny. Walek zamiast odpowiedzi, podał mu listy do czytania, pilnem i badawczem wzrokiem śledząc każde poruszenie przyjaciela.

Stefan, odczytawszy jedno i drugie pismo z uwagą, zbladł, — położył i znów uchwycił list Basi i czytał powtórnie. Westchnienie ciężkie wyrwało się z piersi, i drżącym głosem zapytał:

— No i cóż? Czy wydasz Basię za Jana?

— Wszyscy radzą, żeby to zrobić.

— A ty co na to? — pytał Stefan z widocznym niepokojem.

— Zostawię to Basi do woli; przecież teraz już nie zginiemy! Używię ją i siebie.

— Dzielny z ciebie brat! — zawołał Stefan z widoczną radością w głosie i uściśnął dłoń Walkowi. Odtąd stał się dziwnie serdeczny. W tej krótkiej chwili uczuł, że Basia mu droższa nad wszystkie skarby świata.

I Walek poznał, że uczucie głębokie do Basi kiełkuje w sercu Stefana i dnia tego jeszcze odpisał proboszczowi i siostrze. Zaczęto swego opiekuna prosił, żeby wszelką zostawił swobodę Basi co do wyboru męża, a siostrę pocieszał, że i nadal ich Pan Bóg weźmie w Swoją opiekę, skoro o nich dotychczas pamiętał i że sercem ma wybierać męża, a nie samym rozumem. — Odtąd też Walek więcej zwracał uwagi na Stefana, chcąc z niego zrobić człowieka dzielnego i godnego Basi.

Stefan często teraz rozpoczynał rozmowę o Grzybowie, a kończył ją zwykle gorącemi słowy o Basi; radość jego i zadowolenie było zawsze aż nadto widoczne, skoro z poczty nadszedł list, pisany ręką milej dla niego istoty.

Proboszcz i pp. Pączkowscy nie odstręczali Jana, owszem zachęcali go jeszcze, bo zdawało im się, że Basia oswoi się z rubasznością młodego gospodarza i wkońcu wyjdzie za niego. Cała wieś zresztą już wiedziała i głosiła na pewno o zamąż-



pójściu sieroty. — Marta dręczyła się tą wiadomością tygodniami, płacząc po kątach ze złości i zazdrości, ludzie szydzili z niej okrutnie, postanowiła więc z wujem wkrótce wyjechać do Ameryki. Ojciec jej był spokojny, bo Jan, poznawszy chciwą naturę opiekuna Basi, obiecał mu dać część zasiewu jesiennego.

Inaczej działo się w sercu Wróblikowej; dniem i nocą obmyśliwała, w jakiby sposób Jana od Basi odstręczyć, a gdy to się żadną miarą nie udawało, bo młody gospodarz stronił od chaty Wróblików, jak od złego ducha, postanowiła Basię usunąć z wioski. Przysyłała więc do Basi stręczarki, namawiała do wielkiego miasta na pannę sklepową, pisywała listy bezimienne o Janie do Basi, a do Jana o sierocie, obwiniając ich wzajemnie, ale wszystkie jej zabiegi były bezskuteczne. Jan przywiązał się do Basi i trwał przy swoim zamiarze, pomimo niechęci dziewczyny, Basia zaś nie pomyślała nigdy o opuszczeniu Grzybowa, gdyż ceniła wysoko opiekę zacnej i dobrej pani Pączkowskiej.

Wróblikowa, widząc, że trudy jej idą na marne, truchlała z rozpaczy. Zdawało jej się, że skoro Basię usunie z przed oczu Jana, to Marta odzyska znów jego przychylność. Zła ta kobieta postanowiła ryzykować wszystko, byle sobie i Marcie dogodzić. Córkę kochała szalenie, a ukochana jej Marta tonęła we łzach w komorze, a co gorsza, chciała wkrótce opuścić ojca i matkę i pójść w świat na zawsze.

Zawiść i złość wzmagała się u Wróblikowej z każdą godziną, a zły duch krążył około niej i kuśił ją dniem i nocą.

Któregoś poranku poszła w pole, chodziła po miedzach, zbierając jakieś zioła do koszyka. Róża, najmłodsza jej córka, widząc, że matka nazbierane zioła gotuje, pytała ciekawie dla kogo i na co przyrządza herbatę?

Na otrzeźwienie, skoro upał dokuczy człowiekowi — mruknęła Wróblikowa i wstawiła napój do szafy, zamykając ją na klucz.

Odtąd pilnie siadywała w swoim ogródku nad drogą i rozpoczynała rozmowę z Motkową, Basią i Leosią, skoro one zmuszone były przechodzić koło chaty Wróblików, niosąc ze dworu lekarstwo dla chorych we wsi. Wszyscy dziwili się nagłej uprzejmości Wróblikowej, najwięcej zaś rada była tej zmianie Basia i pisała nawet o niej Walkowi. Zdarzyło się, że Basia znów wkrótce przechodzić musiała około ogródka swego opiekuna. Wróblikowa spostrzegłszy sierotę, poczęła ją uprzejmie zapraszać do chaty, celem pokazania jej nowych sukien Marty. Basia weszła do izby, nie chcąc przez odmowę jeszcze bardziej zniechęcać do siebie Wróblikowej. Po pokazaniu sukien, poczęła żona opiekuna narzekać na ogromny upał i pytała się Basi, czyby nie pokrzepiła się chłodzącym trunkiem, który ma przygotowany; mówiąc, to poczęła się krzątać po izbie i kuchni, zaglądając także do szafy, wreszcie przyniosła dwie szklanki wody, zabarwione sokiem wiśniowym. Jedną z nich uchwyciwszy, wychyliła

duszkciem, a drugą podała Basi. Dziewczę przytknąwszy szklanę do ust, poczuło nagle ostry zapach, więc nie chcąc się narażać Wróblkowej, upiło trochę napoju, resztę nieznacznie stawiając na okno, za firanę, potem podziękowała za napój i spiesznie wyszła. Wróblkowa odprowadziła Basię jeszcze cały kawał przez wieś, co widząc sąsiedzi, nie mogli wyjść z podziwienia nad uprzejmością Wróblkowej.

W tym samym czasie, gdy Basia opuściła chatę Wróblków, biegła Róża z pola do domu na podwieczorek. Nie zastawszy matki, zaczęła szukać po wszystkich kątach, czy nie znajdzie czego do zaspokojenia pragnienia i głodu. Dopadłszy wreszcie szklanki stojącej na oknie, wychyliła napój z prawdziwą przyjemnością, a nie znalazłszy ani okruszyny chleba, zarzuciła chustkę na głowę i wróciła do roboty.

Niedługo po przybyciu do domu uczuła Basia mdłości, niepokój ją więc ogarnął, wstała od roboty i pobięła do Leosi, opowiadając jej, że Wróblkowa musiała ją uraczyć czemś niedobrem. Leosia widząc zbladłą twarz Basi, czempredzej udała się po radę do pani. Podano Basi świeżego, słodkiego mleka i czuwano nad nią. Skutek był pomyślny, a Basia uczuła ulgę.

Wtem wpadł Wróbllik ze strasznym wyrazem twarzy do dworu, oznajmiając, że Róża wije się z boleści, sinieje i umiera!

Na wieść tę powstał popłoch we dworze, w izbie czeladnej i we wsi! Pan Pączkowski posłał czempredzej po lekarza, a pani dążyła z pomocą do Ró-

ży. U dziewczęcia były te same objawy otrucia, jak i u Basi, ale w daleko większym rozmiarze. Przywołana Wróblikowa, skamieniała na widok córki.

— Coś piła? — pytała się jej po chwili, drżąc na całym ciele.

— Tę wodę z sokiem, co stała na oknie — odpowiedziała Róża słabym głosem.

Wróblikowa w rozpacz rwała sobie włosy z głowy, rzucając z zaciśniętych ust jakieś rozpaczliwe, a niezrozumiałe przekleństwa.

Róża z bólu jęczała i rzucała się na wszystkie strony, piana jej szła z ust, traciła często przytomność, wreszcie straszne kurcze poczęły wykrzywiać jej członki.

Przybył wkrótce i lekarz, czynił wszystko, co tylko było w jego mocy, lecz zabiegi troskliwe okazały się daremne! Róża skończyła młode swoje życie w okropnych męczarniach.

Wróblikową z rozpacz opanowało szaleństwo, trzeba ją było pilnować; mówiła od rzeczy, rwała się, biła wokoło siebie, przeklinała swoich i drugih.

Nieszczęśliwy ojciec, był blady jak trup... domyślał się biedny, że żona stała się zbrodniarką i trucicielką własnego dziecka! Czuł on aż nadto, że Pan Bóg wymierza sprawiedliwość i karze złe czyny. Przyciśniony nieszczęściem nagłem i strasz-nem, usiadł na progu, ukrył głowę w dłoniach i w głos się rozplakał. Róża była ukochanem, najlepszym jego dzieckiem, nazywał ją podporą starości swojej. Ona mu nadskakiwała, ona dlań gotowała ulubione potrawy, ona go pieściła i dodawała mu



otuchy w troskach i przy pracy! Pan Bóg mu ją zabrał na zawsze... a z nią stracił wszystko!

Lekarz przekonawszy się, że to było otrucie tak samo u Róży, jak i u Basi, zeznanie swoje złożył wobec władzy, która wytoczyła śledztwo.

Basia wyzdrowiała wkrótce zupełnie, a ciało Róży nie mogło być chwilowo nawet pochowane, trzeba było je bowiem pruć i krajać, chcąc dojść prawdy.

Wróblikowa patrząc na zwłoki córki, dostawała napadów obłąkania. — Trup! trup! wołała ciągle i szklanemi oczyma patrzyła przed siebie. Rwała się do noża i z nim biegła do dworu, wykrzykując przeraźliwym głosem:

— Gdzie ona? gdzie? zabiję ją! zabiję! — Włos jej był najeżony, suknie w nieładzie, ramiona wyciągnięte, oczy żądne zbrodni, serce krwi i zemsty! Wiedziano kogo szuka we dworze i zastępywano jej drogę. Najpilniej ją strzegł młody Sum, oddawna objawiając życiowość dla Walka i Basi, a zwłaszcza ostatnia często królowała w jego myślach.

Basia drżała jak liść osowy przed Wróblikową i kryła się nieraz aż na poddaszach. Wreszcie, na żądanie p. Pączkowskiego, zamykano obłąkaną w domu, a wkrótce miano ją zawieść do zakładu. Zanim to nastąpiło, minęło znów dni kilkanaście, a w czasie tym Basia doznawała największych katuszy. Nieraz uczuła niespodzianie Wróblikową tuż za sobą i byłaby niechybnie padła ofiarą jej zemsty, gdyby nie Walek, który na wieść o zbrodni i wy-

padkach w Grzybowie, natychmiast podążył do siostry. Ublągał też zaraz w dniu przyjazdu swego Motkowę, żeby Leosię dała Basi do towarzystwa i za porozumieniem się z państwem Pączkowskimi, zabrał dziewczęta z sobą do wielkiego miasta, ręcząc za dobrą opiekę. Tu oddał je pod dozór i polecił sercu gospodyni swojej, uczciwej i niemłodej wdowy, Koziółczykowej a wkrótce wyrobił miejsce i pracę dla nich w słynnej szwalni. W wołnych zaś chwilach dziewczęta kształciły się dalej umysłowo, a czyniły to z prawdziwą ochotą i przyjemnością.

Tu dopiero odetchnęły po ostatnich wypadkach w Grzybowie, Basia odzyskała wkrótce swobodę i całą duszą zabrała się z Leosią do pracy i nauki. Pod tchnieniem wiedzy i spokoju obydwie zakwitły jak bujne i piękne kwiaty.

Walek, po umieszczeniu Basi i Leosi u wdowy Koziółczykowej, wyprowadził się ze Stefanem do innego domu.

Widywali się z sobą tylko wieczorem, w pokoiku Koziółczykowej i pod jej prawdziwie macierzyńską opieką, ale widok dobrych i ładnych tych istot dodawał młodzieńcom ochoty do życia i pracy, bo przypominał im często cel ich marzeń. Walek widział się w przyszłości w matczynej ukochanej chatynce, obok pięknej jak lilja Leosi, a Stefan pragnął patrzeć całe życie w spokojne, lecz dziwną słodyczą tchnące szafirowe oczy Basi. — O, jaka ona dobra! — myślał nieraz — aby się stać choć trochę do niej podobnym! — Od czasu przybycia Basi i Leosi, dwaj przyjaciele podwoili pracę, nie

zaniedbując bynajmniej starania o rozszerzenie wiedzy swojej.

I Mrozek od czasu do czasu dawał znak życia o sobie, pisując niekiedy do Walka lub Basi; widocznie szczerze był zajęty dziewczęciem. Listy te odczytywano wspólnie, a Stefan słuchał niechętnie brzmienia ich i przygryzał wargi z wewnętrznego niezadowolenia.

Było im tak dobrze z sobą, chociaż widywali się krótko, lecz myśl, że niezadługo już może przyjdzie się rozstać na nieokreślony czas, zatruwała słodkie te chwile żalem i niepokojem.

Stefan chciał bowiem udać się do innego miasta, do większej fabryki, a Walka zamyslał chlebodawca, fabrykant Braun, wysłać do Anglii dla dalszego kształcenia się w swoim zawodzie. Pan Braun tak polubił młodzieńca, że skrycie przeznaczył go nawet na męża córce swojej, Walerji. Sam był kiedyś człowiekiem prostym i ze zwyczajnego maszynisty został wielkim fabrykantem, to też cenił każdego, co zaczął od młota! Paniczami pogardzał i córkę, jedynaczkę, zamierzał wydać tylko za człowieka niższego pochodzenia, któryby tak jak on, pracą rąk swoich i rozumem dostał się na stanowisko, — podobnych bowiem ludzi stawiał nade wszystkich!

Walerja знаła upartość ojca, wiedziała też, że musi się zastosować do nich, bo ojciec rządził despotycznie w domu, więc upodobała sobie przynajmniej człowieka już oglądzonego, miłego i przystojnego, a nim był Walenty Dąbek. Fabrykant z po-

czątku sprzeciwił się wyborowi Walerji ze względu na różnicę religji i narodowości. Walek był Polakiem i katolikiem, Walerja protestantką i Niemką; ale poznawszy bliżej zdolności, energję i cnotę młodzieńca, tak dalece go polubił, że zapomniał o przeszkodach, które ich dzieliły i postanowił córce dogodzić i Walka wykształcić sobie na zięcia i przyszłego współnika. W tej myśli zapraszał też często Walka do siebie na obiady i podwieczorki, i nieraz skłaniał go do towarzyszenia im w przechadzkach. Walenty Dąbek tak już był ogładzony, że zupełnie nie raził w lepszym towarzystwie, a i ubiór jego choć skromny, zawsze był staranny i gustowny, co przedewszystkiem zawdzięczał Basi i Leosi.

Wdowa Koziółczykowa wiedziała o marzeniu fabrykanta i Walerji przez sługi, i nieraz o szczęściu Walka mówiła do Basi i Leosi. Basia uśmiechała się z lekka, nie wierząc, przeczyła głową, a Leosia smutnie spuszczała oczy i lzy ocierała ukradkiem. Och, dla niej Walek był słońcem i życiem! Była skryta, więc cierpiała cicho, lecz okropnie, nie mówiąc nikomu o swoich obawach.

Któregoś wieczoru przyszedł Walek rychlej i czytał Basi i Leosi ustęp z listu ks. proboszcza. Czcigodny kapłan donosił, co następuje:

„Stara Wróblkowa jest w domu obłąkanych; Kasia nie myśli o powrocie do chaty, siedzi w wielkiem mieście i używa świata w najgorszym znaczeniu tego wyrazu, niedbając o swoich, o dom, o nieszczęście matki, zapominając o duszy swojej, słowem stała się jawno grzesznicą! Chce i Martę za so-



ba pociągnąć, ale ojciec oparł się temu stanowczo, nie mając nikogo do gospodarstwa w chacie. Marta chwilowo pogodziła się z wolą ojca, lecz pragnie Kasię nakłonić do powrotu, a sama pójść do Ameryki. Władek, najmłodszy, pracował u kowala Rychlika, teraz poszedł do fabryki w miasteczku N... i chce pójść śladem twoim i Stefana.

Dobry przykład zawsze porywa! — Wróblík osiwił, zgarbił się i widocznie chylił się do grobu. Wygląda jak człowiek chory na duszy, którego sumienie robak toczy. Dwaj starsi synowie też mu pocięchy nie sprawiają: Antoni oddaje się pijaństwu i zapomniał o pochodzeniu i wierze swojej. Jakób, młodszy, kilkakrotnie karany był za przywłaszczenie sobie cudzej własności i za oszukaństwo“.

Ustęp w liście o Wróblíkach proboszcz zakończył uwagą moralną:

„Biada rodzicom! skoro dzieci tak wychowują, że łatwo im pójść na złe drogi, zapomnieć o wierze, języku i obyczajach swoich“.

W końcu pytał się kapłan Walka, czy pójdzie do Anglii?

Walek właśnie zakończył czytanie listu, wtem stanęła w progu Koziołczykowa, a zwróciwszy znaczące spojrzenie w stronę Walka, zapytała:

— Więc jak będzie, panie Walenty, czy pan rzeczywiście pojedzie do Anglii?

— Wybieram się na prawdę! bo tak mi radzi pan Braun.

— Hm, hm — odpowiedziała — więc pan na wszystko się godzi, co stary Braun obmyślił?

— Nie wiem o czym pani chce mówić; wiadomo mi tylko, że pan Braun życzliwie jest dla mnie usposobiony i chce mi dopomóc do lepszego stanowiska.

— Jaki pan też niedomyślny! niedoświadczony!

— Nie rozumiem pani zupełnie!

— Czy człowiek tak oszczędny, jakim jest pan Braun, tyle pieniędzy wyrzuci bez głębszego powodu?

— Pan Braun jest zacnym człowiekiem, więc pragnie ubogiemu młodzieńcowi dopomóc.

— O, co nie, to nie. Inaczej myśli stary Braun, i inaczej myśli córka jego Walerja.

— Cha, cha — zaśmiał się szczerze Walenty; o co też pani nie posądza tę ładną i dobrą Niemeczkę.

Leosia chciwie chwytła uchem każde słowo Walentego, a usłyszawszy pochwałę Walerji, wypowiedzianą mimowoli i zniechęca, oblała się szkarłatem; po chwili pytaniem, lecz smutnem spojrzeniem objęła Walentego i głowę nagle pochyliła nad robotą. Dwie wielkie łzy stoczyły się po jej smętnej twarzy i zwilżyły płótno, które szyla a, chcąc ukryć żalność swoją przed obecnymi, spuściła głowę jeszcze niżej.

Walenty miękkiego był serca, spostrzegł też zaraz łzy Leosi i odczuł ból jej:

— Leosiu — rzekł cichym szeptem — co tobie?

Dziewczę dotychczas nazywał po imieniu, chociaż dziś, będąc bardziej okrzesanym, nie miał właściwie do tego prawa, lecz miło mu z tem było, więc trwał przy starym zwyczaju.

— Nic mi nie jest — odszepnęła Leosia, lecz nagle zerwała się z miejsca i wyszła z pokoju, bo czuła, że boleść pierś jej rozsadzi, a lzy tamując oddech, dławią ją. Zaledwie była za progiem, wybuchnęła łkaniem, które tłumiała z całej siły, oparła się o okno w sieni i twarz zakryła rękoma.

Basia pobiegła za nią, zrozumiała Leosię, bo od dawna domyślała się skłonności przyjaciółki do brata.

I Walenty spostrzegł z przyjemnością, że wreszcie obudziło się w Leosi głębsze uczucie dla niego; pragnął tego od dawna, lecz dotychczas zdawało mu się, że tylko wspomnienie lat dziecięcych, razem spędzonych, ciągnęło dziewczę do niego. Nie mało więc był uszczęśliwiony, ale zarazem zafrasowany, bo jakżeż drogą tę istotę upewnić o swoich uczuciach, jeżeli stanowiska wyrobionego jeszcze nie posiadał? Bał się zawiązać jej świat przed czasem. Walczył też z sobą całą chwilę, żeby się nie poddać uczuciu, które nim silnie zawładnęło, ale wkońcu uległ. Wybiegł, ujął ręce Leosi w swoje dłonie i spojrzał badawczo i przenikliwie w jej wodne i zapłakane źrenice, które z tak wymowną boleścią i miłością, lecz zarazem nieśmiało nań spoglądały, wstydząc się, że zdradziły mimowoli wnętrze serca dziewczynki.

— Leosiu! droga ty moja, nie płacz! — wołał młodzian rozrzewniony — przecież ja was kochać nie przestanę, ciebie i Basię! A chociażbym poszedł i do Anglii, nawet i do Ameryki, wierz mi, Leosiu, że wy dwie jesteście najdroższymi istotami dla mnie

tu na ziemi! Przecież nikogo więcej już nie mam na świecie... ani matki, ani ojca, ani brata... Tu urwał, więcej nie chciał jeszcze jej powiedzieć; serdecznie tylko dłoń uściskał i prosił, żeby się uspokoiła.

Zaraz też wrócili razem do pokoju, a dobra Koziołczykowa śmiała się z nich, że dziećmi są jeszcze, ale... dziećmi dobrymi i uczciwymi, pomyślała w duchu.

Wieczorem rozeszli się późno w jaknajlepszym usposobieniu. Basia tylko posmutniała cokolwiek, bo Stefana nie widywała od dni paru, a serce jej trwożyło się o niego, czy Ludwik, towarzysz jego, nie poprowadził go na złe drogi. Gdy została sama z Leosią w ich pokoiku, wynurzyła obawy swoje, a zarazem zdradziła się, że przywiązuje się do Stefana coraz to więcej. Tu i skrytej Leosi rozwiązały się usta... i poznała Basia, że straty Walka chyba nie przeżyła.

— Wiesz, Basiu — mówiła przyciszonym i lęklwym głosem Leosia — skoro oni nam drodzy, i jeżeli nam o to chodzi, żeby ich do siebie przywiązać na zawsze, to musimy jeszcze więcej zadać sobie trudu.

— W czym? — pytała zaciekawiona Basia.

— Trzeba nam się pilniej kształcić! Oni o wiele więcej umieją od nas, a za parę lat przewyższą nas jeszcze bardziej swojemi wiadomościami!

— Prawdę mówisz, Leosiu! Tak, tak, trzeba się nauczyć czegoś więcej jeszcze; ale jak pogodzić



jedno z drugim, skoro tyle czasu zabiera nam praca w szwalni?

— I ja nie wiem, jak zaradzić! Chyba poświęcić jeszcze niedzielę na lekcje, bo w dni powszednie zaledwie wieczorami trochę czasu zostaje.

— A czegobyś się chciała jeszcze uczyć — pytała Basia.

— Angielskiego języka!

— Angielskiego języka! — wykrzyknęła Basia zadziwiona — a to dlaczego?

Leosia spuściła oczy, zawstydzona zdumieniem i pytaniem Basi, po chwili jednak odpowiedziała spokojnie.

— Zapomniałaś chyba, Basiu, że Walek od dwóch lat uczy się angielskiego, bo tak radził mu pan Braun, gdy zamierzał wysłać go do Anglii.

— Wiem, wiem, ale cóż tobie po języku angielskim?

— Chciałabym we wszystkim dorównać Wal-kowi!

— A wiesz, czegobym ja się chciała nauczyć? — zawołała wesoło Basia.

— Trudno się domyśleć!

— Otóż chciałabym umieć grać na fortepianie! Stefan tak bardzo lubi muzykę i ćwiczy się na skrzypcach. Moglibyśmy kiedyś zagrać razem, a może bawiłby się mniej w towarzystwie zepsu-tych kolegów!

Teraz obydwie dziewczeczki łamały sobie głowę, jakby dopiąć swego. Nazajutrz udały się zaraz

z prośbą do zacnej wdowy Koziółczykowej o wyszukanie im tanich, niedzielnych lecyj.

Gospodyni ich była bardzo zapobiegliwą, więc w przyszłą niedzielę odbyła się już pierwsza nauka muzyki i angielskiego. Opiekunka Basi i Leosi tak gorliwie przemawiała za uczennicami, tak umiała zachwalać dążności i pragnienia swoich pupilek, że nauczycielki były niemi zachwycone i lekcje ofiarowały nieledwie za darmo. Basia i Leosia z radości całowały ręce poczciwej Koziółczykowej, a nawet przypadły jej do kolan, skoro im oznajmiła, że obydwie będą się uczyły angielskiego i muzyki, bo nauczycielki wolą mieć po dwie uczennice. Wdowa wreszcie dodała z wielkiem zadowoleniem:

— Moje panny muszą być mądre, bo będą miały mądrych mężów.

Zacna Koziółczykowa przywiązała się do Basi i Leosi jak do własnych córek, tembardziej że dzieci własnych już nie miała. Straciwszy przed kilku laty syna i małą córeczkę, czuła się bardzo opuszczoną, a teraz znów odżyła, mając przy boku młode i dobre osoby. Basia i Leosia pokochały też szczerze swoją dobrą opiekunkę, z wdzięczności pomagały jej w pracy domowej i obszywały ją za darmo.

Poczciwa kobieta w zamian tylko tyle brała pieniędzy od nich, ile koniecznie musiała, żeby je wyżywić i ciepły i porządny dać im pokoik. Prócz dziewcząt z Grzybowa, stołowała jeszcze dwie szwaczki u siebie, ale mniej im była przychylna, bo były lekkie i nieroztropne, w dodatku leniwe w służbie Bożej, więc często je gromiła i wypędzała

w niedziele i święta do domu Bożego. Basi i Leosi nie pozwoliła obcować z niedobrą Heleną i Bronisławą; sama wychodziła z nimi na spacer, żeby je uchronić od zepsucia wielkich miast. Podziwiał nieraz rozum opiekunki Stefan i Walek i szczerze jej byli wdzięczni za starania około Basi i Leosi. I proboszcz zacny często się też pytał Walka o swoje owieczki, czy mają dobrą opiekę w mieście; a młodzieniec cieszył się, że mógł pod tym względem z całą sumiennością zaręczyć i uspokoić zacnego opiekuna.

Skoro Stefan i Walenty dowiedzieli się o lekcjach Basi i Leosi, nie posiadali się z radości!

— Dzielne, dzielne dziewczęta! — wołał Walek.

— Co za wytrwałe i chciwe wiedzy kobiety! — dodał Stefan.

W uniesieniu dla Basi i Leosi ściskali i całowali się dwaj przyjaciele i po raz pierwszy powiedzieli sobie nawzajem dobitnie, że droższe im one są, niż panny wyżej urodzone, a lekkomyślne, chociażby najbogatsze, i że tylko z Basią i Leosią mogą być szczęśliwi!

— Co mi tam po Minnie! — zawołał Stefan — niech uraczy swego rodaka złotem!

— Minna? — zapytał ciekawie Walek — któż to jest?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się serdecznie Stefan — to kuzynka Ludwika, zręczna Niemeczka, ma podobno 5 000 marek. Rodzice jej są właścicielami piekarni na przedmieściu.

— Ha! — odezwał się znów Walek ze stanowczością w głosie — jeżeli lubisz siadać za ciepłym piecem i zjadać świeże bułki do kawy, to się namyśl, Stefanie!

— A ty, Walek — mówił z naciskiem Stefan — skoro lubisz mówić pacierz obcym językiem i palić cygara dobre, jako przyszedł zastępca firmy „Braun“, to zastanów się dobrze!

Młodzieńcy spojrzeli sobie w oczy i zakończyli rozmowę szczerym śmiechem, wreszcie Walenty, objął szyję Stefana, i przycisnął go do piersi, mówiąc z serdecznem ciepłem w głosie:

— Kochajmy się! a nie rozpraszajmy się! —

O, w jakimże dobrym humorze odwiedzili dnia tego dobrą Koziółczykową, Basię i Leosię! Wdowa i jej mieszkanki były zachwycone Stefanem i Walentym. Śpiewali razem wesoło i wygłaszali utwory poetyczne, a każde słowo przypominało im to, co najbardziej wiąże i łączy serca ludzkie, tę ziemię, która ich żywiła i chatę, w której stała ich kolebka. Nagle Walenty zachmurzył się. Widząc to Stefan, zawołał z energią:

— Co tobie, Walek?

Zamiast odpowiedzi, Walek zwrócił się z pytaniem do Basi:

— Ile uzbierałaś na chatynkę?

— Mało, bardzo mało — szepnęła Basia, zapłoniwszy się.

— I ja mam niewiele! Tak trudno dorobić się grosza — zawsze wydawać go trzeba na dalsze kształcenie się — a jednak... jednak ja tę chatę



mieć muszę! O, proścież Boga, żebym ją miał kiedyś!

Panie Walenty, zacny panie Walenty! — wołała Koziółczykowa, uniesiona gorącą miłością Walka do chaty — zrobimy tak: Basia i Leosia wyhaftują ładne poduszki na atłasie ja zaś puszcze je na losy i to będzie pierwszy większy grosz na chatynkę!

Złożymy te pieniądze w Banku Ludowym, a w domu urządzimy skarbonkę i od czasu do czasu musi chociaż fenyg skapnąć do niej! Musi, na prawdę! mówiła z siłą w głosie Koziółczykowa.

— Musi skapnąć! musi! — powtórzyli wszyscy obecni niby echo.

Nazajutrz gorliwa Koziółczykowa przyniosła do haftu Basi i Leosi dwie poduszki. Dziewczęta miały wyszywać na jednej bukiet z róż, fijołków i niezapominajek, a na drugiej owoce i kłosa złote. Nie mając gotówki, wdowa wzięła chwilowo materiał na kredyt. — Basia i Leosia pracowały nocami; wkrótce też poduszki były gotowe, a opiekunka wystarała się o pozwolenie i zajęła się sprzedażą losów. W najbliższym już czasie ubierała sumkę niezgorszą, tak że nietylko materiał i praca się zapłaciły, ale i spora kwota wpłynęła do kasy oszczędności.

Z losami wybrała się też dobra Koziółczykowa i do Walerji. Panna Braun zajęta była w swoim ogródku przy fabryce; oczyszczała właśnie z gąsienic pyszne róże, któremi zachwycało się całe miasto. Nie znając wdowy Koziółczykowej, zasepiła się na chwilę, ujrzawszy jej pulchną i ruchliwą postać, to-

czącą się jak barylka śmiało po wąskich ścieżkach ogródka, nie zważając, czy uszkodzi gałązkę którą lub nie. Nie chcąc dalej puścić śmiałej kobiety, z obawy o herbaciane róże, które zwieszały się aż na ganki, Walerja zagroziła jej drogę swoją osobą i pytała ostro i chłodno:

— Co pani sobie życzy?

— Puszczam poduszki na losy! — brzmiała odpowiedź.

— Dziękuję, mam poduszek dosyć!

— Ale, proszę tylko obejrzeć, jakie piękne!

— Piękne, prawda, bardzo piękne, ale nie są mi potrzebne, więc po cóż pieniądze wydawać?!

— A jeżeli te pieniądze są bliźnim potrzebne? — mówiła Koziółczykowa z naciskiem — jeżeli ci bliźni ciężko pracują, a radziby też coś zarobić, a zebrać się wstydzą?!

Walerja spojrzała na nią uważnie; śmiałość jej zadziwiła ją.

— Czy to pani poduszki?

— Nie, nie moje!

— A czyje?

— Basi Dąbkównej! i jej przyjaciółki, Leosi Motkównej.

— Basi Dąbkównej? Czy to ta Basia, której brat pracuje w naszej fabryce?

— Ta sama!

Walerja zapłonila się, wstydząc się swego skąpstwa, i była odtąd uprzejmiejszą. Poprosiła wdowę siedzieć, pobiegła do pokoju i wyliczywszy dziesięć marek, wyciągnęła odpowiednią ilość lo-

sów. Potem bardzo troskliwie pytała się o Basię. Gospodyni i opiekunka zarazem, nie miała dosyć słów na pochwały dla Basi i Leosi, tak samo dla Walka i Stefana.

— Co to tam za dzielni ludzie mieszkają w Grzybowie! — wołała Walerja, zdumiona opowiadaniem starej Koziolczykowej.

— W prostocie wychowani, na wsi, to i dzielni! Świat ich nie zepsuł, — szepnęła wdowa, skłoniła się uprzejmie i wyszła zadowolona, bo dopięła swego, a w dodatku poznała Walerję.

Zaraz potem skierowała kroki swoje do Minny. Zastała ją w sieni, otoczoną piekarczykami. Zachęcała się na prośbę zaradnej Koziolczykowej, zawoławszy szyderczo:

— Wołę tę markę wydać na ładną broszkę, niż na losy, lub zjeść za nią czekoladek! Co mię tam drudzy obchodzą!

— Dobrze mówi panna Minna — mruknął najstarszy piekarzyk i zalotnie patrzył dziewczęciu w oczy.

Bystra Koziolczykowa, spostrzegłszy od razu, że nic nie zyska, pogardliwym ruchem ramion pożegnała Minnę i poszła w inną stronę ulicy.

Wieczorem powtórzyła Basi i Leosi rozmowę swoją z pannami miejskimi. Obydwie dopytywały się szczególnie o Walerję i Minnę.

— Walerja niezgorsza, buzię ma dosyć ładną — mówiła wdowa — ale ty, kochanie, — tu spojrziała na Leosię i urwała, kończąc w duchu — tyś piękniejsza stokroć! I znów mówiła głośno:

— Tamtej oczy śpią, twoje ciemne ślepki mówią, że masz duszyczkę, co do nieba tęskni, że masz serduszko, co pragnie kochać na ziemi! Już to trudno, ale nasze dziewczeczki są inne!

— A Minna jaka, proszę pani? — pytała Basia.

— Minna? To surowe i zepsute dziewczę w uczuciach swoich. Znam skromniejszą i lepszą dziewczeczkę, anioła niewinnego w porównaniu z Minną, chociaż w prostej chacie urodzonego!

Leosia i Basia uszczęśliwione były powyższemi uwagami troskliwej opiekunki, oczy ich nabrały blasku, lica zaróżowiły się. Wkrótce nadszedł Walek i Stefan i nacieszyć się nie mogli szczęściu, tryskającemu z oblicza dziewcząt.

— Co się stało, proszę pani? — pytał Walenty wdowę — że Basia i Leosia są tak wesoło usposobione.

— Cieszą się, że je pochwaliłam, a zgańłam Walerję i Minnę! Pfe! pfe! co za gusta, panie Walenty i panie Stefanie! Pół biedy jeszcze Walerja, chociaż będzie skąpa i wielka dziwaczka, ale ta Minna — niemożliwa! Chyba te grosze, co mają, to znośne jeszcze...

— Nie psuj nam pani humoru! — wołał Walek ze swobodą — wiemy od dawna, że nasze dziewczeczki najlepsze i najładniejsze, najmilsze sercu i duszy.

Tu zanucił Walenty razem ze Stefanem pieśń o polskiej dziewicy.

Jeszcze tegoż samego dnia przyniosła Koziółczykowa skarbonkę z przyklepioną białą kartką. Na papierze widniał napis: „Na chatynkę!“



Skarbonkę postawiła na niskiej szafce, mówiąc poważnie:

— A więc będziemy tu wszyscy składali grosze na pomyślność dobrej i wspólnej naszej sprawy!

Walek wyciągnął rękę do zacnej kobiety:

— Jaka pani dobra!

— Jak nasza matka! — wołała Basia.

Leosia wstała i pierwsza rzuciła kilka groszy w skarbonkę:

— Na chatynkę! — szepnęła miękko i słodko. — Wiedziała już, co to sieroca dola, co znaczy dach nad głową! Rodziców dawno straciła, a staruszka babka mało jej mogła dopomóc. Sama musiała sobie już radzić od lat paru. Cenila też wysoko każdy zarobek, który zdobyła, a całą duszą pragnęła sobie wyrobić samodzielne stanowisko, żeby mieć chleb zapewniony! Z Basią rozumiały się doskonale i obydwie dążyły pilnie do jednego celu. W szwalni, w której pracowały, ceniono wielce ich zręczność i pilność, palce ich drobne zarabiały coraz to więcej igłą i gustem, a umysł swoją drogą kształcił się dalej w wolnych chwilach.

Nie były to już dawne wieśniaczki pospolite, lecz kobiety ogładzone w ruchach, w wysłowieniu się, z umysłem oświeconym, zdrowym, jasnym, chciwym wiedzy. Pomimo tej zmiany zachowały prostotę w uczuciach, lecz prostotę uszlachetnioną i wielką skromność, co prawdziwą stanowiła ozdobę Basi i Leosi.

### ROZDZIAŁ III.

Lato było skwarne, a burze powtarzały się często. I ostatniego lipca, nad wieczorem, niebo pokryło się znów ołowianą chmurą, a ciężkie i duszne powietrze z trudnością oddychać pozwalało.

Ojciec Walerji powrócił wcześniej z fabryki dnia tego i widocznie bardziej znużony, niż zwykle, bo całym ciężarem swego ciała rzucił się niedbałe na fotel, stojący w altance ogródka. Walerja siedziała obok ojca, ręce jej zajęte były szydełkową robotą, a myśli błądziły daleko. Niekiedy ukradkiem rzuciła spojrzenie to na ojca, to na czarne chmury, wiszące złowrogo nad nią, bo dwojakiej spodziewała się burzy, w domu i na niebie. Czuła, że w sercu ojca wre gniew i oburzenie. Fabrykant sapał dłuższy czas nic nie mówiąc, zdrzemnął się na chwilę i znów sapać począł, spoglądając na Walerję. Widocznie drażniła go jej obojętność. Walerja milczała z obawy, znając drażliwość ojca.

— Walerjo, podaj mi wody z cytryną! — zawołał rozkazującym głosem i targał niecierpliwie długą brodę, a potężną i okrągłą swoją postacią rzucił się znów gwałtownie w głąb fotelu. -

— Nie — nie! długo już nie wytrzymam! — mówił niecierpliwie — ten gniew i dozór w fabryce, to nie na moje siły.

Walerja zerwała się, żeby pójść za rozkazem ojca; wkrótce powróciła z orzeźwiającym napojem, a na twarzy jej malowało się śmiałe postanowienie,

co u niej, wobec tak surowego rodzica, było rzadkością.

— Ojciec powinien sobie ulżyć — wziąć spółnika — odezwała się odważnie.

— Nie wiem kogo? Gdzie go znajdę?

— Przecież Karol jest dosyć zdolny i energiczny.

— To mi rada! tego błazna i kuzyneczka ukochanego! twego Karolka! U niego tylko kobiety i eleganckie ubranie w głowie, a nie praca! Nawet o nim nie myśl i nie wspominaj mi go, bo Karola nie chcę i na nic nie pozwolę! — rzekł ostro i stanowczo ojciec, przesywając córkę zimnym wzrokiem.

Walerja zarumieniwszy się, spuściła oczy i milczała, a fabrykant prawił w rozdrażnieniu:

— Jeden jedyny Walenty Dąbek posiada te zdolności i przymioty, których szukam! Energiczny, pracowity, bystry, a spokojny, skromny i uczciwy, odznaczający się zdrową ambicją; z niego może być kiedyś dzielny spółnik i fabrykant. Chcę go też wysłać kosztem swoim do Anglii, na dalsze kształcenie się, ale napróżno nie myślę tyle pieniędzy wydawać! Pragnę z funduszem tym połączyć i zapewnienie twego losu. Długo już nie pożyję, musisz mieć opiekuna, a najlepszym opiekunem dla kobiety jest dobry i pracowity mąż.

— Ojcze, — szepnęło dziewczę nieśmiało — pan Walenty mnie nie lubi!

— Jakto? Alboż mile nie rozmawia z tobą?

— Owszem, jest uprzejmy i grzeczny, ale nie więcej...

— Rozmówię się z nim! Kobiety chcą zawsze jakichś czułości i eleganckiej grzeczności, a to człowiek skromny, nienarzucający się.

— Nie narażaj się ojczy! — błagała Walerja.

— Cóż za narażanie się! Bynajmniej mi to nie ubliża! Walenty Dąbek zna moją otwartość i umie ją cenić, wie też, że mu szczerze radzę. Każ mi go tu zawołać, Walerjo, będę czekał na niego.

Walerja wstała, wolnym krokiem postąpiła ku domowi, lecz nagłe wróciła i rzuciła się ojcu do nóg.

— Ojczy! nie wystawiaj mię na odmowę! Pan Walenty nie łaskaw na moją osobę, a Karol kocha mię!

— Ani słowa o Karolu! — huknął jak grom fabrykant — to lekkomyślna sztuka! Co do Walentego, to i złoto ma swoją ponętę!

— Ale nie dla niego! — szepnęła Walerja.

— Zobaczymy! Idź i każ go wołać natychmiast!

Walerja poszła w milczeniu — wiedziała, czem był rozkaz ojca! Jeżeli miała stracić Karola, wołała już Walentego, aniżeli kogo innego. Dużo odziedziczyła zimnej krwi po ojcu i chciała być rozsądną.

W kilka minut po rozmowie ojca z córką, stanął Walenty Dąbek przed fabrykantem.

Pan Braun poprosił go siedzieć, poczęstował cygarem hawańskim, rozmawiał najspokojniej o fabryce, nareszcie potracił i o przyszłość jego.



— Wszak pan ma zamiar udać się do Anglii?  
— pytał troskliwie młodzieńca.

— Owszem, chciałbym — odpowiedział Walenty — ale nie mam funduszu na podróż i pobyt w Anglii.

— Cieszę się bardzo z pańskiego zamiaru i służę panu chętnie każdej chwili konieczną kwotę.

— Dziękuję bardzo! Prawdziwie wdzięcznym jestem łaskawemu panu — mówił Walenty ze wzruszeniem, oddając ukłon pełen szacunku — ale dług każdy, to wielki ciężar w przyszłości...

— Zdrowa i rozumna uwaga, panie Walenty; jednak, skoro kapitał się oprocentuje, a z czasem i wróci, nawet podwoi, to warto go pożyczyć i wyłożyć! Kto nie ryzykuje, to i nie wygrywa!

— Znaczna tu potrzebna kwota, proszę pana, więc byłoby dla mnie zbyt wielkie ryzyko na przyszłość!

— Masz pan i w tem słuszność; przewidując trudności, obmyśliłem łatwiejsze warunki: dług pan powoli będziesz spłacał, tak, że go nie uczujesz, a może i wcale nie będziesz potrzebował oddać.

— Nie rozumiem łaskawego pana, nie znam warunków — mówił Walek, miesząc się.

— Co tam owijać w bawełnę, panie Walenty! Znasz pan szczerą moją — potrzebuję spółnika, a chcę, żeby ten spółnik był zarazem mężem Walerji. Muszę mieć zastępcę, a Walerja dobrego opiekuna po mojej śmierci! Przecież mię pan rozumie...

Walenty skamieniał! Spodziewał się wprawdzie podobnego życzenia fabrykanta, ale nie przy-

puszczał, żeby mu je objawił już teraz i to tak otwarcie! Na razie nie mógł znaleźć odpowiedzi stosownej, więc milczał, mnąc nielitościwie kapelusz w rękę.

Zdziwiło milczenie to fabrykanta, spojrzął na Walentego uważnie, a dostrzegłszy zdumienie na jego twarzy, chciał go ośmielić.

— Do małżeństwa potrzeba miłości, — powiedział więc dalej, nieco łagodniejszym głosem — tak przynajmniej twierdzą ludzie; jeżeli pan tego pragnie, to i miłość się znajdzie, musicie się tylko częściej widywać, a w oddaleniu pisywać do siebie.

— Panie łaskawy, dobrodzieju mój, — szepnęła Walenty nieśmiało — za wielki mi robisz zaszczyt! Nie będę się umiał wywdzięczyć!

— Nie potrzeba wdzięczności! Chodź pan tylko temi drogami, któremi szedłeś dotąd, to i dobrze będzie!

— To dług tak wielki, że nie będę nigdy w możności odplacenia go!

— O tem pomówimy później, kształć się tylko pan i bądź pracowity!

— Ależ, łaskawy panie... jękał się Walenty.

— Co panu znowu! — rzucił niecierpliwie fabrykant.

— Nie mogę zgodzić się na życzenia pańskie, ani przyjąć pożyczki, to byłoby nieuczciwie!

— Jakto?

— Nie mogę dopełnić warunków!

— Nie rozumiem cię, panie Walenty!

— Rzecz prosta, proszę pana — mówił młodzieniec nieśmiało — długu nie będę mógł nigdy spłacić, bo lata całe musiałbym przy obecnych okolicznościach pracować, odmawiając sobie potrzeb koniecznych, żeby tyle pieniędzy uzbierać, ile wynosiłaby pożyczka. Potem... — dodał po chwili, rumieniąc się cały — daruj mi panie łaskawy moją otwartość, ale zwierzę się mu, jak ojcu. Kocham dziewczę inne... równe mi urodzeniem, wyznające moją wiarę, mówiące moim językiem! Kocham je od dziecka, bo chowało się ze mną w jednej wiosce, a przytem ma serce niewinne i dobre... Gdybym je porzucił... popełniłbym nieuczciwość, bo wiem, że jestem dla niej wszystkim!

— Co za mrzonki! — syknął ostro fabrykant i zmierzył Walentego niechętnym wzrokiem.

Młodzieńcowi krew uderzyła do głowy, lecz tyle miał stanowczości w wyrazie twarzy, że Braun poznał od razu, że przegrał sprawę. Począł się więc cofać z honorem:

— Ha, jeżeli tak, to co innego! Więc dla pana niema złoto jedynej i wyłącznej wartości, jak dla innych? Jedna zaleta więcej!

W takim razie — dodał po chwili fabrykant — musi pan sobie inaczej zaradzić, bo pewnie będziesz się chciał i żenić wkrótce, to i przestaniesz marzyć o Anglii.

— Nie wiem jeszcze, co zrobię — odparł z godnością młodzieniec — dalej kształcić się muszę, o ożenieniu się chwilowo jeszcze nie myślę, lecz za

tyle okazanej mi dobroci i przywiązania muszę zostać wiernym zacnemu dziewczęciu!

— Życzę panu szczęścia — szepnął fabrykant.

Walenty ukłonił się i wyszedł, a fabrykanta ogarnęło wielkie niezadowolenie. Gniewał się w duchu na Walerję, że przeczuła wszystko, a on stary i doświadczony lis — omylił się! Po długiej chwili namysłu, rzekł sam do siebie:

— Uczciwie z jego strony, ale nie po kupiecku!

I znów mi przepadł wspólnik! Co zrobię? co zrobię? — Stary Braun zagłębił się w myślach, a Walenty wbiegł cały rozstrojony do zacnej Koziółczykowej i pytał się o Basię i Leosię.

Dziewczęta jeszcze nie powróciły ze szwalni, więc czekał na nie, niecierpliwiąc się strasznie. Często wsuwał rękę w bujny i gęsty włos nad czołem, i biegał szybko po pokoju i rzucał urywane wyrazy:

— Co pocznę teraz? Co zrobię? Kształcić się muszę koniecznie, a tu ani grosza! Chciał mię wziąć na lep, nie dałem się i nie dam! Ale, jak sobie poradzę?... Tak, tak, kształcić się muszę!

Koziółczykowa słuchała z alkierza i kiwała głową, domyśliła się wszystkiego, lecz nie pytała o nic; chciała uszanować w młodzieńcu tę walkę wewnętrzną serca z rozumem.

Skoro Basia i Leosia powróciły, Walenty przysiadł zaraz do nich i szczegółowo opowiedział całą rozmowę z fabrykantem. Leosia chwytiała z natężoną uwagą każde słowo Walentego, rumieńce oblały jej lica, oczy zaiskrzyły się, a skoro młodzieniec załamał ręce i jęknął z rozpaczą „co ja te-



raz pocznę? a jechać muszę, żeby sobie wyrobić lepsze stanowisko!“ — pochyliła się nad nimi i szepnęła cichutko: „żeń się z Walerją!“

Walek spojrział na nią zdumiony, bo z jej strony nie spodziewał się takiej zachęty, więc rzekł z wyrzutem:

— To są słowa Leosi?!

— Tak, to moje słowa — mówiło dziewczę głosem drżącym od łez. — Skoro weźmiesz pannę Walerję, zyskasz pieniądze, znaczenie, niezależne stanowisko — więc będziesz i szczęśliwy! — dodała słodko.

— Leosiu! Leosiu! gdybyś ty była Walerją! — wołał młodzieniec w uniesieniu.

— Nie jestem nią, więc też nie chcę i nie mogę ci szczęścia zagradzać! Pragnę ci do niego dopomóc — kończyła szeptem, bo ból zadławił jej głos.

— Chcesz uczucia przytłumić, dla mnie wszystko poświęcić?... O, i ja umiem ocenić taką ofiarę — umiem być wdzięczny! Leosiu, tyś mi droższa od najświetniejszego stanowiska!

Leosia zaszlochala, Walenty uchwycił jej rękę i mówił najtkliwszym głosem:

— Będziemy razem pracowali i przecież się dorobimy chatynki naszej!

— Dorobicie się, dorobicie! — wołała uroczystym tonem dobra Koziołczykowa — zacnej pracy Pan Bóg zawsze błogosławi!

I Basia sądziła jak Leosia, że pod opieką pana Brauna, za pomocą jego funduszy, brat jej wydobylby się prędzej z niezliczonych trosk i doszedłby

do znacznie lepszego stanowiska, a i jej byłoby z tem lepiej, ale zanadto kochała Leosię, więc wołała, że Walek nie przyjął pożyczki fabrykanta, a temsamem nie zgodził się na jego warunki.

Przyszedł wkrótce i Stefan, a dowiedziawszy się o wszystkim, rzekł wesoło:

— Co tam będziesz się niepotrzebnie kłopotał! Pojedziemy do Ameryki i już!

— Do Ameryki?! — zawołała zdziwiona Basia. — Ależ na to potrzeba jeszcze więcej pieniędzy, bo znaczniejsza odległość, niż do Anglii.

— Prawda, ale łatwiej nam się tam dostać.

— Wytlómacz się nam, Stefanie — wołali wszyscy.

— Skoro Walek układał plany jazdy do Anglii pod opieką pana Brauna i ja zapragnąłem gdzieś wyruszyć w świat, żeby i sobie wyrobić lepsze stanowisko. Począłem więc się dopytywać i znalazłem środek. Musimy pójść na okręt, jako maszyniści, a zwiedziwszy kawał świata, utkwimy na rok, dwa, w jakim mieście w Ameryce, żeby popracować i wyrobić sobie świadectwa.

— Świetna myśl, świetna, — wołał Walenty. Ale na to pójdziemy tylko, żeby się wydoskonalić, bo maszyny amerykańskie zawsze są najslawniejsze, a potem wrócimy, żeby tu żyć pośród naszych i oddychać powietrzem tem, co nas owiewało od kolebki, żeby tu wyrobić sobie stanowisko, służyć braciom, bliźnim i wkońcu znaleźć ukochaną moją chatkę!

— A w chatynce kogo? — pytała figlarnie Koziółczykowa.

— Droga moją Leosię!

— Najdroższą Basię! — zawołali młodzieńcy żywo i ręce ich skrzyżowały się w uściskach dłoni.

Dziewczęta smutnie pospuszczały głowy, jak kwiaty po skwarnym dniu, myśl o długim rozłączeniu przygnębiała je.

— Czas szybko płynie! — szepnęła im na pociechę Koziółczykowa — jam stara, a doczekam się jeszcze waszego weseliska, a cóż dopiero wy, młodzi! Dwa, trzy latka przejdą wam wśród pracy i marzeń, a za to będzie później stanowisko ładne i radość wielka!

— A burze na morzu! — rzuciła zafrasowana Leosia.

— A wypadki w fabrykach! — dodała Basia.

— A Boska opieka! — zawołała starsza kobleta. — Pan Bóg nie zapomni o robaczku pełzającym się po ziemi, a miałby zapomnieć o zacnych waszych sercach?

Tak się pocieszano nawzajem i radzono. Naza jutrz rano ogłosił Walek i Stefan w pismach publicznych, że poszukują miejsca na okręcie, a zarazem udali się do biura stręczeń z tą samą prośbą.

Po dwóch tygodniach przyszli już z wiadomością, że miejsca gotowe na nowym parowcu Aleksandrze i że w podróż wyruszą za miesiąc. Czyniono wszelkie przygotowania do dalekiej i długiej podróży. Fabrykant i milioner Mind, wysyłał syna, żeby zwiedził świat, poznał fabryki amerykańskie,

zawiązał stosunki handlowe z niektórymi domami, a przytem i odwiedził rodzinę swoją, która od kilku lat przeniosła się na drugą półkulę świata i mieszkała w Nowymjorku. Chodziło o pewnych ludzi na okręcie, a że Walenty i Stefan dobrą mieli opinię, więc i miejsce upragnione wcześniej znaleźli.

Rozstanie ich z Basią i Leosią było bolesne, lecz pełne prostoty i serdeczności. Chcąc opuszczone dziewczeczki zaspokoić co do przyszłości, przynieśli obydwaj w dzień odjazdu pierścienie skromne i włożyli je na palce Basi i Leosi, prosząc je, żeby ich uważały za narzeczonych. Popłakali się wszyscy razem, wtórowała im w rozczuleniu wdowa Koziołczykowa, kreśląc krzyżyki nad ich czołami. Basia i Leosia nie chciały z początku przyjąć pierścieni, tłumacząc się tem, że przyszłość wymaga, żeby Walenty i Stefan mieli ręce wolne.

— Przyszłość nasza wymaga — zawołał Walenty w uniesieniu — żebyśmy mieli wytknięty cel naszych dążeń i marzeń! Leosia i chatka, to hasło mojego życia!

— Basia i uczciwa praca, to godło moje! — dodał Stefan z serdecznością w głosie.

O, jakżeż trudno było im teraz rozstać się z sobą, teraz, gdy tak dobrowolnie związali się pierścieniem! Uważali się odtąd za bardziej zbliżonych i nawzajem przykutych do siebie pierścieniem na wieki; a za chwil kilka ogromna przestrzeń miała ich rozdzielić na czas tak długi... nieobliczony!

Łzy polały się znów strumieniem. Wpatrywali się w siebie, jak gdyby wyciosać sobie chcieli w pa-



mięci wyraz twarzy, każdy ruch postaci, każdy dźwięk głosu ukochanych osób!

Żeby ulżyć w pierwszym bólu Basi i Leosi, postanowił Walenty wysłać je na kilka tygodni do Grzybowa, bo i staruszka Motkowa stęskniona była za wnuczką, a i powietrze wiejskie potrzebne było tak Basi jak i Leosi. Dniami całymi pracowały w szwalni bez ruchu i powietrza świeżego, poblady znacznie i męczyły się łatwo. Wieś miała zaradzić złemu. W pomoc pomysłowi Walentego przyszła sama pani Pączkowska, prosząc Basię i Leosię, żeby przybyły szyć wyprawę dla córki. Basia i Leosia znalazły się więc znów w Grzybowie, lecz przed wyjazdem zapewniły sobie miejsce w szwalni i mieszkanie u dobrej opiekunki Koziółczykowej.

Państwo Pączkowsy i ks. proboszcz nie mogli dosyć nacieszyć się Basi i Leosi; tak były dobrze wychowane, że przypuszczono je całkiem do towarzystwa rodzinnego, dając tem samem dowód uznania dziewczętom za pracę ich nad sobą i gorące chęci kształcenia się.

— Do czego to dobra wola i wytrwałość doprowadzić mogą! — mawiał nieraz pan Pączkowski, podziwiając ruchy i odezwanie się Basi i Leosi.

— A jakie one ładne! szlachetność tryska z ich ócz! — mówiły panny Pączkowskie.

— Wiedza i zacne uczucie uszlachetniły wyraz ich twarzy. W duszy, sercu i umyśle zaszła przemiana, a oczy są zwierciadłem duszy — tłómaczyła pani Pączkowska.

Podobnie nieraz rozmawiano o Basi i Leosi w dworze, lecz na wsi odzywały się po chatach inne zdania:

— Panny! panny! jakie zgrabne! jak się stroją! Ba, po francusku i angielsku mówią i grają na fortepianie! W głowie się przewróciło!

Tak przeważnie mówili Wróblikowie. Inni znów zachwycali się Basią i Leosią, a zwłaszcza młody Sum Kazimierz, chłopak dziarski i ładny, i dobrze ogładzony, syn nabywcy gospodarstwa po Dąbkach. Bronił on nieraz dziewczeczek, gdy wieś zarzucała im, że zbyt się stroją:

— Nie stroją się, tylko porządnie i czysto się ubierają, a że umieją krój i szycie i są zręczne, to i same sobie wszystko zrobią, bez wydawania pieniędzy.

— Podobają ci się, więc ich bronisz! — wymawiały Kazimierzowi wiejskie dziewczęta — ale one na ciebie nie spojrzą, bo już mają pierścienie na palcach!

— Spojrzą, czy nie spojrzą, ale lubię je i bronię, bo zasługują na to — szepnął młodzian podrażniony, a w myśli kończył:

— Cóż z tego, że pierścień na palcu? Serce zwrócić się może do innego! Rozmaicie się dzieje... spróbuj! — Obydwie podobały się Kazimierzowi; przyglądał im się nieraz z uwagą i zastanawiał, która z nich ładniejsza? Leosia, bruneta, tyle miała życia! A Basia, blondynka, tak patrzała słodko!

Zjawił się też wkrótce Jan Mrozek w Grzybowie, pod pozorem odwiedzenia Kazimierza, lecz bez-

ustannie spoglądał w stronę dworu, bo ciekaw był zobaczyć na własne oczy tę gwałtowną przemianę u dziewcząt. Spotkał się wreszcie z niemi u Rychlika, którego Basia, jako przyszła synowa, odwiedziła w towarzystwie Leosi. Zrobiły one na nim wrażenie tak gładkich panien, że nie śmiał się do nich zbliżyć. Stał cichutko w kącie, oczy wytrzeszczał, usta opuścił i patrzył, nie mogąc wyjść z podziwienia. Basia z Leosią zabawiły krótko i wyszły. Jan pożerał je oczyma i wzrokiem odprowadził daleko na drogę, aż znikły na skrócie, wreszcie ocknął się, spojrzął na Rychlika i zawołał:

— To już nie mleko — jeno śmietana! — i począł się oblizywać i mleć językiem, jakby śmietankę prawdziwą miał na podniebieniu.

Stary Rychlik wziął się aż za boki, tak śmiał się z Jana:

— I ty, bratku, widzę, zgłupiejesz niedługo! Kazimierz już zwarzował! ale za późno!... za późno!...

— Jam przecież dawno o Basi myślał — tłómaczył się Mrozek.

— Widzisz, ona jeszcze dawniej, bo od lat dziecięcych, polubiła Stefana. Ze Stefana też będzie dobry człowiek i pracowity przemysłowiec, a wszystko zawdzięcza Basi bratu, Walentemu. Dopóki Stefan był małym, nie tyle obiecywał, ale przykład dobry porwał go! W kuźni, razem ze Stefanem, pracował u mnie mały Walek Dąbek, a chłopczyzna miał już wtedy wielką moc duszy i zachęcał towarzysza do dobrego. Odtąd polubili się obydwaj i zawsze

pracują razem. O, wiele, wiele winien jestem Walentemu, bo też to dzielny młodzian z niego! Wszysko łatwo zrozumie, bo zastanawia się, a drudzy nie nie widzą, prócz własnego nosa przed oczami! — Tu Rychlik wydobyl dwie butelki piwa z zasklonej szafki i rzekł wesoło:

— No, Janie, teraz wypijemy po szklance piwa za zdrowie młodych par, Basi i Stefana, Leosi i Walka.

— Napić się możemy — mówił spokojnie Jan — ale czy to z nich jeszcze pary będą, nie wiem! Pojechali gdzieś za morze, na lat parę... pytanie, czy wrócą i kiedy wrócą?

— Nie pleć! bo zazdrość przez ciebie mówi!

Mrozek sposepniał, posiedział jeszcze chwilę u Rychlika, wreszcie skierował kroki swoje ku chacie Kazimierza. Dwaj młodzieńcy rozsiedli się na ławce w ogródku i sprzeczać się poczęli, która z dziewcząt ładniejsza. Mrozek zawsze wiernym był Basi, a Kazimierz to zachwycał się Basią, to znów Leosią. Ciężko im było obydwom pogodzić się z myślą, że ani Basia, ani Leosia do nich należeć nie będą, więc poczęli się pocieszać:

— Ha! — mówił Jan — morze nie ma dna!

— A w morzu są wieloryby! może ich tam połkną!

— Chyba rekiny! — zaśmiał się Mrozek.

— Burza może rozbić okręt!

— Umieją dobrze pływać obydwaj.

— Ale morze wielkie... największy siłacz nie wytrzyma.



— Czasami i w fabrykach nieszczęście się stanie... kotły pękają!

— A tak, i ręce i nogi urywają!

— Ba, niejednen i całkiem się ugotuje w kotle!

— I to się zdarzy.

— Wychodzicie, widzę, na czyjąś szkodę! — przerwał rozmowę młodym stary Sum — ale i wy, z konia lub woza spadając, karku sobie możecie nakręcić! Śmierć każdego znajdzie i na równej drodze! — Sum stary stał oparty o chatę i domyślił się z rozmowy młodzieńców, o co im chodzi. I jemu podobnały się wychowanki dworskie, ale będąc skąpym i chciwym na grosz, obmyślił sobie inną synowę, Antosię, córkę osadnika Pługa z sąsiedniej wioski. Osadnik Pług również był zamożny jak Mrozek.

— Mógłbyś odprowadzić Jana — odezwał się Sum do syna — i odwiedzić Pługów.

— A mogę, ale...

— No, no, żadne ale! Pozdrów ich ode mnie i zaproś do naszej chaty. — Powiedziawszy to ojciec, wyszedł w podwórze, a syn smutnie zwiesił głowę.

— Co ci to, Kazimierzu? — pytał Jan troskliwie.

— Chcą mię zmusić do Antosi!

— Wcale szykowna!

— Jeżeli szykowna, to ją sobie bierz! a będę z duszy rad!

— No... nie... bo... widzisz — jakał się Mrozek.

— Widzę, że i ty nie chcesz, coś od niej ludzi odstrasza.

— A tak — mówią, że w chacie brudno, że sukienki jej nie świecą czystością, jak u kwiatka na łące.

— A widzisz! I ja wołę kwiat bieluchny!

Gdy tak Kazimierz z Janem rozmawiali, Basia z Leosią były także w dworskim ogrodzie i po raz trzeci odczytywały listy Stefana i Walentego. Pisali z Hamburga i zachwyceni byli widokiem portu, który potężne sprawia wrażenie na podróżnych. Przepelniony cały okrętami, parowcami, berlinkami i łodziami, najeżony lasem masztów większych i mniejszych, syczy parą z kominów okrętowych i wre życiem i ruchem niepospolitym tak na brzegu, jako i na okrętach. Plusk Łaby (Elby), gwar ludzki, syk i ryk machin parowych, złączone w całość, dziwny sprawiają zamęt głosów i szmeru, męczący wprawdzie, lecz wspaniały! Brzeg portu jest obmurowany, a groble wrzynają się w wodę i tworzą sztuczne zatoki. Groble te nazywają się „moło“- i - „quais“. — Wzdłuż tych grobli pomieścić można 160 parowców. W miejscu, gdzie dziś ładują na okręty, mieszkało kiedyś 13 000 ludzi. Wspaniałe są też śpichrze hamburskie, wzniesienie ich kosztowało 120 milionów marek.

Walenty zawsze w listach swoich wspominał o wszystkim, co kształcić mogło Leosię i Basię. Stefan opisując szczegółowo okręt dodał:

„Niezgorsze mamy kajuty, małe wprawdzie, ale znaleźliśmy w nich, co nam koniecznie tu potrzebne:

łóżka wiszące, szafki, krzesła, stoły; wszystko przytwierdzone mocno, do wiecznie kołyszącego się okrętu. Karafkę i szklanki umieszczono w głębokich ramkach, dobrze umocnionych; stół mamy pokratkowany w listwy podnoszące się, żeby nakrycia nie spadały. Pokład okrętu w części zasłonięty jest płótnem od skwaru; na nim urządzono wygodne siedzenia dla podróżnych. Koło mostu kapitańskiego, na okręcie, widać łodzie ratunkowe, pokryte płótnem żaglowem.

Oby one nam tu nigdy nie były potrzebne! — pisał dalej Stefan. — Wolę umierać w moim kraju, w skromnej chatce, aniżeli tu, na tem morzu wspinałem! a jeszcze bez waszych życzliwych spojrzeń! — Często myślimy i mówimy o was, a zwłaszcza, gdy noc zapadnie a niebo zaiskrzy się gwiazdami, to i dusza rwie się w dal! — Tu znów był przypisek Walentego:

„Fotografje wasze nosimy przy sobie, a gdy tęsknota nas pożera, wyjmujemy je z notesu i przypatrujemy się waszym twarzyczkom, pełnym dobroci i słodyczy. O kiedyż się znów zobaczymy?

— Gdzież oni dziś być mogą? — pytała Basia Leosi, ocierając łzy ukradkiem.

— Może w Antwerpji? — odpowiedziała Leosia, rzucając tęskne spojrzenie — wszak tam miał się okręt zatrzymać?

I odgadło dziewczę: Okręt „Aleksander“ popłynął z morza Niemieckiego rzeką Skałdą i zatrzymał się w Antwerpji. Tu zjawili się urzędnicy celni,

władze portowe i sanitarne, przejrzano wreszcie papiery i okręt przyjęto.

Antwerpja podniosła się znacznie od czasu założenia królestwa belgijskiego, od r. 1830. Mieszkańców liczy 233 000, a przemysł kwitnie rozmaity: są fabryki koronek, wyrobów jedwabnych, tkanin bawełnianych, szlifiernie drogich kamieni itd. Port ten belgijski należy do najważniejszych portów świata, a chociaż oddalony jest od morza o 80 kilometrów, największe statki przyjąć może, bo koryto Skałdy tu jest głębsze, niż Tamizy w Londynie. Wzdłuż grobli port pomieścić może 50 wielkich parowców. Miasto piękne ma położenie, dużo posiada pamiątek historycznych i wspaniałe nabytki sztuki. W muzeum i galerjach króluje Rubens, najslawniejszy malarz flamandzki (belgijski); ilość jego obrazów zadziwia, zbiór samych fotografii dzieł jego zajmuje pięć sal. Piotr Paweł Rubens urodził się w r. 1577, umarł 1640 roku. Najstarsze dzieło obraz „Zdjęcie z krzyża Chrystusa“ jest w Antwerpji, w katedrze. Podziwiał ten obraz Walenty i Stefan. Z Antwerpji wysłali listy do Grzybowa i nacieszyć się nie mogli pięknościami miasta.

„Kochana Basiu“, — pisał Walenty do siostry — o, gdybyś ty widziała cudny ten obraz w katedrze, pojęłabyś od razu, czym jest arcydzieło malarskie! Co tu życia i prawdy w każdej postaci, a postacie te tak piękne i wzniosłe! Chciałbym kiedyś widzieć i naszych mistrzów dzieła! Znam wprawdzie Matejki obrazy, Siemiradzkiego, Fałata, Brandta, Kossaka, ale tylko z ilustracji, umieszczonych po pi-



smach. — Prezes naszego towarzystwa miał kiedyś rozprawę o malarstwie polskiem i przyniósł nam dużo ilustrowanych pism, żeby nas oświecić i zapoznać ze sztuką. Wdzięczny mu za to jestem i umiem dziś pracę jego cenić. Wspominał następnie Walenty, że kapitana na okręcie mają bardzo przyjemnego i przystępnego. Kawał już świata zwiedził w swoich ciągłych podróżach i niejedną mógł im służyć radą.

Młodego fabrykanta, Leopolda Minda, jadącego do Nowego Yorku, obchodziło każde koło, każda, choć najmniejsza śruba na okręcie, stąd często zwracał się do Walentego i Stefana, którym pozwolono pracować przy machinach pod okiem doświadczonego maszynisty. Uprzejmość ich, gładkość, swoboda, jednała im serca tych, z którymi jakąkolwiek mieli styczność.

Szczególniej polubił ich ów młodzieniec, syn milionera.

Walenty, wrażliwszy od Stefana, tęsknił niewymownie za krajem, rodzinną wioską, Basią, Leosią i wszystkim co opuścił. Stefan mniej ulegał tym uczuciom i gdzie tylko nadarzyła się sposobność, rozpytywał o stosunki w Nowym Yorku, o wielkich fabrykantów, kapitalistów itd. Zrozumiał, że trzeba zebrać wszystkie siły, wyzyskać wszelkie okoliczności, aby przez świat się przebić.

Zanim dopłynęli do Nowegojorku, przeszli, jak to nieledwie wszyscy podróżujący okrętem przechodzą, burzę morską. Chociaż Walenty i Stefan stać musieli na stanowisku i pilnie śledzić każdy

ruch dyszącej maszyny, tak że czasu nie było ani na spoczynek, ani na pokrzepienie się, tó jednak stęsknione serca, drżąc z obawy przed grożącym niebezpieczeństwem, zapowiadającym nagłą śmierć w rozhukanych falach morskich, szukały sobie wyjścia — ulgi — i znalazły ją przez myśl. Ona gwałtem się przedarła przez ołowiane chmury i szalone wichry, by podążyć w dal. Więc najpierw wzbila się pod strop niebios.

Wicher wył i ciskał z wściekłością bałwany na pokład okrętu; grzmot huczał, błyskawica rozdzierała czarne łono chmur, pioruny przesywały powietrze ognistemi węzami! A chociaż to niebo tak było groźne i straszne, nasi dwaj młodzieńcy wiedzieli, że tam — w górze mieszka Ojciec najlepszy, a zarazem potężny Władca na lądzie i morzu, ten, co uspakaja burze morskie jednym słowem, więc też zwrócili się do Niego z pokorą:

— Boże! ratuj nas, bo zginiemy — zawołał Walenty, wznosząc w górę oczy swoje.

— Jezu, zmiłuj się! — wzdychał Stefan.

Zasilona myśl tem krótkiem, lecz szczerem westchnieniem, dążyła w strony ojczyste, do swoich.

— Czy też jeszcze zobaczę ojca i Basinkę drogą?! — pytał sam siebie Stefan, załamując ręce.

— O, jak ciężko mi będzie umierać — tu — bez was, Basiu i Leosiu! Któż wami się będzie opiekował, biedne sieroty? — biadał Walenty blednąc. — Stracona chatynka, stracona, już jej nie ujrzę nigdy!

Burza szalała przez trzy dni, cała załoga okrętu była tak znużona natężoną uwagą i straszną obawą o życie, a zarazem oszołomiona hukiem fal morskich, że zaledwie na nogach utrzymać się mogła, tembardziej, że bałwany miotały okrętem na wszystkie strony, to podrzucając go w górę, lub też zagłębiając w nurty, bawiły się nim, niby dziecko piłką. Wreszcie burza powoli się uśmierzyła. Obecni odetchnawszy po wrażeniach, spojrzeli po sobie: twarze ich były blade, znużone, oczy zapadnięte, podkrążone sinemi obwódkami, w spojrzeniu drgała jeszcze bojaźń i troska, a ruchy były chwiejne, szaty wilgotne i brudne.

— O, jakie to ciężkie były chwile! — westchnął Walenty zwracając się do kapitana.

— Mogłyby się były stać o wiele cięższemi! — zawołał kapitan. — Patrzcie, jak blisko jesteśmy tej strasznej skały, najeżonej ostremi grzbietami! — tu wskazał ręką w stronę, gdzie przesłonięta lekką mgłą, zarysowała się wyraźnie wysoka, sina, kamienna ściana. — Gdyby nie łaska Boska — mówił dalej kapitan — to jedno silne wstrząśnienie wichru byłoby okręt rzuciło na skałę i zgruchotało go w kawałki! Bylibyśmy wtedy rozbitkami, ratującymi się na łodziach, raczej ginącymi w nurtach spienionego morza! Mało kto ujdzie z życiem przy rozbiciu się okrętu, zamieszanie jest zbyt wielkie! Obawa przed śmiercią odbiera rozbitkom krew zimną: tłok, ścisk, gubi wszystkich, nawet tych, co już siedzą w łodziach ratunkowych i sądzą, że są bezpieczni. Jedni

wyrzucają drugich i ciężarem swoim przewracają łodzie!

Nasi podróżni przekonali się także, że prócz rozbicia się o skałę, jeszcze inne groziły im niebezpieczeństwa. Chociaż okręt był nowy, burza nadwzięła lewą ścianę nawy, więc łatwo mogła się być woda dostać do wnętrza. Zabrano się też zaraz do koniecznej naprawy, a skoro mgły opadły, spostrzeżono w pobliżu okręt inny, kołyszący się w miejscu.

— Oto towarzysz naszej niedoli — rzekł kapitan, wskazując na okręt — ale towarzysz dla nas groźny! Cóżby to było się z nami stało, gdybyśmy się byli spotkali na rozhukanem morzu? Bylibyśmy już dziś smacznym kąskiem dla raków morskich, które z lubością żywią się trupami i padliną. Spotkanie mogło być bardzo łatwo nastąpić; szum wiatru, huk bałwanów i gromów tak był potężny, że i silniejsze sygnały nikły w przeraźliwym głoście wzburzonych żywiołów. Więc chociaż nawzajem dawaliśmy znaki stojąc w miejscu, nie wiedzieliśmy o sobie nic zgoła! Jeżeli kiedy, — kończył kapitan — to właśnie podczas burzy na morzu życie ludzkie wisi na włosku, a ten włoszek spoczywa w wszechmocnej dłoni Stworzyciela!

Walenty z wielką przyjemnością słuchał zaw sze opowiadań kapitana, bo kapitan Nibler posiadał to, na czem i Walentemu nie zbywało. Kapitan był uczuciowy, wrażliwy, miał duszę w sobie! Jakto duszę? Każdy człowiek ma duszę przecież! Każdy ma wprawdzie duszę nieśmiertelną w sobie, ale ta



dusza u wielu nic nie widzi, nic nie słyszy, nic nie myśli, a przedewszystkiem do niczego wyższego nie dąży! Ta dusza nie tęskni za czemś szlachetniejszym tu na ziemi, nie rwie się do krain niebieskich, gardzi zasługą tu i tam, woli spać, jeść, pić — słowem, dusza pogrążona jakoby w letargu, a tylko ciało odzywa się z swojemi potrzebami.

Walek będąc jeszcze małym chłopięciem, wołał już patrzeć na niebo haftowane gwiazdami srebrnymi, chociaż mroźny i ostry wicher północny miał delikatną dziecięcą twarzyczkę, aniżeli siedzieć przy ciepłym kominie, buchającym jaskrawym płomieniem. Latem zrywał się rano do pracy i z lubością przysłuchiwał się śpiewom budzącego się ptastwa. W dni Pańskie, niedziele i święta, pilnie służył Stwórcy swemu, uczęszczając regularnie do domu Bożego, gdzie z przyjemnością słuchał nauk pasterza i dziecięcy i miły głos swój łączył z głosem rozśpiewanego ludu. Mali towarzysze Walka najczęściej w niedzielę gromadnie szli nad staw srebrny, uwieczony bijną i szeleszczącą trzcina, tam nadziewali biedne robaczki na haczyki wędek i zatapiali je z chciwością w głębię wody, mącąc spokój Boży na ziemi. Walek wiedział, że w dni świąteczne przed południem tysiące i tysiące dusz wznosi się do Pana na skrzydłach modlitwy i chciał z tłumem tym płynąć razem myśla. — A dla czego to wszystko czynił Walek? Bo dusza jego tęskniła do Stwórcy swego i rwała się do Pana nad pany, szukała Go w naturze, szukała Go przy pracy i w domu Bożym, bo w Nim poznała i przeczuła od-

wieczne Dobro. Dusza panowała w Walku, a ciało musiało jej służyć i jej słuchać.

W następnym liście do Basi i Leosi zastanawiał się Walek nad burzą morską:

„Okropna była to burza! O jakże nierozsądni są ludzie, którzy lekkomyślnie opuszczają rodzinne strony, bez koniecznej potrzeby. Gdyby znali niebezpieczeństwa podróży za morze, niejedenby nie porzucił własnej chaty, nie wyzbywał się ziemi kochanej, aby gonić za nieuchwytnem szczęściem.

Leosiu i Basiu, jakżeż mi tęskno za wami? Tęsknię za wami, bo jesteście łagodne i białe macie duszyczki, jak anieli w niebie — i dlatego było nam dobrze z wami! A dziś?... Jesteśmy otoczeni chmurami i mgłami, a niema około nas słodkich uśmiechów waszych i ciepłych spojrzeń, niema naszego słoneczka! niema! Na próżno wiodę okiem po szerokiej przestrzeni, nie widzę nawet na pociechę ni chat, ni drzew, któreby mi przypomniały rodzinne strony, a gdyby nie obecność Stefana na okręcie, nie usłyszałbym nawet dźwięku ojczystej mowy!“

Leosia i Basia popłakały się serdecznie nad listem Walka, kochającego tak gorąco wszystko, co się wiąże z rodzinną ziemią.

I Stefan wspominał w liście swoim, że Walenty chwilami bardzo jest przygnębiony, tak, że wszyscy o to go zaczepiają, zwłaszcza kapitan i młody fabrykant, Mind, flamandczyk. — „Zdaje mi się — pisał Stefan — że młody Mind bardzo się nami zajął, bo ciągle nas wypytuje o pobyt nasz w Ameryce, o plany na przyszłość; a skoro się do-

wiedział, że jesteście przyjaciółmi i pochodzimy z jednej wioski, podał nam rękę, uściśnął dłoń naszą i zawołał:

— Jakżeż to pięknie, że tak się kochacie i razem dążycie do chleba!

Widziałem potem, że długo rozmawiał z kapitanem przyciszonym głosem, że spoglądał na nas z zaufaniem i dobrocią i że nawet wymienił nazwiska nasze z naciskiem, jakby chciał nam dać poznać, że mówi o nas, ale mówi życzliwie, więc się nie tai“. — Listy Walka i Stefana przyszły razem z listami późniejszymi, pisanymi z Nowego Yorku.

Przecucia moje spełniły się — pisze Stefan — zacy młody Mind umieścił nas za wpływem swoim w słynnej fabryce machin w Nowymjorku, gdzie i sam doskonalić się będzie przez cały rok pobytu swego w tem mieście. Nieźle, jak na początek, jesteśmy płatni, a z każdym miesiącem dochód się podniesie, — skoro okażemy się zdatnymi. Walkowi rokują świetną przyszłość, bo jest przemyślny, akuraty i wytrwały. No, przecież i dla Basinki mojej chleb będzie i dla mnie, leniucha; nie mam wprawdzie tej wytrwałości, co Walek, lubię trochę popróżnować, ale sadzę się już na to, iżby pójść śladem przyjaciela“.

Walenty opisywał siostrze i narzeczonej Nowy York: „Ogromne to miasto portowe, — pisał — liczy 2 000 000 (miljony) mieszkańców, a z pobliskimi miastami, które tworzą z niem całość, ma więcej niż trzy miliony; do nich należą głównie: Brooklyn, Jersey City, Hoboken, Newark, New Brighton.

Z Brooklynem Nowyjork (New York) połączony jest mostem bardzo długim, mającym 1 800 metrów. Nowyjork jest obok Londynu głównem siedliskiem handlu świata; port, po rozsadzeniu skał, należy do najobszerniejszych i najbardziej zacisznych. Miasto leży na wąskim półwyspie, utworzonym przez rzekę Hudson i cieśninę, oddzielającą ląd od wyspy Long Island. Jest to największe miasto Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, otoczone siecią kolei i dróg morskich. Rzeka Hudson łączy Nowyjork za pomocą kanałów z jeziorami Kanadyjskimi i rzeką Ohio. Cenną pamiątką i ozdobą miasta portowego jest latarnia morska, dar Francji, przedstawiająca posąg „wolności“ (46 metrów wysokości). Polaków jest w Nowymjorku 6000, ale żydów polskich i rosyjskich blisko 10 000. Mamy tu kościółek św. Stanisława, patrona polskiego i dom dla opieki nad przybywającymi emigrantami, i pisma polskie, ale to wszystko nie zastąpi nam naszych stron ojczy-  
stych! Tęsknota za niemi trawi nas dniem i nocą, i sypiać nie daje, a zaledwie człowiek zdrzemnie się na chwilę, z przerażeniem budzi się i rano wita ciężkiem westchnieniem: „W Ameryce! tak, w Ameryce jestem niestety! W Ameryce pośród obcych i obojętnych mi ludzi! — Nie pojmuje doprawdy naszych braci, którzy na zawsze rzucają swoje kąty ojczy-  
stę, żeby oddychać gdzieś za morzem innym powietrzem, żeby patrzeć łzawemi oczyma na obce twarze, żeby przyzwyczajając się do odmiennych obyczajów, stosunków, żeby nie słyszeć ukochanego języka ojczy-  
stego i tym językiem, którym poisz



ucho od kolebki, chórem, z całym tłumem nie wznosić modłów do swego Stwórcy! Po cóż ci ludzie tak dobrowolnie skazują się na męki, które zowią tęsknotą za krajem? — Mam w Bogu nadzieję, że może po dwóch latach już powrócę do kraju, a jednak, jednak szaleję z tęsknoty! — Pyszne są tu domy, wielkie, olbrzymie nawet, ale one mi nie zastąpią przenigdy naszej chatynki, która się wali, która nawet dziś już nie jest naszą, ale mi tak drogą i miłą, że chociaż z gruzów, to dźwignąć ją i nabyć muszę! A potem, oby mi Pan Bóg pozwolił chociaż godzinę z wami, Basiu i Leosiu, spędzić pod ukochaną strzechą! O droga to chatka, kiedyż ona będzie moją?!“

\*

Tak pisał Walek, a w każdym jego liście tyle było uczucia, tyle przywiązania do osób drogich i do dawnych swoich kątów, że proboszcz i pp. Pączkowsy stawiali Walka za wzór miłości synowskiej do tej ziemi, która go wydała i wychowała. Rychlik, kował, czytywał nieraz listy Walentego i Stefana głośno w niedzielę, w gospodzie Grzybowskiej, ku zbudowaniu ludzi. Mężczyźni słuchali tych listów z uwagą, ale tęsknoty Walka pojąć nie mogli; więcej rozumiały ją kobiety.

— Chi, chi, chi! — śmiał się młody Sum — tęsknią, bo zostawili tu miłe sercu dziewczęta, Basię i Leosię!

— Chociażby je wzięli z sobą jako żony, to jednak tęsknota dopiekałaby im, bo ten kąt, w którym

się rodzimy, zawsze nam najmiłszy, to już Boska sprawa! Tę miłość kładzie Pan Bóg w sercu człowieka razem z jego pierwszym uderzeniem! — tak tłumaczył Rychlik, jako najrozumniejszy z wioski.

Przyszedł też do gospody stary Wróblík, a bardzo był zakłopotany. Żona jego powróciła już do domu z zakładu obłąkanych, ale nie uważał on jej bynajmniej za zdrową. Wróblíkowa, kiedyś tęga i silna, była dziś chodzącym kościotrupem. Oczy jej wciśnięte głęboko w czaszkę, to żarzyły się jak węgle, to mgłą zachodziły, jak gdyby zasnąć miały na wieki. W domu siadywała najchętniej nieruchoma, napędzać ją trzeba było do pracy, żeby myśli jej rozerwać jakimś zajęciem. Marta ciągle jeszcze marzyła o odlocie z chaty, jak ptak wędrowny i niechętnie się krzątała około dobra ojcowskiego.

— Co też to teraz za dzieci! — skarżył się Wróblík Rychlikowi — ani krzty miłości do ojcowizny! Lecieć jeno w świat, bawić się, używać i zmarnieć, tak jak moja Kasia!

— Żle ją chowaliście, kumotrze — szepnął nieśmiało Rychlik, bo żał mu było starca, pod ciężarem trosk opuszczonego od dzieci.

— A Marta? — pytał Rychlik.

— I ta przepadnie!

— A Antek?

— Szykuje się na podoficera, do domu pisuje w niemieckim języku, przepadł dla swoich!

— Czy nie przyuczaliście go w chacie pisania i czytania we własnym języku?

— Alboż czas miałem!... drudzy trochę uczyli.

— Cóż to pomoże, jeżeli rodzice nie dopilnują i w serce zdrowych zasad nie wpoją?!

— Nie róbcie mi wyrzutów, bom i tak nie-szczęśliwy!

— A cóż Jakób?

— Był w kupiectwie i oszukiwał swego chle-bodawcę, — po raz już trzeci odsiadyuje karę za przemieszczenie! Dziś miał powrócić, ale jakoś go nie widać, pewnie z załaną czupryną przyjdzie o północy!

— Bójcie się Boga! to z was biedny ojciec!

— Wszystkiemu matka winna! Niczego nie dopilnowała, tylko smacznie gotować umiała, dzieciom dogadzała — wyrosły jak dęby...

— Ale dęby spróchniały! — przerwał Rychlik — bez zdrowych soków, bez miazgi, bez cnoty, bez wiary, bez przywiązania do swoich kątów i obyczajów, dęby, co lada wichur powali, tak jak już powalił Kasę, tak powali Antka i Jakóba! Oby się jeszcze Władek i Marta oparli!

— I Marta przypadnie, skoro mnie nie stanie!

— A Władek?

— Władek, widząc niebezpieczeństwo, wybrał lepszą drogę.

— Nie to! Władka porywa dobry przykład, on chce naśladować Walka i Stefana. Skoro z niego będzie pociecha, to winniście ją Walkowi i Basi.

— Walkowi i Basi?!... — powtórzył z jękiem zdziwiony Wróblak, bo mu się przypomniały krzywdy wyrządzone sierotom, więc zamilkł na długą chwilę, wreszcie znów wybuchnął:

— Mówiliście, że jestem biedny ojciec — o! prawda! prawda! już to dlatego, że niedobre mam dzieci, już też, że i bieda prawdziwa zagłąda do chaty!

— Żartujecie, kumotrze! Byliście najbogatszym z całej wioski!

— Tak, byłem nim kiedyś! ale nie dziś! Kilka razy zboże chybiło, trzoda i było marniały.

— Ale za to dzieci dziś macie dorosłe i one zarabiają.

— Zarabiają, prawda, ale dla siebie; co zyskają, to i pójdzie.

— Czy być może, żeby tyle młodych i zdrowych rąk nie dopomogło rodzicom i nie stało się dla nich bogactwem?

— Słusznie się dziwicie, ale prawdę szczerą powiedziałem — dodał ze łzą w oku Wróbnik. — Inaczej się dzieje u brata mojego w Zawadzie; tam jest dziesięcioro dzieci żyjących, a wszystkie zarabiają i cała rodzina bogaci się z dnia na dzień, że aż serce rośnie! Ale co to tam w tych dzieciach za szczerą ochotę do pracy! Bo co one też mają za matkę! Pobożna, cicha, pracowita, a dzieci umiała dopilnować i prowadzić. Od małego musiały się krzątać przy pracy, czy to w chacie, czy w polu, a słuchać na skinienie! Ze świecą szukać takiej matki drugiej po świecie! — Skoro brat starszy Józef się żenił, byliśmy wszyscy przeciwni temu związkowi, bo bratowa była ubogiem dziewczęciem; nie wiedzieliśmy wówczas, że z tą ubogą dziewczętką weźmie skarb do chaty! — Moja żona przeciwnie, była bogatą włościanką, rodzicom więc zdawało się, że



tysiące będę układał w skrzynię, a tu nie bogactwo, ale przyszła klątwa, gniew, obraza Boska, a teraz i bieda rozpościera się w chacie, słowem Pan Bóg nie błogosławi!...

Tu Wróblík otarł łzy i zamyślił się głęboko, a wzrok jego utonął w błękitach nieba, zaglądających przez szyby do gospody. Od czasu nieszczęść, a zwłaszcza od chwili nagłej śmierci córki, stał się o wiele pobożniejszym, jak gdyby szukał pociechy tam, w górze. — Smutek, ból i troska prowadzą do Boga; tylko dusze na wskroś zepsute marnieją pod krzemieniem krzyża.

Dnia tego wieczorem, siedziały Basia z Leosią długo w noc przy otwartem oknie górnego pokoju, przeznaczonego im we dworze na sypialnię, i rozmawiały o przeszłości i przyszłości.

— Musimy stąd wyjechać — mówiła Basia — żeby więcej zarabiać; Koziółczykowa nas oczekuje.

— Prawda, ale jakżeż mi żal Grzybowa i babki, i grobu rodziców! — westchnęła Leosia.

— Myślisz, Leosiu, że i mnie to nie dręczy, ale wiesz, do czego dążę z Walkiem: chcemy kiedyś na dobre tu powrócić, tu zarabiać, tu pracować, nabyć naszą chatę i dobrze czynić pośród swoich.

— Boże mój, Boże! jakżeż to daleko do tego! lecz nie, nie, Basiu, znam sposób łatwy!

— Jaki? mów! proszę! — zawołała z ciekawością Basia.

— Otóż najprostsza rzecz: wyjdź za Suma, jedynaka, i będziesz panią dawnej waszej chatynki!

— A ty wyjdź za bogatego Jana Mrozka i będziesz blisko Grzybowa! — odparła z oburzeniem zarumieniona Basia. — Cóż ci to nagle za myśli przyszły do głowy?! Porzuć Walka, jeżeli ci łatwo, ja Stefana porzucić nie mogę!

— Basiu, Basiu, to był żart!

— Ale żart bolesny! Wolę człowieka wyrobionego, jakim jest Stefan, a z nim trud i mózół, aniżeli takiego młokosa Suma! Niczego się prawdziwie nie nauczył, więc chociażby mi się i uśmiechała przy nim droga moja chatka, to w tej chatce wylałabym zapewne niejedną łzę nad lekkomyślnością takiego męża!

Gdy Basia domawiała tych słów, błysnęło nagle płomykiem w ciemnościach, w stronie wsi.

— Pożar! pożar! — krzyknęła Leosia.

— Boże! U Wróblików się pali! Tak, tak, to chata Wróblików! — wołała Basia drżącym głosem i wypadła z pokoju, za nią biegła Leosia.

Basia pędziła jak strzała przez wieś całą, pograżoną w głębokim śnie, wołając na całe gardło:

— Gore! gore! Ratujcie Wróblików!

Dopadła wreszcie chaty Wróblików, biła pięścią w okiennice, zaklinając, aby zaraz wstali i uciekali z życiem, bo dach się już pali nad ich głowami!

Pierwsza obudziła się Wróblikowa, a poznawszy głos znieprawionej Basi, zerwała się z pościeli na równe nogi, w mgnieniu oka chwyciła za siekierę, leżącą przy kominie, rozwarła gwałtownie okno i z całą siłą rzuciła ostrem narzędziem w stronę Basi. Dziewczę krzyknęło i padło na murawę.

W tej chwili kilku osadników biegło do pożaru, a na czele ich był Kazimierz Sum. Spostrzegł on tę scenę pod oknem i dążył ku upadającej osobie.

Wróblík, zwlekłszy się z łoża, padł w sionce odurzony dymem, zdołano go jednak wyciągnąć z chaty. Szukano Wróblíkowej i Marty.

— Tu jestem! — wołała Marta, a suknia tliła się na niej — ale matka tam, w chacie, siedzi w kącie i włosy sobie wydziera!

— Ratujcie ją! — błagała Leosia i sama biegła bez pamięci do płonącej chaty. Tu zatrzymał ją młody Sum i wskazał w milczeniu na Basię zemdloną i skrwawioną. Leosia na widok ten niespodziewany krzyknęła przeraźliwie, a z nią razem wszyscy zapomnieli o Wróblíkowej, patrząc na śmiertelnie bladą dziewczynę, rozpostartą na murawie. — Wtem nagle coś się szamoce, pcha, wysila, jakaś bryła toczy pośród kłębów dymu w ciasnej sionce chaty...

— Pomocy na Boga! — woła głos przytłumiony i chrapliwy.

Włóścianie dopadli i wyciągnęli matkę i syna.

To Władek, wyrostek, ratował biedną matkę, a ona opierała mu się gwałtem, zdaje się, że zmysły straciła powtórnie.

Ogień ogarnął całą chatę wewnątrz, dym pchał się oknami i drzwiami, dach stał w płomieniach.

— Oddalście się, bo dach runie! — krzyknął rozkazująco Rychlik, prowadząc Wróblíkową. Młody Sum niósł Basię na rękach, za nim szła Leosia, zawodząc w głos. Kazimierz dopadł chaty swojej

i dziewczę złożył na łożu, a w drodze niosąc ciężar, cicho wzdychał:

— O, gdyby była moja!

Matka młodzieńca trzeźwiła Basię i zmywała jej ranę na głowie, Leosia dopomagała jej, roniąc łzy obficie.

Kazimierz stał na uboczu i spoglądał to na Basię, bladą jak marmur, z wyrazem dobroci i spokoju na twarzy, to na zapłakane, ciemne oczy Leosi.

— Niech panienka nie płacze, — pocieszał cicho — to przeminie, panna Basia zemdląła tylko.

Nie śmiał ani Leosi ani Basi mówić po imieniu, choć znał je od dawna i wzrósł z nimi w jednej wiosce. — Leosia klęczała przy łożu i czekała przebudzenia Basi. Nie wiedziała co począć, jeżeliby zemdlenie dłużej trwało; we dworze panowała cisza, a nie chciała trwożyć i niepokoić swoich dobrodziei. — Wtem Basia otworzyła nieco oczy, a spojrzenie jej padło na młodego Suma. Uśmiechał się w tej chwili do niej dobrotliwie z radości, że przychodzi do zmysłów, lecz Basia drgnęła i jęła:

— Boże! gdzie jestem?

— W chatynce! — szepnęła Leosia, chcąc Basi dogodzić.

— W chatynce?... — powtórzyła Basia drżącym głosem i szeroko rozwarła oczy.

— Tak w chatynce, u Sumów — tłumaczyła Leosia.

— U Sumów! — krzyknęła chora i zerwała się z ogromnem napięciem sił, lecz nagle głowa jej



opadła na poduszki, zakryła twarz rękoma i cicho zaczęła płakać, zdawało się jej bowiem, że straciła Stefana, a jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności stała się żoną Kazimierza. Po chwili, wśród łkań, przeczyła stanowczo:

— Nie chcę! nie chcę!

— Basiu, co tobie? — pytała zaniepokojona Leosia; wreszcie zaczęła się domyślać przypuszczeń Basi, więc tłómaczyła jej, że przypadkiem się tu dostała do chaty, że Kazimierz dobry, bo ją tu przyniósł i ratował od śmierci.

Basia słuchała z uwagą słów Leosi, potem pilnie badała otoczenie, wiodąc oczyma wkoło siebie, wreszcie po długim namyśle wyciągnęła rękę do Kazimierza z temi słowy:

— Pan Bóg niech nagrodzi!

Kazimierz zbliżył się i ucałował z uszanowaniem rękę dziewczęcia, lecz Basia nagle odwróciła twarz swoją bladą do ściany. Widząc ruch Basi, Kazimierz smutnie zwiesił głowę, przekonał się bowiem, że Basia wdzięczne ma serce, ale go nie znosi.

— Cóżem jej zawinił? — pomyślał i westchnął. — To ojciec nabył ich chatę od Wróblików, nie ja przecież; to ojciec z opiekunem się umawiał, jam Dąbków ukrzywdzić nie chciał nigdy!

Wtem drzwi się nagle roztworzyły i do chaty wpadł stary Sum, ciągnąc za sobą gwałtem Wróblikową. Kobieta najeżone i stargane miała włosy, oczy dzikie, usta sine. Kazimierz, widząc tę postać straszną obłąkanej, krzyknął przeraźliwie:

— Co ojciec robi? Tu jej prowadzić nie można!  
— Lecz zanim stary Sum oprzytomniał, Wróblikowa rzuciła się na Basię i Leosię, biła, drapała i gryzła je, jak zwierz drapieżny. Kazimierz doskoczył i skrępował jej ręce, dziewczęta drżały jak liście osiny. Obląkana nie mogąc im krzywdy wyrządzić rękoma, poczęła je lżyć słowami. Kazimierz nie pozwolił na dalsze obelgi, więc wepchnął obląkaną do przyległej komory i zamknął na zasuwę. — Basia zerwała się z łoża, wsparła się na ramieniu Leosi i łkając, opuściła dawną swoją chatę. Wychodziła co tchu, wiedziała bowiem, że ojciec Kazimierza nie rad ją wita w tej chacie, dla niej tak drogiej! — Stary Sum siedział w kącie i milczał, ponurem tylko okiem spojrzał za odchodzącymi, bo i Kazimierz wybiegł za Basią i Leosią, chcąc im dopomóc w drodze do dworu. Leosia prowadziła z jednej strony Basię, Kazimierz z drugiej. Skoro przechodzili około pałacej się chaty Wróblików, dzierżawca gospody zastąpił im drogę:

— Straszne stało się nieszczęście!

— Jakie, na Boga?! — pytała z trwogą Leosia.

— Młodszy syn Wróblików spalił się!

— O Boże! — zawołali wszyscy.

— Aby nie Władek? — szepnęła Basia.

— Władek żyje, ale Jakób wczoraj późno wieczorem wrócił nietrzeźwy z miasta, gdzie odsiadywał więzienną karę; obawiając się pewnie gniewu ojca, nie witał się z nikim i cichaczem poszedł spać na poddasze. Nigdzie znaleźć go nie można!

— A kto go widział wczoraj? — pytał Kazimierz.

— Rozmawiałem z nim — objaśniał gospodarz — około jedenastej w nocy, a pożar wybuchł około pierwszej. Zapewne usypiając, palił cygaro i zatlił słomę na poddaszu. Sam siebie zgubił i cały dobytek rodziców zniszczył przez nałóg obrzydliwy!

— Biedni, biedni rodzice! — jęknęła Basia z wielkiem współczuciem w głosie.

— Żał ich panience... zadziwił się Kazimierz — przecież oni panienkę krzywdzili!

— Czy krzywdzili, czy nie krzywdzili, nie pamiętam już, ale żał mi ich i Jakóba żał, bo duszę zatracił! A ta biedna Wróblikowa — taka nieszczęśliwa — obłąkana!

— A byłaby o włos panienkę zabiła!

— Alboż wie, co czyni? Niech jej Pan Bóg wybaczy!

— Panno Basiu, tak mówią anieli!

— Tak musimy mówić wszyscy, bo wszyscy błądzimy.

Po drodze spotkano pana Paczkowskiego, który dowiedziawszy się o zajściu z Wróblikową, zaopiekował się zaraz Basią. Rana na głowie była dosyć głęboka, ale nie niebezpieczna, potrzeba jednak było Basi spokoju i pielęgnacji. Znalazła jedno i drugie w domu zacnych państwa Paczkowskich.

Nad ranem, przy spalonej chacie Wróblików, widziano straszne sceny. Wróblik odgrzebywał popiół i szczątki niedopalone, szukając zwłok syna. Czynił to na pozór spokojnie, lecz w duszy jego

szalał ból wściekły. Wróblikowa biegała wokoło zgliszczy, sina, prawie naga, wiatr rozwiewał jej siwe i długie włosy, ból wykrzywił twarz, ręce podnosiły się w górę i groziły niebu, usta miotały bluźnierstwa. Nagle poczęła skakać i śmiać się spazmatycznie:

— Ha, ha, ha, tu Róża wyprawiła wesele, tu i Jakób wyprawił wesele, a szatan był im druhem! Jeszcze i Antka dostaniesz ty! ty! a Kasia już twoja!

— Matko, co mówicie?! Opamiętajcie się! — wołał Władek przez łyzy.

— Cicho — cicho — odparła łagodniej Wróblikowa, widząc Władka — ty tam do nich nie należysz! Te oni poszli i pójda! Tyś matkę ratował, ty nie zginiesz, nie, nie!

Wróblik słysząc przepowiednie żony i patrząc na dziwy, które wyprawiała, zanosił się od płaczu. Osłabł zupełnie, przysiadł na kamieniu i szlochał w głos. Marta przystąpiła do matki.

— Matko, uspokójcie się, słyszycie przecież, jak ojciec płacze!

— Niech płacze! — krzyknęła obłąkana, prostując się jak prorokini pełna natchnienia. — Dni jego policzone, niech pokutuje za winy! — dodała głosem podobnym do gromu.

— Każdy grzeszy, matko!

— Każdy grzeszy — i ja grzeszyłam i ty grzeszysz — on pójdzie — my zostaniemy i pokutować musimy o głodzie i chłodzie — bez chaty — bez ziemi — bez dachu!



— Matko! matko! co mówicie? — wołała Marta i poczęła płakać rzewnie, załamując ręce.

— Płacz! płacz! i tyś nabroiła — mówiła chora potężnym głosem. — Pan Bóg karze, za sieroty karze!

Tu wyrwała sobie garść włosów, nagle padła na kolana i jęła się bić w piersi:

— Boże, bądź miłościw! Moja wina, moja wielka wina!

I Wróblík zerwał się z miejsca, ukląkł i wśród łkań powtarzał razem z żoną:

— Moja wina! moja wielka wina!

Młody i stary Sum, Rychlik i obecni włościanie i osadnicy, widząc tę pokorę chociaż w obłąkaniu i w ciężkim smutku, ocierali łzy ukradkiem.

Po długiej chwili Wróblíkowa usiadła na ziemi, a wpatrzywszy się w zgliszcza, pozostała nieruchoma jak posąg. Wróblík zabrał się znów do szukania zwłok, pomagał mu w tem Kazimierz. Unieśli kilka niedopalonych belek i kozłów i wreszcie znaleźli ciało Jakóba zwęglone, a tuż przy nim zegarek zgnieciony i w części stopiony. Po zegarku i łańcuszku poznali mieszkańcy Grzybowa, iż rzeczywiście Jakób Wróblík zginął w płomieniach! Łańcuszek był gruby, stalowy, ładnej roboty i szczycił nim się zawsze Jakób.

Nieszczęśliwy ojciec zabrał zwłoki syna i zaniósł je z Kazimierzem do komory, do Sumów. Sumowie przyjęli nie tylko zwłoki, lecz i Wróblików i Martę i Władka. I tak chata Dąbkowej, z której

wypędzono sieroty, stała się, po strasznej tem nieszczęściu, przytuliskiem dla Wróblika i jego rodziny.

Po pogrzebie Jakóba, biedny ojciec nikł z dnia na dzień. Martwił się i truł, dzieci stracił i całe mienie nieledwie, bo chata nie była zabezpieczona od pożaru, dla prostej nader przyczyny, że już od dawna nie sięgało na konieczne wydatki pod strzechą Wróblików.

Czerstwy ów i zamożny kiedyś gospodarz, pełen woli i siły, był dziś żebrakiem o złamanem życiu i niknącem ciele. Włos miał biały, oczy mgłą zasłone, postać jego przygarbiona. Kto widział Wróblika przed kwartałem, poznać go dziś nie mógł. Codziennie zrywał się do dnia, chociaż o słabych siłach, wlokąc za sobą drżące nogi, docierał do kościelnej wioski. Tu bywał na Mszy świętej i modlił się na grobie Róży, Jakóba i Dąbkowej i znów wracał do Grzybowa, ale coraz to słabszy i coraz smutniejszy. Któregoś dnia zawlókł się też do dworu z Martą i Władkiem, do Basi pokoju.

Basia odzyskała już zdrowie, lecz znacznie pobladła od strasznej tej nocy i wrażliwa była na wszystko. Zobaczywszy nagle Wróblików w progu pokoju swego, drgnęła, zerwała się z miejsca i zbiegała jak lilja.

— Basiu — rzekł łagodnie starzec — to ja, nie lękaj się mnie! Przychodzę błagać cię o przebaczenie za winy moje!

Basia, widząc tę nadzwyczajną pokorę i zmianę u starca, złamanego nieszczęściem i bólem, rozplakała się i obiedwie ręce wyciągnęła do niego. Wró-

blik głowę Basi przytulił do piersi, a dwie wielkie łzy stoczyły się po wybladłej i chudej jego twarzy.

— Niechżeż Pan Bóg was pocieszy! — mówiła słodko Basia i głaskała siwą brodę Wróblika swoją miękką i ciepłą dłonią.

— Czy przebaczasz mi, Basiu, wszystkie krzywdy wam sierotom wyrządzone?

— Dawno o nich zapomniałam!

— Tem lepiej dla mnie, ale pomimo to ja przed tobą wypowiadać się muszę wobec dzieci własnych, bo z tym ciężarem do grobu zejść nie chcę!

— Nie przypominajcie sobie, proszę, przeszłości, — łagodziła Basia.

— Muszę to powiedzieć, muszę, bo Pan Bóg nie odpuści!

Tu starzec milczał chwilę, jak gdyby zbierał myśli i siłę do wyjawienia winy. Basia przysunęła mu krzesło, Wróblík spoczął na niem, a że wstydił się niewinnego wzroku Basi, więc powieki spuścił ku ziemi i począł mówić przyciszonym głosem:

— Słuchaj, jam wszystkie pieniądze za sprzęty wasze po matce wziął dla siebie! i pieniądze za Białybę i kasztanka też zabrałem! A was sieroty nieraz głodem morzyłem i spać kazałem w zimnej komorze, gdzie lód iskrzył się na ścianach! Brudno i odarto wam chodzić pozwoliłem, nie dbając wcale o ciało, rozum i duszę waszą! Wydzierżawiłem później rolę i chatę Sumom za wyższą cenę, a wam płaciłem o wiele mniej! Wreszcie sprzedałem całe gospodarstwo za marną sumę i jeszcze zarobiłem 300 talarów. — Straszne to winy! Pan Bóg mie

ukarał i dotąd karze żonę i dzieci moje, a was podwyższył i podwyższać będzie! Rozum wam dał i zdrowiem obdarzył i urodą i cnotą — i użył chleba w obfitości! Nie będę patrzył na wasze szczęście, szkoda, byłoby to dziś pociechą dla mnie biednego! O, niech wam Pan Bóg błogosławi — a mnie wybaczy, bo zejdem niedługo z tego świata! — Cierpię nad tem, że wam dziś długów spłacić nie mogę, ale niechżeż dzieci moje wam zwrócą, skoro zarobią. Władek i Marta są świadkami wyznania mojego — i wam też, dzieci, rozkazuję powtórzyć starszym rodzeństwu wszystko to, co w tej chwili słyszeliście ode mnie wobec Basi! Pamiętajcie, że grzech i dług ciąży na sumieniu rodziców waszych i prędzej im odpuszczonym nie będzie, aż nagrodzicie sierotom to, co rodzice im zabrali!

— Ojczy, skąd tyle pieniędzy weźmiemy?! — jęknął Władek blady i wzruszony. — Chciałby to kiedyś oddać, lecz to kwota znaczna!

— Ani podobna odpłacić! — zawołała szorstko Marta.

— Im większa suma, tem większy grzech rodziców waszych, tem cięższa pokuta! Pamiętajcie dzieci i ratujcie nasze dusze! — jęknął Wróbnik i głowę znużoną złożył na dłoniach, wsparty o łaskę.

— Uspokójcie się wszyscy! — pocieszała znów Basia słodkim głosem — jeżeli ja przebaczam, to i Walek przebaczy, a Pan Bóg będzie wam miłosierny, bo o to prosić go będę wraz z bratem!

Stary Wróbnik zsunął się z krzesła na kolana przed Basią, ucałował jej rękę i zrosił ją gorącemi



łzami. Basia roniła łzy razem ze starcem i podniosła go z ziemi. Władek odwrócił się i ocierał oczy, lecz Marta w górę zadarła głowę, a im więcej ojciec upokarzał się przed Basią, tem zimniejszą i dumniejszą się stawała!

— Co ojciec wyprawia! — rzekła. — Za bardzo się już upokarza!

— Pokora niebiosa przebija — zawołał starzec podniesionym głosem — a tobie, Marto, biada, skoro pójdziesz śladem dumnej twojej i upartej matki!

Marta ścisnęła palce z całej siły, chcąc na czemś chwilowo złość swoją wyrzucić i nieledwie gwałtem wyprowadziła ojca ze dworu.

Basia, po wyjściu Wróblika, znużona upadła w krzesło i chustką zakryła oczy. — Władek został w pokoju i z boku, nieśmiało spoglądał na Basię. Oddawna pragnął z nią pomówić chociaż słówko, wszak ją uwielbiał od dziecka i on jeden z Różą był pociechą sierotom podczas ich pobytu w chacie ojca, ale nie śmiał Basi zaczepić, nie wiedział, jak ją nazywać, zdawała mu się zbyt gładka, zbyt uczona do niego, prostego chłopca. Dobrotliwy uśmiech na twarzy Basi i łagodne, prawie anielskie obejście się z ojcem, ośmieliło go nareszcie, więc szepnął cicho i słodko:

— Panienko — Basiu!

Basia drgnęła i spojrzała wystraszonemi oczyma.

— To ja — Władek! — mówił chłopiec lęklwym głosem.

— Czy masz jakie życzenia lub pragnienia?

— Mam, o mam! Chciałbym zwrócić, wszystkie pieniądze, które matka i ojciec wam, sierotom, kiedyś zabrali, ale nigdy pewnie tyle nie zarobię! Może w inny sposób mógłbym się wypłacić?

— O czem myślisz, Władek? — pytało dziewczę łagodnie.

— Chciałbym ci służyć całe życie, panienko — Basiu droga i złota moja! — Tu Władek rzucił się na kolana, objął nogi Basi i szlochał w głos.

— Władek, wiesz przecież, że jestem uboga, że sług nie potrzebuję i utrzymywać ich nie mogę.

— Nie odpychaj mię! — jęknął chłopiec. — Ty wiesz, że od dziecka byłeś mi wszystkim! Jam cię kochał wpierw, niż Stefan!

— Nie mówmy o tem, Władek, nie godzi się narzeczonej słuchać wyznań innego młodzieńca. Wszak wiesz, że Stefana kocham i jemu słowa dotrzymam!

— Więc weźcie mię za sługę! — mówił Władek drżącym głosem, patrząc błagalnie w twarz Basi — żebym przynajmniej mógł być blisko was!

Basia spojrzała na niego z współczuciem:

— Wstań Władek i bądź dobrej myśli, jeżeli Walkowi i Stefanowi się powiedzie, to i o tobie nie zapomnę, boś dużo nam serca okazał, a Pan Bóg ci za nas, sieroty, nagrodzi za każde słowo, któreś wypowiedział ku obronie i pociesze naszej!

Władek wyszedł od Basi pokrzepiony na duchu pomimo odmowy, której się zresztą spodziewał, ale przynajmniej widział to swoje kochanie i z niem rozmawiał, a z czasem może Pan Bóg go i pod jednym

dachem z Basią umieści! Chce i pragnie jej służyć i dla niej pracować, a za nagrodę całą chociażby, tylko na nią popatrzeć, choć słówko jedno z nią pomówić! — Tak marzył Władek, wracając do chaty Sumów — Na progu jakże odmienny przedstawił mu się obraz: Ojciec leżał zemdlony na łóżku, blady jak płótno, matka rwała włosy, jęczała przeraźliwym, nieludzkim głosem, a Marta załamywała ręce z rozpacz.

— Jedź po księdza, Kazimierz! — zawołał nagle stary Sum. — Wróblík jutra nie doczeka!

Placz żalorny rozległ się na nowo. Kazimierz wypadł z chaty, zaprzął siwka i pędził co tchu do kościelnej wioski. W godzinę później stanął proboszcz przy łożu chorego starca, zaopatrzył go na drogę do wieczności. Tego samego dnia, nim wieczór zapadł, opuścił Wróblík ten ziemski padół, dążąc po nagrodę lub karę.

Marta i Władek stali się odtąd, prawdziwemi sierotami, bez mienia, bez chaty, bez ojca i nieledwie bez matki, bo obłąkana i chora nie mogła im dać ani miłości, ani opieki, ani starań macierzystych; była im dziś raczej przyczyną boleści, niż pociechy.

Basia, dowiedziawszy się o śmierci opiekuna, przybiegła zaraz do chaty Sumów, nie zważając, że może jej znów grozić nowe niebezpieczeństwo. Przyszła odwiedzić ciało i wręczyła Marcie pieniądze na podzwonne, na telegram do Antka i Kasi, a Władka pocieszała serdecznemi słowy.

Nad bezpieczeństwem Basi czuwał Kazimierz, pilnując śpiącą w tej chwili Wróblíkową.

Antek i Kasia zjechali wprawdzie na pogrzeb ojca, lecz cała wieś zgorszyła się nimi. Kasia nawet pacierza nie zmówiła za duszę ojca, tylko ciekawie rozglądała się po domu, w kościele i na cmentarzu, pyszniąc się kapeluszem piętrowym, przystrojonym całym ogrodem kwiatów.

Antek witał się z każdym sztywno i mówił obcym językiem do swoich i do znajomych.

Wszyscy włościanie, na widok Antka i Kasi, ruszali z pogardą ramionami, odwracali się i spluwali. Dumny brat i lekkomyślna siostra udawali pana i panią, a groszy nawet tyle nie zarobili, żeby na pogrzeb ojca złożyć po kilkanaście marek. Wróblikowie niestety byli bez sposobu do życia, więc wieś złożyła się, pp. Pączkowscy, Basia i Leosia i pochowano porządnie, lecz ubogo, najzamożniejszego niegdyś osadnika Grzybowa.

Po pogrzebie poszedł Antek po radę do pana Pączkowskiego, co zrobić z matką? We dworze chciał się też popisywać obcym językiem, ale pan Pączkowski zmierzył go od stóp do głowy i spytał ostro:

— Czy wyparłeś się matki i ojca? Czy wyparłeś się wszystkiego, z czem zrosłeś, co cię otaaczało od kolebki, co cię wiąże z życiem, które ci Pan Bóg dał?

Antek zaczerwienił się po same uszy, zmieszał się i nareszcie wyjąkał, że robi to dla chleba!

— Mój bracie — rzekł pan Pączkowski poważnie — to smutnie! Lepiej, żebyś jadł chleb czarny, a kochał i szanował wszystko co twoje, aniżeli



spożywał przysmaki, które ci niedługo kością w gardle staną! Inaczej też być nie może, bo do nich z natury rzeczy nie masz prawa. Każdy uczciwy i godny cudzoziemiec szanuje w tobie przywiązanie do wiary i języka, a tylko podły ci to zganić może, a podłego alboś miał przyjacielem, albo nie, zaszczytu ci nie zrobi, ani szczęścia, ani chleba ci nie przymnoży. Chcesz, żeby cię ludzie szanowali, to stój wiernie na tem stanowisku, na którym cię sam Pan Bóg postawił. Kochaj to, czem cię Stwórcą obdarzył od niemowlęstwa twego: kochaj rodziców, rodzinę, język, którym pierwszy raz przemówiłeś do ojca i matki, chatę, w której stała kolebka twoja, ziemię, która cię żywiła i żywi — i kochaj tę wiarę, która ci daje dziedzictwo królestwa niebieskiego!

Po takim przemówieniu pana Pączkowskiego, Antek wprawdzie zwiesił głowę, ale skruchy nie było, bo spojrzenie jego było ponure i harde.

— Zapóźno! — pomyślał pan Pączkowski, patrząc na niego badawczo. — Złe zapuściło już zbyt głęboko korzenie!

Za radą pana Pączkowskiego gmina postarała się, żeby wdowę Wróblikową umieścić w domu obłąkanych. Marta i Władek poszli w służbę. Gospodarstwo po Wróblikach miało pójść na subhastę.

## ROZDZIAŁ IV.

---

Basia i Leosia wysłały obszerne listy do Ameryki z doniesieniem o nieszczęściu Wróblików. Basia wspomniała też o skrusze opiekuna i prosiła Walka, żeby mu win nie pamiętał.

— Kochany bracie — pisało dziewczę — spojrzij na Ukrzyżowanego i przebacz mu. Chrystus, Zbawca ludzkości, pamiętaj, winy odpuszczał nieprzyjaciółom Swoim, którzy Go krzyżowali!

Walek czytając pismo Basii, jęknął z cicha:

— Chatka, droga moja chatka! Pocoś nam ją stracił! — i obydwoma rękoma chwycił się za głowę. — Gdyby nie Wróblík — narzekał — byłbym dziś w kraju, może już na własnym chlebie! Z groszem w ręku łatwiej i prędzej dojść do celu, a dziś tęsknota mię zabija!

— Wola Boża! — szepnął Stefan.

— Wola Boża! — powtórzył jak echo Walek i smutnie zwiesił głowę.

Wieczorem pomodlił się za duszę zgasłego opiekuna, lecz noc spędził bezsennie. Od dni kilku czuł się niezdrów, dreszcze wstrząsały jego ciałem. Nazajutrz zdołał zaledwie się dowlec do fabryki, bo siły go opuszczały. Umieszczono Walka, za staraniem pana Minda, w szpitalu miejskim, gdzie się rozwinęła u chorego niebezpieczna febra. — Młody fabrykant często odwiedzał Walentego, los tegoż bardzo go obchodził, tembardziej że wybrał sobie w myśli dawno Walka i Stefana na współpracowni-

ków w fabrykach, które zamierzał urządzić w przyszłości.

Wszyscy rodacy koledzy Walentego i Stefana, młodzi technicy, zakłopotani byli chorobą towarzysza, był on ich dobrym duchem ożywczym, zachętą ku cnocie i pracy.

— Bracia, nie poddawajmy się rozpaczcy — mówił nieraz do towarzyszy, widząc ich zwątpienie. — Pan Bóg nad nami! Z modlitwą na ustach, z nadzieją w sercu pracujmy szczerze, a przecież dni lepsze zabłyszczą dla nas! Cóż stanie się z niedołączonymi starcami i dziećmi, skoro my, młodzi, już w rozkwicie sił rozpaczać zaczniemy i ręce opuścimy?! Ha, może się tylko szczycimy siłą ciała, a mocy duszy nam brakuje — stąd to zwątpienie i upadek ducha! Więc szukajmy i nabywajmy hartu i mocy duszy: krzepmy duszę gorącą wiarą w Boga, ukojmy ją modlitwą, nasycajmy zacnem słowem naszych uczonych ludzi. Czytajmy, bracia, czytamy więcej, a duch się wzmocni! — Walenty dostarczał książek dobrych przyjaciółom i zachęcał do czytania, do tworzenia kółek i towarzystw, żeby się wzajemnie pouczać i pocieszać, ducha wzmocniać i podnosić.

Przyszły na chorego Walentego ciężkie chwile; Stefan był w rozpaczcy, bo zdawało mu się, że przyjaciel jego najdroższy dogorywa, sprowadził więc kapłana. Chory zrywał się, płonącymi oczyma rzucał niespokojne spojrzenia, wspominał w gorączce wszystkie drogie mu osoby z Grzybowa, a z ich imieniem spletał wyrazy: „Chatka!“ — „chatynka!“

Wreszcie zaczął mówić o umarłych, co słysząc Stefan, twierdził na pewno, że Walenty jutra nie do-czeka. Łzy wielkie płynęły mu po ogorzałej twa-rzy, siedział nad łóżem chorego, trzymając czule dłoń jego wychudłą w swoim ręku i wpatrywał się w przyjaciela z dziwną rozpaczą w oczach. Chciał wrazić sobie w pamięć jego rysy, chciał jesz-cze słówko z niego wydobyć dla Basi, Leosi i sie-bie. — Och! on mu zawdzięcza wszystko, czem dziś jest! Lecz zabiegi jego były daremne, Walenty nie miał przytomności. Stefan obejrzał się z trwogą wkoło siebie, w szpitalu było schludnie i czysto, ale twarze obojętne raziły go. Dużo tu osób krzą-tało się około chorych, każda z nich zrobiła swoje i poszła pełnić dalsze obowiązki, nie było więc czasu na słowa współczucia lub szczerą pogawędkę. Zresztą personel szpitala przyzwyczał się do wi-doku chorych i umierających, — był to ich chleb powszedni.

— Jakże to strasznie chorować na obczyźnie, bez serc swoich, czułych, kochających! — pomy-słał Stefan i począł w głos szlochać.

Chorego bezwiednie raził płacz Stefana, co chwila spoglądał na niego zapadłemi oczyma, ale wzrok to był nieprzytomny. Twarz Walka zmieniła się, rysy wydłużały, a siły jego były tak wycień-czone, że lekarz nawet zwątpił o wyzdrowieniu. Wtedy to Stefan położył Walentemu na piersi wi-zerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, który mu dała Basia przy pożegnaniu i padł z pokorą na kolana:



— O Marjo! — wołał głosem przytłumionym i drżącym. — Tyś nas ratowała w tylu trudnych sprawach prośbą Swoją u wszechmocnego i litościwego Syna Twego, nie opuszczaj nas i na obczyźnie. Bądź nam matką! tak matką, pociesicielką, lekarką, karmicielką, bądź naszą siłą!

Nad ranem chory się uspokoił, pobladł wprawdzie znacznie, lecz zapadł w sen pokrzepiający. Stefanowi zdawało się, że Walenty kończy, z trwogą znów obejrzał się wokoło, wtem z pobliskiego łóża doszedł go jęk cichy, przenikliwy, bolesny. Stefan zbliżył się do chorego, którego nie znał.

— Pan jesteś Polakiem i katolikiem? — pytał umierający. — Słyszałem, jak się modliłeś.

— Tak, panie, — odparł Stefan — pan widzę bardzo słaby, może masz jakie pragnienie lub życzenie?

— Mam! — szepnął chory — prześlij pan list ten bratu, adres napisany na kopercie. — Tu drżącą ręką podał list Stefanowi:

— Jam z Księstwa Poznańskiego — umrę zdala swoich, na obczyźnie! Tak mi ciężko, tak strasznie mi ciężko być opuszczonym! Nawet grudki mojej drogiej ziemi nie rzucą mi na mogiłę!

Choremu stoczyły się dwie wielkie łzy po wybladłej twarzy, głowa opadła ze wzruszenia na poduszkę. Leżał całą chwilę jak martwy, nagle zerwał się i wyciągnął rękę do Stefana:

— Pożegnaj pan wszystkich rodaków ode mnie, a zaśpiewajcie mi nad grobem, „Witaj Królowo!“ — Stefan uścisnął dłoń choremu i pocieszał go; odtąd

chodził od łoża Walentego do łoża nieznanego, czuwał nad chorymi i opiekował się nimi.

Skoro świt zbierał mgły poranne, dusza nieznanego poszła do Pana.

Walek spał i spał, a sen ten był dla niego wybawieniem z dotkliwej choroby.

Stefan z rodakami swymi odprowadził zwłoki Poznańczyka na miejsce wiecznego spoczynku i tam, z ściśnionych bólem i tęsknotą piersi, dobyte się i rozbrzmiała po rosie porannej pieśń nasza „Witaj Królowo“.

Stefan łzy ronił śpiewając, a po skończonym śpiewie, pomyślał z cicha:

— Chociaż bryłkę maleńką ziemi naszej sprowadzę ci, biedaku, żeby nią posypać mogiłę twoją!

Po smutnym obrzędzie wrócili wszyscy do miasta. Stefan został dłużej i nazaczył sobie grób Poznańczyka, żeby kiedyś do niego znów zajrzeć.

Walenty powracał zwolna do zdrowia, a serdeczna i tkliwa opieka Stefana wzruszała go. Poznał też w chorobie swojej zacność i dobroć młodego pana Minda i zapragnął mu służyć jako godnemu prawdziwie człowiekowi.

Młody fabrykant zmienił nagle plany swoje, dłużej nie chciał pozostać w Ameryce niż półtora roku i zapytał się Walentego i Stefana, czy chcą z nim dzielić dalsze losy. Z radością zgodzili się nasi dwaj młodzi na projekty pana Minda, a przedsiębiorstwem jego byli zachwyceni.

Młody fabrykant chciał wrócić do Antwerpii i przebyć w niej kilka miesięcy, następnie zamie-

rzeł udać się do Prus i Królestwa Polskiego, żeby założyć fabrykę machin. Będąc synem zamożnego i słynnego fabrykanta, miał kredyt, zaufanie i znaczny fundusz na swoje usługi, a jako poparcie — sławę firmy ojcowskiej.

Trzy miesiące już tylko dzieliły naszych podróżnych od wyjazdu z Ameryki. Z jakimże upragnieniem oczekiwali dnia tego, żeby się zbliżyć do swoich stron i wkrótce uściskać dłoń ukochanych!

Kilka dni przed wyjazdem odebrał Stefan list od Basi, a w nim trochę czarnego prochu — odrobinę ziemi naszej. Jakżeż się ucieszył temu darowi Basi! Rankiem zaraz pospieszył na grób opuszczonego Poznańczyka i ziemię naszą szarą rozprószył po jego mogile. Stefanowi zdawało się, gdy się modlił pochylony nad mogiłą rodaka, że słyszy głos zgasłego, że czuje uścisk ręki jego! W tej chwili przez gęste i lśniące liście drzew cmentarnych przedarły się złote promienie słońca i oblały światłem opuszczoną mogiłę i modlącego się na niej młodzieńca. Dziwna radość i żalność zarazem wstąpiła w serce Stefana, czuł, że zadowolili zgasłego; było mu tak na sercu, jak gdyby spełnił dobry uczynek.

Nareszcie nadszedł dzień odjazdu z Ameryki — z lekkim sercem wstąpili nasi podróżni na okręt, płynący do Europy. Dużo przecierpieli i przebyli w czasie pobytu swojego w Stanach Zjednoczonych, tęsknota, praca uciążliwa w dnie upalne, nędzne pożywienie, wreszcie i choroba, w której życie Walentego wisiało na włosku, zmęczyły ich. — Stefan widział w wyzdrowieniu Walentego łaskę nadzwymy

czajną, wyproszoną siłą modlitwy niewinnych serc Basi i Leosi. — Pomimo doznanych trudów i przykrości pobyt ich na drugiej półkuli nie był bez korzyści. Pracowali po pół roku w trzech najsławniejszych fabrykach, wprawili się znacznie, widzieli wiele i dużo nabyli wiedzy. Prawdziwem bogactwem dla nich były świadectwa, któremi ich zaopatrywali fabrykanci, chwalono w nich zręczność młodych techników, znajomość rzeczy, pilność i uczciwość. Z takimi świadectwami śmiało mogli pójść w świat, żeby szukać chleba, ale nie myśleli chwilowo opuszczać młodego pana Minda, bo wierzyli w zapobiegliwość jego i uczciwość.

Podróż morską przebyli dosyć szczęśliwie, chociaż borykać się musieli z silnymi wichrami. Morze bywało nieraz bardzo wzburzone, a potężne bałwany rzucały okrętem. Stefan stał zamyślony na pokładzie i przyglądał się tej walce rozhukanego żywiołu z drewnianą ich siedzibą, która zdawała się być nikłą łupinką orzecha na potężnem morzu, gdy nagle olbrzymi bałwan zatoczył się na pokład, siłą swoją powalił Stefana i szarpnął nim gwałtownie ku morzu. Za chwilę nasz podróżny byłby stał się pastwą nurtów morskich, lecz przytomny i silny kapitan, uchwycił go w samą porę i wydarł ofiarę śmierci.

— Ha, może jeszcze nie dopłyniemy do Europy! — zawołał Stefan do Walentego. — Ty byłbyś zginął nieledwie na lądzie w Ameryce, a ja tu -- na morzu!



— Widocznie żyć macie — odezwał się młody Mind — skoro śmierć was nie zabrała! Czeką was praca dla dobra ludzkości w naszej Europie!

— Obyśmy tylko umieli zadowolić pańskie wymagania i podolać zadaniu naszemu — odparł poważnie Walenty.

— Gdzie dobre są chęci i wola, a przytem szczerą praca, tam wszystko się znajdzie — dodał kapitan.

W Antwerpii pracował Walenty ze Stefanem dwa miesiące w fabryce starego pana Minda. Doświadczony fabrykant chciał pójść pewną drogą, więc pragnął sam się przekonać o zdolnościach naszych dwóch techników. Zdanie starszego fabrykanta wypadło, ku wielkiej radości młodego pana Minda, na korzyść naszych młodzieńców. Starszy i młodszy pan Mind godzili się na to, żeby na stałe zaangażować Stefana i Walentego i dać im pewne utrzymanie, a chwilowo zwolnić ich zupełnie z obowiązków na kilka tygodni, żeby mogli odwiedzić strony swoje rodzinne. Przyszło więc do wzajemnych układów, które okazały się bardzo korzystnymi dla naszych dwóch techników, bo dawały im one nie tylko dobre utrzymanie, ale, zwłaszcza Walentemu, i lepsze stanowisko, więcej samodzielne, stąd też znaczenie większe w społeczeństwie.

Zaopatrzeni w tak świetne świadectwa i pewni na przyszłość stanowiska, dążyli z bijącym sercem do Basi i Leosi, nie donosząc im nic o swoim przyjeździe. Dziewczęta pracowały znów w szwalni i mieszkały u dawnej opiekunki. — Nasi podróżni

przybywszy do miasta, cicho zastukali do mieszkania Koziółczykowej. Odpowiedział im głos altowy, staruszki, zapraszający do wejścia. Po chwili drzwi się rozwarły na oścież, a w nich ukazała się okrągła postać pani Koziółczykowej z kryzą wielką u czepca.

— Jezus! Marja! — krzyknęła starowina i cofnęła się — duchy, czy co?! Po krótkim namyśle rozwarła ramiona i obydwóch młodzieńców jednyną objęła uściskiem. Całowała ich jak matka i tuliła do serca, wreszcie napatrzywszy im się do woli, pobiegła przyrządzać dla nich kawę. Dziewczęta były jeszcze w szwalni, więc Stefan i Walenty poczęli się rozglądać w pokoju Basi i Leosi. Każda z nich miała białe jak śnieg łóżeczko, nad niem obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i krzyż. Między łózkami stał ołtarzyk, okryty białymi firankami, a na nim spostrzegł Walenty dwa obrazy z ukochanej chaty, Jezusa Chrystusa w koronie i Matkę Boską Bolesną, otulone kwiatami i muślinami. Mimowoli padł przed temi obrazami na kolana i modlił się gorąco, za jego śladem poszedł i Stefan. Dziękowali Panu Bogu wdzięcznem sercem za szczęśliwy powrót do kraju i ojcowską Jego opiekę w nieszczęściu i na obczyźnie. Powstawszy z klęczek, spostrzegli na komodzie pośród książek i pism, fotografie swoje, uwienieczone kwiatami.

— Wierne duszyczki — szepnął Walenty. — Pełne poświęcenia i miłości! Jakżeż im się odwdzięczymy? — zawołał Stefan.

— Ha, poczekaj! — wtrącił Walenty z żywością — musimy drogim istotom zrobić niespodziankę podwójną! Ty biegnij po kwiaty, ja pójdę po ciasta i wino.

Porozumiawszy się, wynieśli się obydwaj cichaczem.

Poczciwa Koziółczykowa z ogromnym pośpiechem krzątała się około kawy, aż wary na nią były. Stawia filiżanki na tacę i smaruje bułeczki, miele kawę, warzy śmietankę, wreszcie cała obciążona przyborami do podwieczorku, wchodzi i serdecznie przemawia już od proga do Walentego i Stefana — nagle spostrzega — że niema nikogo!

— Jezus, Marja! — krzyknęła powtórnie, zatoczyła się i byłaby niechybnie upuściła tacę z filiżankami, gdyby nie stół w pobliżu, o który zdołała się oprzeć. Cała wystraszona, poczęła się oglądać po pokojach; a nie widząc żywej duszy, zaiamała ręce:

— To były ich duchy! to mary tylko! Boże, oni pomarli w Ameryce.

I poczęła płakać i dziwny lęk chwycił ją za serce, drżała na całym ciele i szeptała bezustannie:

— Tak, tak, to były duchy! Niechże spoczywają w pokoju! — Za chwilę drzwi się znów rozwarły na oścież i szybko wbiegł Walenty ze Stefanem, niosąc paczki, a za nimi szedł wyrostek z kwiatami.

— Żyją! żyją! — wołała uradowana staruszka, a serce jej wciąż drżało jeszcze ze wzruszenia. —

Coście wy mi narobili, ledwie nie umarła z przerażenia! Aby Basi i Leosi takich figli nie wyrządzajcie!

Walenty i Stefan postanowili zachować ostrożność, bo bali się złych następstw.

Przybrali starannie kwiatami mieszkancko dziewcząt, ciasta i wino ustawili na stole, a sami skryli się w głąb alkowy. Wkrótce nadeszła Basia i Leosia, bardzo zmęczone i strudzone pracą i siedzeniem w szwalni. Spostrzegłszy zaraz zmianę w pokoju, poczęły się trwożyć.

— Skąd te kwiaty, proszę pani? — zapytała Basia.

— Kto przysłał te ciasta i wino? — badała Leosia.

— To są dary, które przyjąć musicie...

— Żarty pani stroi! — zawołała Basia — darów żadnych nie przyjmujemy!

— Cóż nas te prezenta obchodzą?! — dorzuciła Leosia.

— Nie wyrzekajcie się tak bardzo, alboważ was tu dużo młodych nie uwielbia za waszą pracę, cnotę i skromność, a ten blondynek z Rycerskiej, a szatynek z Kolejowej?

— Jeżeli te prezenta są od nich, to zabierzemy się zaraz do odesłania takowych — zawołała Basia z oburzeniem.

— Nam wystarcza nasz chleb skromny, własną ręką zapracowany — dodała Leosia i nagle zabrały się do sprzątnięcia przysmaków ze stołu.



— Co robicie?! Przyjrzyjcie się tylko wszystkiemu, a nie odpychajcie z taką pogardą! — upominała Koziółczykowa. — Leosiu, patrz, co za pyszne lewkonje! O, chociaż jedną donicę zostawcie z kwiatami na okienku!

— Nic tu nie zostanie, zgoła nic! — wołała Leosia, a lice jej pałały. — Żadnych znajomości nie pragniemy!

— Byłoby to ubliżeniem dla Walka i Stefana! — dorzuciła znów Basia.

Słowa te chciwie chwytali nasi młodzi, ukryci w alkierzu i z radości i szczęścia wystedzieć nie mogli, więc weszli cicho i od proga miłym zawołali głosem:

— Basiu! Leosiu! Pomożemy wam sprzątać!

Drgnęły obydwie dziewczki na dźwięk tych głosów! Basia upuściła doniczkę z kwiatem, a Leosia zachwiała się cała.

— No, ucieszcie się! — rzekła staruszka — to nie duchy, ani mary! Zdrowi są i żywi!

Ile słów serdecznych sobie nawzajem wypowiedziano, łatwo pojąć, a trudno opisać. Pocziwa wdowa radowała się, śmiała i płakała z rozrzewnienia razem z nimi, darząc ich czułą i prawdziwie macierzyńską opieką. Młodzi spoglądali po sobie, robiąc uwagi, które im serce nasuwało.

— Pomizerniały nasze dziewczki — odezwał się Walenty.

— To samo możemy powiedzieć o tobie, Walek, i o Stefanie, nieprawda Leosiu? — mówiła Basia.

— O tak, zwłaszcza Walek pobladł znacznie.

— Będzie nam lepiej, skoro nas praca i miłość dozogonna połączy na zawsze! — zawołał Stefan z zapalem — bo może blisko jesteśmy upragnionej chwili, gdy zobaczymy pewny już dach nad naszymi głowami!

— A chatka nasza? Daleko do niej jeszcze! — jęknął Walenty.

— Świeżą mam z Grzybowa wiadomość o naszej chatynce — wtrąciła Basia. — Sum stary nabył na subhaście gospodarstwo po Wróblkach i chce sprzedać dawniejszą naszą chatę i ziemię.

— Czy być może?! — krzyknął Walenty uradowany.

— Stefan, bracie, chatynkę kupić muszę!

— Koniecznie, koniecznie nabyć ją trzeba! — wtórowali Walentemu Basia, Leosia i Stefan.

Poczęto radzić i rozważać. Każde z nich miało trochę grosza i Koziółczykowa ofiarowała oszczędności swoje z chęcią prawdziwie życzliwej osoby, ale gdy całość zliczono, okazało się, że kwota była jeszcze zbyt mała.

— Poradzimy się naszego proboszcza — zawołał Walenty — i pana Pączkowskiego, a może Pan Bóg mi dopomoże!

Błogą myślą nabycia chatki zajęci, pojechali nasi technicy do Grzybowa. — Cała wieś spoglądała na nich jak na zwycięzców; wiedziano, ile przebyli znoju, z jakim hartem duszy przełamywali trudności, żeby dojść do chleba. Zaofiarowane im stanowiska u fabrykanta i świadectwa ich chwalebne z Ameryki w podziw wprowadziły mieszkańców

Grzybowa, a zacni opiekunowie, ks. proboszcz i pan Pączkowski, szczerze byli uradowani powodzeniem Walentego i Stefana. Wiedziano jednak, iż czegoś nie dostaje do szczęścia Walentemu; przypomniano więc sobie, że pragnął drogiej chatki swojej, dla niej od dziecka pracował, o nią walczył od wczesnego poranku swojego życia! Wszyscy życzliwi łamali więc sobie głowę, jakby ułatwić nabycie chaty i ziemi Walentemu. Najwięcej się jednak krzatali około kupna nasi technicy sami, chodzili do Sumów i badali ich zamiary. Stary Sum, w toku rozmowy, wydał się nareszcie z planem sprzedania chaty po Dąbkach, lecz nagle zerwał się z miejsca młody Sum, Kazimierz, mówiąc szorstko:

— Jeżeli ojciec nabył ziemię po Wróblkach, to ją posiadł dla siebie, a mnie zostawił tę chatę tu i glebę! Przywiązałem się do niej i sprzedać jej nie myślę!

Walenty spojrział ze smutkiem na Kazimierza, a westchnienie podniosło mu pierś:

— Kazimierzu! — szepnął — nie będziesz przecież tak uporczywym? Ładniejsze masz gospodarstwa w sąsiedztwie, nawet możesz się ożenić i łatwym sposobem dojść do ziemi i chaty!

— Masz rozum, Walenty! — dodał z radością stary Sum.

— Nie! nie chcę! nie mogę! — szarpał się Kazimierz, a płomień buchał mu z ócz, ostrym krokiem wypadł z chaty i z całej siły trzasnął drzwiami.

Stefan uśmiechając się, spojrział na Walentego:

— Idź za nim, Walek, i rozmów się, ja wracam do ojca.

Wyszli równocześnie z chaty Sumów, Stefan poszedł w stronę kuźni i Walenty zbliżył się do Kazimierza, opartego o płot ogródka.

— Namyśl się, bracie, a nie gniewaj się — przemówił łagodnie do Kazimierza. — Wszak ty jeden odziedziczysz wszystko po rodzicach, więc kiedyś będziesz miał gospodarstwo po Wróblkach.

Kazimierz poruszył się niecierpliwie, wreszcie, po długiej bardzo chwili odpowiedział przytłumionym głosem:

— Sprzedałbym może tę chatę i ziemię, ale pod jednym warunkiem!

— Pod jakim?

— Jeżeli — jeżeli... tu urwał i dokończył prawie szeptem — jeżeli Basia będzie moją? — Walenty zdumiał! Skąd u Kazimierza wzięła się ta miłość ku Basi? Nic mu o tem siostra nie mówiła.

— Nie rozumiem cię, Kazimierzu! Wszak wiesz, że Basia jest narzeczoną Stefana?

— Wiem... — syknął przeciągle jak wąż chłopiec i zagryzł wargi, a po chwili dodał:

— I cóż mi Stefan!? Pocóż mam cierpieć dla niego?!

— Ależ oni się oboje miłują od lat dziecięcych!

— Cóż z tego? — odparł pogardliwie.

— Ależ Basia bardzo jest przywiązana do Stefana!

Kazimierz zaciął pięści i odwrócił twarz.

— Chaty nie sprzedam! — rzekł szorstko.



— Z Bogiem! — zawołał ze stanowczością w głosie Walenty i odszedł.

Wieczorem naradzali się ze Stefanem, jak działać, żeby Kazimierza skłonić do sprzedaży.

— Trzeba go wyswatać z bogatą sąsiadką! — zawołał wesoło Stefan.

— Nie zechce.

— Dlaczegoż nie?

— Bo zajęty Basią!

— Basią? Więc to moje kochanie tyle miało wielbicieli? O, jakim szczęśliwy, że mię wybrała pośród tylu!

— Nie byłaby cię wybrała, gdybyś nie był tak szczerze się uczył i pracował, tem najwięcej serce jej ujął!

Kazimierz rzeczywiście gorącym sercem pokochał Basię i roił jakieś zamiary na przyszłość, stąd pogardliwym i zazdrosnym okiem mierzył Stefana, a całe dnie i noce przedumał, jakim sposobem odebrać na zawsze Stefana od Basi lub Basię od Stefana! Namiętność pożerała go, bladł i sechł z dnia na dzień. Rodzice martwili się nim, zdawało im się pierwotnie, że choroba ukryta pochłania siły chłopca, lecz któregoś wieczoru młody Sum sam się wydał niechcący z uczuć swoich. Matka Kazimierza zajęta była w komorze, młodzieniec wrócił znużony z pola, a przypuszczając, że znajduje się sam jeden w skromnym mieszkaniu, począł biadać i wyrzekać w głos:

— Pocóż mi się męczyć i trudzić?! Nie wiem dla kogo pracować będę? Dla niej robiłbym wszyst-

ko, od rana do późnej nocy, tak — dla niej, dla Basi! Ale cóż? Rodzice ani słuchać nie chcą o tym związku, bo Basia uboga — a i Stefanowi jej nie wydrę! A możebym i mógł ją wydrzeć? Ale jak? jak? Bez niej uschnę jak ten dąb młody nad drogą... i pracami obrzydnie i to życie marne... O, gdy tej miłości mi nie stanie, będę jako liść więdący bez rosy, i słońca!

Długie westchnienie wydobyło się z piersi Kazimierza; zmęczony walką wewnętrzną rzucił się na stół, a strudzoną głowę wsparł na dłoniach i milczał długo, bardzo długo. Matka zaniepokojona weszła po chwili i uważnie spojrzała na zadumanego syna:

— Co tobie, synu? — pytała z dobrocią.

— Matko, dajcie mi Basię! — szepnął chłopiec z rozpaczą w głosie.

— Gdyby ojciec zezwolił — ale przecież wiesz, że serce jej należy do Stefana.

— Usunę go, Basi serce zdobędę — niech tylko ojciec pozwoli... Matko! bo — bo — bo źle będzie!...

— Kazmierzu, złe myśli snują ci się po głowie, opanuj się!

— Nie mogę! nie mogę! — sykał przez zęby, i rzucał groźne spojrzenia ku drodze, nagle chwycił się za głowę i wybiegł. Wystraszona matka śledziła go niespokojnym wzrokiem.

Kazimierz wpadł do izdebki, w której sypiał i sięgnął po broń, wiszącą nad łóżkiem.

Drogą, o kilkanaście kroków od chaty szedł Stefan. Ludzie pracowali jeszcze w polu, wokoło było pusto i cicho.

— Albo on! albo ja! — syknął znów jak wąż i przez okno uchylone mierzył wprost w Stefana.

Wtem wbiegła zatrwożona matka, a widząc zamiary syna, nagłym ruchem ręki wytrąciła broń z dłoni szaleńca.

Rozległ się huk straszliwy, a po nim cichy jęk i rozpaczliwe wołanie.

Stefan drgnął, stanął i obejrzał się, a nie widząc nic, biegł co tchu tam, skąd jęki go dochodziły. Szybkim krokiem przeszedł mieszkanie Sumów, wreszcie w małej izdebce znalazł matkę i syna rannych.

— Na Boga! cóż się stało? — pytał Stefan mierząc badawczym wzrokiem bladego Kazimierza.

Kazimierz zamiast odpowiedzi, rzucił nań pogardliwe spojrzenie i milczał.

Sumowa zemdliała: Kazimierz podniósł się z ziemi i trzeźwił matkę, ale sam chwiał się na nogach, z ręki lewej sączyła krew. Widząc Stefan, że sam tu nie podoła, wpadł do najbliższej chaty po ludzi i wysłał po pomoc do dworu. Wkrótce zbiegli się wszyscy sąsiedzi i pp. Pączkowscy, żeby dopomóc nieszczęśliwym. Posłano natychmiast po lekarza, rannych opatrzone i złożono do łóżek. Po zbadaniu lekarza okazało się, że Sumowa zranioną ma pierś po prawej stronie, a syn skaleczone lewe ramię. Gdy Kazimierza pytano o przyczynę wypadku, milczał uporczywie, a chora opowiadała, że syn

mierzył do kota, jej ulubieńca, bo chodził w pole i tępił młodą zwierzynę, a ona mu wyrywała broń z ręki i nieszczęście się stało, bo fuzja puściła, raniąc ich obojga.

Stefan krzątał się razem ze starym Sumem około chorych, a czynił to z prawdziwej miłości bliźniego.

Stary Sum, wiedziony przecuciem, złorzeczył w duszy Kazimierzowi.

Prawdziwie dziwne było też zachowanie się Kazimierza:

W nieobecności ojca zrywał się i całował matkę po rękę, jakby ją chciał przebłagać za winę, a zarazem wkraść się w jej łaski; ojca wzroku unikał, odpowiadał półsłówkiem, a wobec Stefana milczał, oczy zasłaniał, gryzł wargi i ścisnął pięści.

— On albo ja! — syknął raz niechcący, zapominając, że w izbie znajduje się ojciec i Stefan. Słyszając to stary Sum, spojrzał na Stefana, Stefan na Suma. Nie powiedzieli sobie nic, lecz zrozumieli się. Stefan domyślając się wszystkiego, wyszedł zaraz, żeby nigdy więcej nie wrócić do chaty Sumów.

Biedną matkę Kazimierza męczyły dwa bóle, jeden z rany w piersiach, drugi z troski o przyszłość syna. Nieraz do siebie wzywała Motkową, żeby wybadać, o ile Basia jest przywiązana do Stefana, lecz z opowiadań staruszki, żadne nadzieje nie uśmiechały się Kazimierzowi. Motkowa chwytła chciwie każde słowo Sumowej i powoli doszła po nitce do kłębka. Z przywiązania do Basi udała się do Rychlika kowala i dalejże go przestrzegać, żeby Stefana wysłał w świat i przyspieszył ślub z Basią,



Z niedowierzaniem spoglądał Rychlik początkowo na Motkową, wreszcie szepnął:

— Złe nie śpi, tylko krąży jako lew ryczący, około nas.

Wieczorem postanowił zbadać Stefana. Syn niechętnie wydał się przed ojcem z podejrzeń swoich, lecz przyparty stanowczem żądaniem, żeby był szczery i otwarty, powiedział wszystko, co tylko wiedział; wyznał, co widział i słyszał i czego się domyślał. Nazajutrz Stefan wyjechał do dalszych krewnych, a stamtąd miał odwiedzać Basię, później wrócić do chlebowodawcy swojego i czekać na jego rozkazy.

Po wyjeździe Stefana począł jeszcze pilniej śledzić Kazimierza, a ułatwiał mu całą czynność Antek Wróblík, który zjawił się właśnie na krótko przedtem w Grzybowie. Wykolejony człowiek ten stawał się coraz to niebezpieczniejszym dla społeczeństwa. Nie dosyć, że sam był opojem i niegodziwcem, ale jak szatan kusił do złego, prowadził do kieliszka, namawiał do wędrówek po świecie, drwił sobie ze wszystkiego, co dobre i święte i śmiał się i wyszydzał najszlachetniejsze porywy duszy i serca. Poznawszy słabość Kazimierza do Basi, począł zachęcać do stanowczego kroku, a z prawdziwą to czynił przyjemnością, bo on i cała rodzina jego zawsze nienawidziła Dąbków i Rychlików. Nienawiść ta miała źródło w zazdrości, bo tak Dąbkowie, jak i Rychlikowie mieli mir w całej okolicy i poważanie, wysłużone cnotą i rozumem.

Stary Sum bardzo był przygnębiony nieszczęśliwym wypadkiem z bronią. Żona ciężko mu chorowała długie tygodnie, wreszcie wstała, lecz chodziła po chacie złamana, a lada powiew chłodniejszy wywoływał u niej kaszel męczący. Ciężkie wyrzuty, czynił nieraz ojciec synowi i ponurem okiem spoglądał na niego. Powoli dochodziły go posłuchy o prawdziwym powodzie strzału, wierzył i nie wierzył, wreszcie zmusił żonę do szczerego wyznania.

— A tośmy łotra wychowali — jęknął cicho, lecz strasznie — na szubienicy wisieć będzie.

— Nie mów tak, Stanisławie, on nie taki zły, to słaba chwila przyszła na niego!

— A od czego wola w człowieku?

— Każdy błądzi, i ja błądzę i ty błądzisz...

— Kiedym błądził tak bardzo? Mów!

— Stanisławie — szepnęła chora, zanosząc się od kaszlu — raz bardzo zbłądziłeś! Przypomnij sobie... Wróblík cię namówił, podeszliście sieroty Dąbkowej! Grunt i chatę przez podstęp nabyłeś za niską cenę!

— Nie mów mi o tem! Żle to było, czuję to dziś sam, dlatego sprzedałbym najchętniej zaraz i znacznie taniej chatę i grunt Walkowi, ale uparty ten Kazimierz psuje mi wszystko, a chciałbym złe naprawić.

— Rozmów się z nim otwarcie, rozsądek przemówi.

— Nie mogę, bo zacznie o Basi, a ja nie chcę z Dąbkami nic mieć do czynienia: Byłaby to nowa

krzywda dla nich, gdybyśmy chcieli poróżnić Basię ze Stefanem, żeby ją pozyskać dla Kazimierza.

— A jednak coś uczynić trzeba — mówiła błagalnym głosem kochająca matka — bo nasz syn jedyny zmarnieje!

— Niech szczerze się weźmie do pracy, to i zapomni o swoim kochaniu! — stanowczo odparł stary Sum i wrócił do swoich zajęć w polu. W tym samym czasie, w którym mąż radził z żoną o synie, siedział Kazimierz z Antkiem Wróblikiem w gospodarstwie i cichą wiedli z sobą rozmowę. Wreszcie znienacka wynieśli się aż na cmentarz, urządzone w polu z potrzeby, dla zgasłych kiedyś na zaraźliwą chorobę. Miejsce to spoczynku umarłych było całkiem zaniedbane i opuszczone przez ludzi. Mogiły zapadały, chwasty ogromne pokryły groby, płot się walił, tylko wielki krzyż dwuramienny przestrzegał lud i nawoływał do modłów za umarłych. Nikt tu nie chodził, nikt nie zaglądał, wiejską dziatwę upominano i prawiono jej, że źmije się lęga i węże w odwiecznej gęstwinie, więc omijała niebezpieczne to miejsce. Kazimierz i Antek usiedli na najbliższej mogile, która jeszcze sterczała niewielką wypukłością i długo naradzali się z sobą.

— No, i co robić? Mów! — zawołał Kazimierz — Basię mieć muszę, a tobie trud nagrodzę. Radź, boś sprytny!

— A ile mi dasz?

— Ile chcesz?

— Chociażby ze 200 marek.

— Opuść trochę!

— Nie targuj się, bo nic nie zrobię, albo zażądaj 300 marek!

Kazimierz milczał.

— Dasz 200, dasz?

— Dam — rzekł po chwili Kazimierz, ale aż będę po ślubie z Basią.

— Ho! chcesz się wykręcić!

— Dam, mówię do stu...

— Uspokój się, ale przysięgnij, że dasz, bo wszystko wydam i popsuję!

— Takiś to łotr! — pomyślał Kazimierz i spojrzawszy przenikliwym wzrokiem na towarzysza, lecz słowa nie wyrzekł, bo wiedział, że jedynie Antek może tu coś zdziałać i jemu dopomóc do dopięcia celu.

— Przysięgnij! — wołał Antek powtórnie — że dasz mi 200 marek, a na zadatek złożysz teraz dwadzieścia.

— Przysięgam! ale powiadam ci wyraźnie, że pieniądze dostaniesz dopiero po ślubie moim z Basią, a dwadzieścia marek dam ci zaraz.

— Niech i tak będzie; ale to wszystko zależeć będzie i od ciebie samego, czy nie okażesz się mazgajem.

— Więc radź, co czynić.

Tu Antek począł mówić szeptem:

— Jedyakiem jesteś, wszystko będzie twoje, prędzej czy później, na nikogo i na nic nie uważaj! Nabierz pieniędzy tyle, ile tylko możesz, wojskowe papiery są w porządku, paszport dostaniesz, uciekaj w świat, chociażby do Galicji, ja ci dostawię dziew-



czynę, a później to już rzecz twoja ją ułaskawić i zjednać dla siebie. Znajdą was może po dwóch, trzech tygodniach, a może i po sześciu i będziecie musieli powracać. Rodzice wybaczą ci i przyjmą synową i syna, a Stefan, chcąc nie chcąc, musi się usunąć i wyrzec.

— Hm — hm — namyślał się Kazimierz, może i dobrze radzisz, ale to rzecz niebezpieczna!

— Dlaczego?

— Ojciec mię przeklnie i wydziedziczy! Matka słaba, to ze zgryzoty umrze, a Basia gotowa się otruć, gdy zostanie ze mną.

— A pilnuj jej! A ojciec przecież nie będzie tak srogi dla jedynaka?!

— Nie znasz go, potrafi być gwałtownym! Ale powiedz mi, jakim sposobem chciałbyś Basię przywieźć mi do Galicji?

— To już mój kłopot! Naturalnie na koszt twój, bratku! Tu rozległ się piekielny i szyderczy śmiech Antka.

— I sądzisz, że uda ci się Basię wywieźć?

— Tak, jak się uda, wypić kieliszek wódki!

— Jeżeli tak mi zaręczasz, to gotów jestem uwierzyć!

— Kazmierzu! przystajesz na wszystko?

— Przystaję!

— Pamiętaj jednak wystarać się o sporo grosza, gdyż bez tego nic zdziałać nie można. Podróż, noclegi i utrzymanie pochłaniają dość wielkie sumy, a nadto i niejednego współnika musimy przekupić.

Podczas gdy Antek namawiał Kazimierza do tak haniebnego i podłego czynu, doszedł nagle ich uszu szelest z pobliskich zarośli.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał przestraszony Antek.

— Zając chyba tędy przeleciał — zauważył spokojnie Kazimierz — tu ludzka noga nie postanie.

Antek nie czując się jakoś pewnym siebie, począł się oglądać na wszystkie strony, przyczem spostrzegł, iż o kilka kroków czerniło się coś na miedzy; zgarbiona jakaś postać ludzka schylała się co chwila, wyciągała rękę ku ziemi i cofała ją do kosza.

— Cóż to za widmo?

Kazimierz spojrział i ruszył ramionami:

— To Motkowa, Bogu ducha winna, ani słyszy dobrze, ani widzi, starowina!

— A może też słyszała? Skąd się tu nagle wzięła?

— Dopiero co przyszła, a że leczy chorych, więc niezawodnie zbiera zioła.

Motkowa zbliżała się ku młodzieńcom. Nie pora była uciekać, przeto Antek i Kazimierz śmiałym krokiem podeszli ku staruszce, pytając, co tu robi?

— Zioła zbieram i odmawiam przytem pacierz — odparła — następnie zmierzwszy ich oczyma od stóp do głów, szepnęła, jak gdyby kończąc modlitwę Pańską:

— I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Słyszając Antek one słowa, uśmiechnął się szyderczo, lecz Kazimierz drgnął i zastanowił się

chwile, wodząc ręką po zachmurzonym czole; niestety, namiętność jednak pochłaniała całą jego wolę, więc nie mógł się oprzeć pokusie, a walczyć z sobą nie umiał. Z dnia na dzień wpadał też głębiej w kałużę grzechu, a Antek drwił sobie z niego, ciesząc się, iż jeden łotr będzie więcej na świecie.

Antek wyniósł się wkrótce z Grzybowa, ale ślady po nim zostały widoczne: Kazimierz bowiem stawał się szorstkim i hardym, wieczorami wysiadywał w gospodzie przy kieliszku, wodząc ponurym wzrokiem po wszystkich, i przy pierwszej lepszej sposobności każdego zaczepiał. Dawniejsi przyjaciele opuścili go, a uczciwi ludzie stronili od niego.

Jedna tylko myśl o władnęła go zupełnie: mieć Basię i ją posiadać, chociażby kosztem sumienia swojego, lub kosztem Stefana a nawet i szczęścia Basi! Nie zważał na nikogo, omijał wolę rodziców i nic nie myślał uwzględniać! Wiedział, że dużo będzie miał trudu do zwołania, zanim dojdzie do upragnionego celu, ale im większe przewidywał trudności, tem silniejsze paliło go pragnienie posiadania dziewczyny. W głowie mu nieraz szumiało od różnych tych myśli, któremi wiecznie był zaprzątnięty, a niektóre z nich na dobre u niego się zagnieździły. Wkrótce poczęło się w tem gnieździe łąć coś strasznego, coś obrzydliwszego od wszelkiego plugawego robactwa, a tem była chęć zniszczenia szczęścia i przyszłości dwojga kochającym się istotom, byle tylko dogodzić swej fantazji i namiętności!

Przedewszystkiem więc począł sobie łamać głowę, jakby to Stefanowi wyrwać stanowisko, wiedząc, że bez pewnego utrzymania nie poprowadzi Basi do ołtarza. W takim położeniu chodził często godzinami całemi po łąkach i polach, bijąc się z myślami, jakby się tu najlepiej wziąć do dzieła.

— Zanim Antek coś uczyni i ja działać muszę — mówił sam do siebie. — Dobrzeby też było, gdybym miał adres do tego fabrykanta, lecz skąd go tu wziąć? Nie chciałbym, żeby ludzie o tem wiedzieli... ale wiem co zrobię! Pójdę po adres do pana Pączkowskiego! — Tu klasnął w dłonie uradowany i pobiegł do dworu.

Pan Pączkowski wielce się dziwił z jego żądania, zwłaszcza, że adres do Stefana, o który prosił na ręce fabrykanta, znał przecież sąsiad Kazimierza, a ojciec Stefana, kował Rychlik. Nie przypuszczając jednak żadnej zdrady, dał mu adres, mianowicie gdy się Kazimierz począł tłómaczyć, że w pilnej jakiejś sprawie musi pisać do Walka i Stefana.

W kilka dni później dowiedział się pan Pączkowski przypadkiem od Motkowej, która przyniosła suszone zioła do dworu, że Kazimierz Sum i Antek Wróblík, w ostatnim czasie bardzo się zaprzyjaźnili, a wkońcu jeszcze staruszka dodała:

— Obydwom nie dobrze z ócz patrzy, i zdają się do czegoś namawiać. Wielce się obawiam, aby nie chcieli zaszkodzić Walkowi i Stefanowi, gdyż zazdroszczą im szczęścia, jakie ich spotkało, a nadto Kazimierz strasznie szaleje za Basią. Słyszac to



pan Pączkowski, bardzo się zatrwożył, żalując swej łatwowierności, postanowił jednak czuwać i dowiadywać się o naszych techników.

Ostrożna Motkowa drżącą ręką skreśliła kilka niewyraźnych zdań do Basi i Leosi, ostrzegając je przed Antkiem i Kazimierzem. Dziewczęta, czytając jej list, przelewały się, ale opiekunka ich, dobra Koziółczykowa, dodała im otuchy i śmiała się z przypuszczeń staruszki.

Tak Basia, jako też Leosia nie znały wypadku Kazimierza z bronią i jego przyczyn. Stefan zamilczał o wszystkim, nie chcąc drogich sobie osób niepokoić, i jedyny Walek tylko wiedział o tajemnicy w chatce Suma.

Walek ze Stefanem pracowali już znów w Antwerpji, a wkrótce mieli się przenieść do Łodzi, gdzie pan Mind zamierzał urządzić fabrykę. Wszystko było już nieledwie gotowe do podróży, wszelkie trudności usunięte, porozumienie się z władzą rosyjską załatwione, gdy tu naraz młody pan Mind począł wyjazd odkładać, a obejście się jego wobec naszych młodzieńców stało się zimne i obojętne.

— Niedobra to wróżba dla nas na przyszłość — pomyślał Walenty i z tą uwagą zwrócił się do Stefana — czyby nas kto oczernił?

— Wszystko możliwe — szepnął smutnie Stefan — iż nas z nienawiści oczerniono!

Zafrasowali się młodzi technicy i poczęli bacznie śledzić postępowanie pana Minda wobec nich. Młody fabrykant obojętniał coraz to więcej, unikał Ste-

fana i Walka, krótkie tylko dawał rozkazy i nie dąrzył ich nawet spojrzeniem.

Któregoś dnia w fabryce, w biurze przeznaczonem dla Mindów, słyszano żywą rozmowę, wreszcie drzwi się otworzyły i zawołano Walentego wraz ze Stefanem. Technicy wchodząc do biura, spostrzegli, iż młody pan Mind był zadąsany, a starymu oczy się iskrzyły i wielce był rozdrażniony.

— Znacie może niejakiego pana Schmidta z Wilczycy? — zwrócił się starszy fabrykant z pytaniem do Walentego i Stefana.

— Znamy go tylko z nazwiska — odparł Walenty pewnym głosem — mieszka bowiem o dwie mile od naszej rodzinnej wioski.

— Więc to jednak nie zmyśłone — nie poznaliście też przypadkiem pisma jego?

— Nie, nie widziałem nigdy pisma pana Schmidta — mówił Walek.

— Ale ja je widziałem — zauważył spokojnie Stefan. — Pan Schmidt pisał kiedyś do mojego ojca, żeby przybył na kilka tygodni pracować w kuźni wilczyckiej.

Starszy pan Mind wyjął przeto z kieszeni list i podsunął go na chwilę przed oczy Stefana.

— To nie jest pismo pana Schmidta — zawołał tenże żywo — jest ono bowiem więcej czytelne i bardziej zaokrąglone, a przytem pan ten posiada wypisaną rękę.

— Czy znacie może adres pana Schmidta?

— Owszem, wieś nazywa się Wilczyca, poczta Błędowo.

— Poczta Błędowo? — tu fabrykant rzucił wzrokiem na stępel pocztowy, wyciśnięty na kopercie.

— Na stęplu stoi wyraźnie Krukowo.

— To nasza poczta — wtrącił Stefan i uśmiechnął się.

Fabrykanci zamienili spojrzenie.

— Kto jest proboszczem w parafji waszej?

— Ks. Przyłbicki.

— A kto najzacniejszym obywatelem tejże parafji?

— Pan Pączkowski z Grzybowa.

— Możecie wrócić do zajęć waszych! — rzekł najspokojniejszym głosem starszy pan Mind, a skoro się drzwi za technikami zamknęły, odezwał się do milczącego syna:

— Oczerniono tych biedaków! Za mało jeszcze masz doświadczenia, mój synu; nie ufaj zbyt wiele ludziom, bo wiele jest złych istot na świecie, a nadto proszę cię, abyś przedwczasie nikogo nie sądził. Jak już bowiem nadmienilem, dużo jest oszczerców na świecie, którym to prawdziwą rozkosz sprawia, gdy mogą podkopać szczęście bliźniego.

— Trzeba więc koniecznie dojść prawdy! — szepnął młody Mind.

— Dojdziemy jej też powoli. Napisz dziś do pana Schmidta i poślij mu list ten z prośbą, żeby nam zechciał donieść, czy to jest własnoręczne jego pismo — i czy zdanie jego o Stefanie i Walentym zgadza się z treścią zawartą w liście? Później ułożysz jeszcze dwa inne pisma, i to do proboszcza

Przyłbickiego i pana Pączkowskiego, prosząc ich o sumienną opinię dotyczącą osób Walentego i Stefana, gdyż chodzi o bardzo ważną sprawę a zarazem i wysokie kwoty, które im mają być powierzone.

Młody Mind zabrał się zaraz do pisania, a starszy fabrykant, odczytywał półgłosem ów list oczerniający, który brzmiał, jak następuje:

„Nie ufaj pan Walentemu Dąbkowi, ani Stefanowi Rychlikowi, gdyż to oszusty, którzy cię okradną i znikną. Sprzeniewierzyli się już tyle razy innym fabrykantom, dlatego też właśnie wynieśli się w świat, aż do Ameryki, bo tu chleba już znaleźć nie mogli. Zręczni są i chytry! Strzeż się pan ich bardzo!“

Starszy fabrykant przeczytawszy słowa te, rzucił z gniewem list na stół:

— Jeżeli dojdziemy prawdy — zawołał z energią — to i oszczercę wykryć trzeba i prawnie ukarać!

Opodał, w fabryce, pracował pilnie Stefan i Walek, ale pierwszy posmutniał nagle, bo zdawało mu się w tej chwili, że ktoś go odrywa od Basi. Walek spoglądał na niego z boku, a widząc boleść na twarzy towarzysza i przyjaciela, dodawał mu ducha:

— Co tak się kwasisz, Stefanie i napróżno czemś głowę nabijasz? Wiesz przecież teraz już na pewno, że nas oczerniono, bo w liście dopatryłeś się naszych nazwisk. Nie lękaj się, tyle przetrwaliśmy, to jeszcze i to za Boską pomocą znieśliemy. Prawda bowiem na wierzch wyjść musi, niby oliwa!



— Musi wyjść na wierzch, musi, ale kiedy? Ileż czasu znów zmarnujemy — a Basinka droga, jedyna moja, męczyć się dłużej będzie.

Tu i Walenty biadać zaczął:

— Równo cierpimy — bo i Leosia też ciężko pracuje! A kochaną chatę moją... kiedyż zdobędę?  
— dodał po chwili.

— Chyba po śmierci wszystkich Sumów, a to niedoczekanie nasze! — zauważył Stefan.

— Wszystko od woli Boga zależy! — westchnął Walek. — Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi...

— Oj, że nosi, to nosi, byłbym już bowiem na tamym świecie, gdyby nie Boskie zrządzenie — a tak nieprzyjaciel mój sam sobie największą wyrządził szkodę, gdyż kula zraniła ukochaną jego matkę!

— Podobno biedna kobieta dogorywa? Jakież straszne wyrzuty sumienia musi mieć Kazimierz! Namiętność brzydka pozbawi go może najlepszej matki i będzie jako kołem na świecie, bo z ojcem nie bardzo się zgadzają.

— Pewnie, że tak będzie — złe zawsze się ukarze samo przez się.

Zamieniwszy kilka tych słów z sobą, pracowali dalej młodzieńcy ze szczerą chęcią i z prawdziwą sumiennością, aż pot im wystąpił na czoło, wierząc gorąco w sprawiedliwość Bożą — i znów zahuczały młoty, koła warczały i piszczały śruby. W tej chwili przeszedł pan Mind starszy i rzucił ukradkiem bawdawcze spojrzenie na Stefana i Walka.

— Oczerniono tych biedaków — pomyślał znów — spokojnie i szczerze zabrali się do pracy, to też czyste mają sumienie!

W kilka dni nadeszła do fabryki odpowiedź najpierw od pana Schmidta z Wilczycy, w której wypiera się autorstwa podsuniętego mu listu i nadmienia, że zna tylko z opowiadania Walentego Dąbka i Stefana Rychlika, ale o ile sobie przypomina, głoszą o nich tylko dobrą zawsze opinię. — Nadto zbudowałem się tą wiadomością — pisał pan Schmidt — iż młody Dąbek kształci swoim groszem siostrę i narzeczoną.

Ks. Przyłbicki i pan Pączkowski porozumieli się wpierw z sobą, zanim wysłali listy do pana Minda.

Obydwaj twierdzili stanowczo, że tu w grę wchodzi oszczerstwo i wyjść musiało tylko od Kazimierza, gdyż na cóż żądał adresu do fabryki, mając go na wsi, u Rychlika?

Ks. Przyłbicki, odpowiadając fabrykantowi, skreślił w dosadnych słowach całe życie dotychczasowe Walentego i Stefana, dając im temsamem chlubne świadectwa prawości, pilności i wytrwałości. Wkońcu nadmienił, że tu tylko niegodziwa intryga zachodzić musi.

Pan Pączkowski natomiast gorącym sercem polecał panu Mindowi obydwóch młodzieńców, nadmieniając, że zawsze świecili wzorem dla całej wioski. To nieposzlakowane życie i stawianie ich na przykład młodzieży, zrodziło zazdrość u zawistnych ludzi, stąd mają nieprzyjaciół, którzy starają się im szkodzić.

Drugi zaś list wysłał pan Pączkowski do Stefana z zapytaniem, czy Kazimierz pisał do niego i w jakiej sprawie?

W odpowiedzi donosił Stefan, iż rzeczywiście odebrał list od Kazimierza z prośbą, żeby mu się wystarał o miejsce przy tamtej fabryce, bo chce się przerwucić z gospodarza na maszynistę.

Panowie Mind, po odebraniu tak chlubnych świadectw aż z trzech miejsc, promienieli z radości! Dobry humor powrócił zaraz młodszemu fabrykantowi, zaczął znów dowcipkować z Walentym i Stefanem, i często z nimi długo radził o przyszłych fabrykach.

Kilka razy jeździli fabrykanci Mindowie do Królestwa Polskiego i zabierali raz Walentego, to znów Stefana z sobą, wreszcie z wiosną pozostawili ich zupełnie w Łodzi, dla dopilnowania robót, bo stawianie fabryki było już w pełnym biegu.

Łódź, położona w gubernji Piotrkowskiej, w Królestwie Polskiem, była kiedyś małą osadą. W XV wieku została miasteczkiem, a w przeszłym stuleciu doszła do znaczenia wielkiego miasta fabrycznego i przemysłowego. Roku 1820 liczyła 800 mieszkańców, ale nadane jej zostały przywileje miasta fabrycznego, pomimo, że przemysłu prawie wtedy nie miała. Obecnie wynosi liczba ludności przeszło 600 000, do połowy niemieckiej i żydowskiej, do połowy polskiej. Dwie trzecie mieszkańców są robotnikami przy fabrykach. Różliczne są tu fabryki wyrobów bawełnianych, wełnianych i jedwabnych,

które zaopatrują nietylko Królestwo Polskie, ale idą w głąb Rosji, docierając nieraz aż do Azji.

W mieście tem, na wskroś fabrycznem, pierwsze owoce nauki długoletniej i nabytej praktycznie wiedzy fachowej złożyli nasi technicy w darze społeczeństwu, kierując umiejętną ręką i bystrym umysłem robotami przy gmachu fabrycznym, ku wielkiemu zadowoleniu chlebobawców, obydwóch panów Mindów.

---

## ROZDZIAŁ V.

---

Kazimierz nie wyleczył się jeszcze z miłości swojej ku Basi, pomimo przestróg i uwag matki, a płomień niebezpieczny podniecał jeszcze Antek Wróblík, wysyłając od czasu do czasu długie listy do Kazimierza, zachęcające go do czynu haniebnego. W ostatnim liście pisał nawet rozkazująco:

— Staraj się o paszport, drugi ja dostarczę, zbieraj grosze i bądź gotów!

Kazimierz czynił przygotowania do podróży, zmyślając rodzicom, że wybiera się do Berlina, bo chce poznać życie fabryczne i zostać maszynistą. Rodzice podejrzewali go o wykręt i lękali się o krzywdę dla Stefana; stary Sum nie mogąc się powstrzymać, wygrażał nawet Kazimierzowi pięściami:

— Biada ci! skorobyś ukrzywdzić chciał kogośkolwiek, przeklnę cię i wyrzucę jak psa z chaty!



Kazimierz zbladł na ostre słowa rodzica, tembardziej, że matka poczęła w głos szlochać i załamywać ręce. Surowość męża drażniła ją, a rozgniewany ojciec wypadł z chaty; matka więc skinięła na Kazimierza.

— Słuchaj synu — rzekła — ciebie trawi i pożera namiętność! Módl się!

— Nie mogę, matko!

— Próbuj, a zwycięzysz!

— Mówilem, dajcie mi Basię!

— Przyrzeczona jest innemu, skąd ci ją dać mogę? Ale spróbuj szczęścia i pisz do niej.

— Dobrze, więc napiszę, ale skoro to nie pomoże — jadę w świat! Starajcie się o pieniądze, matko, muszę je mieć koniecznie!

Sumowa osłabiona chorobą piersiową i ledwie się wlokąc, odwiedziła wieczorem wraz z synem, chcąc go rozerwać, starą Motkową, która od dni kilku niedomagala. Kazimierz pragnął się czegoś dowiedzieć o Basi, więc leciał jak pszczoła do woniącego kwiatu. — Stara Motkowa, mając umysł osłabiony chorobą, wydała się z wielu rzeczy, które powinna była zamilczeć. Poczęła więc opowiadać, że Walek i Stefan tak są zajęci, że czasu nie mają do pisywania listów do Basi i Leosi, że biedne dziewczęta skarżą się i posądzają młodzieńców o obojętność względem nich. Dalej wspominała staruszka, że do ślubu jeszcze daleko, bo wpierv fabryka ma być urządzona, a potem dopiero będą mogli pomyśleć o swoim szczęściu.

Wiadomości te bardzo były na rękę Kazimierzowi, przyszedł więc do przekonania, że teraz właśnie nadeszła prawdziwa pora do działania i postanowił niezwłocznie wziąć się do dzieła.

W nocy, dnia tego, napisał list pełen tkliwości do Basi, błagając ją o jej rękę i zaręczając zarazem, że uzyska pozwolenie rodziców, a chleb ma gotowy i dach pewny dla niej i dla siebie. Tłómaczył dziewczecze, że Stefan jej prawdziwie nie kocha, bo byłby dawno z nią stanął u ołtarza i że dziś, doszedłszy do stanowiska, odgrywa rolę panicza i pragnie się bogato żenić. Do wyznań tych dorzucił kilka zmyśleń, że świadkiem jest, jak stary Rychlik żalił się do nich, iż Stefan szczęścia nie robi, biorąc Basię; powinien wyszukać sobie żonę przynajmniej z kilka tysiącami marek, któraby z kapitału swego miała tyle dochodu, ile Stefan zarabia.

List Kazimierza dotknął Basię boleśnie; najpierw zawiodły ją własne przypuszczenia. Zdawało się jej, że chwilowy szał Kazimierza dla niej dawno przeminał, a tu niestety nowy dowód, że z tej strony grozi jej niebezpieczeństwo. Uczuła to tembardziej, bo wiedziała już od Walentego o przyczynie wypadku w chacie Sumów; obawiając się bowiem o los siostry, przestrzegał ją przed Kazimierzem jeszcze przed odjazdem do Łodzi. Drugim dotknięciem przykrem dla serca Basi, były zmyślenia Kazimierza i podejrzewanie Stefana, które w jej sercu niewinnem zdawały się szczerą prawdą. O, ileż biedna łez wylała, czytając słowa młodego Suma! Wresz-

cie poczęła się zastanawiać nad niemi, a mając w sobie dużo szlachetnej dumy, cierpiała tem więcej.

— Być może — pomyślała — że Stefan się zmienił, doszedłszy do tak znacznego stanowiska. Zwykle się tak dzieje, że zbyt wielkie powodzenie ludzi psuje!

Dziwne też zwątpienie wkradało się do serca Basi i gwałtem wydzierало miłość i zaufanie do narzeczonego, zadając jej ból niesłychany. Dzieweczka walczyła z sobą długie dnie, a dłuższe jeszcze noce, odpychając wszelkie posądzenia, lecz rzadkie i krótkie listy Stefana, chociaż na pozór serdeczne, utrwaliły ją w przekonaniu o zmianie uczuć narzeczonego.

Z miłości ku Stefanowi, żeby nie stracił szacunku u Leosi i dobrej Koziółczykowej, zataiła list Kazimierza, dręcząc się wiadomością tą sama w sobie. Zaczna jej opiekunka i Leosia spostrzegłszy jednak, że Basia straciła humor i chęć do pracy, że lica jej przybladły, a oczy pełne były żalosego smutku. Poczęły przeto badać dziewczę, ale Basia uparcie milczała, tłómacząc się, że cierpi teraz na ciągły ból głowy — co też było prawdą.

Kazimierzowi nie dała żadnej odpowiedzi, aby mu nie dać powodu do dalszych listów natarczywych.

Młody Sum biegał codziennie na pocztę, sądził, że Basia chociaż jednym obdarzy go słówkiem. W gruncie rzeczy nie spodziewał się przychyłnej odpowiedzi, ale łudził się słodką, chociaż słabą nadzieją. Wyczekiwał tak w największej niecierpli-

wości dni kilka, nareszcie wysyłał listy raz po raz, pełne namiętnych wyrazów i czułości, grożące dziewczęciu, że sobie w razie odmowy życie odbierze.

Basia zatrwożyła się i, chcąc nie chcąc, musiała się radzić starej Koziółczykowej. Postanowiły przeto, że opiekunka odpisze w imieniu Basi i ułożyły następujące pismo:

Dobry syn słuca rodziców swoich i bierze żonę z gniazda, które mu rodzice jego wskażą. Basia jest narzeczoną Stefana i nie zdradzi go, a za innego nie wyszłaby nigdy! — Proszę obudzić w sobie rozsądek i zastanowienie.

Życzliwa Koziółczykowa, w imieniu Basi Dąbkównej.

Młody Sum odebrawszy to pismo, niszczące słabą jego nadzieję, włosy darł sobie z głowy, strasznie się przytem odgrażając:

— Więc wezmę ją sobie gwałtem — rozumował — skoro nie chce dobrowolnie! Albo wygram, albo niech wszystko przepadnie! i chata i ona i ja! Dłużej żyć nie mogę z takim piekłem w duszy!

Pod wrażeniem własnych swoich i namiętnych słów, napisał do Antoniego Wróblika:

„Spiesz się i rób koniec, bo oszaleję! Na wszystko jestem gotów!“

Odebrawszy Antek stanowcze to pismo, zabrał się do dzieła, jak lis, cicho i chytrze. Okoliczności zdawały się sprzyjać ułożonemu planowi. Walek i Stefan zupełnie byli zapracowani i daleko odcięci od narzeczonych, a tu w Grzybowie dogorywała Mot-



kowa i pragnęła koniecznie widzieć się z wnuczką, bo czuła, że dni jej są policzone. Kazimierz spodziewał się przybycia Leosi, chciał więc skorzystać z osamotnienia Basi, by łatwiej dopiąć celu.

Skoro tylko Leosia przybyła do umierającej babki, Kazimierz niezwłocznie wyjechał skrycie z domu, zabierając ojcu potajemnie oszczędzone grosze i zaopatrzwszy się w niezgorszą sumę, pożyczoną od Jana Mrózka.

Basia chciała także podążyć do łoża umierającej, ale Koziołczykowa sprzeciwiła się temu stanowczo, widząc dziewczę blade, osłabione, a nadto chore na duszy i ciele.

Któregoś dnia nad wieczorem nadszedł telegram do Basi, wysłany z Łodzi, który brzmiał:

„Walek umierający, Basia ma przybyć. W Toruniu, jutro po południu, będzie Stefan z paszportem, lub przyjaciel“.

Walek i Stefan.

Basia odebrawszy straszną tę wiadomość, wpadła w rozpacz!

— O Boże — jęczała — odebrali mi już szczęście, bo wiarę w narzeczonego, a teraz utracić mam najdroższą istotę na ziemi, przytem jedyną moją podporę i opiekę!

Ból odebrał jej siłę na razie, lecz po pewnym czasie podrażnił nerwy okropnie, zerwała się jak olbrzymka z miejsca, pełna energii, woli i postanowienia. Nie namyślając się ani chwili, nie zważała na słowa i rady opiekunki, lecz zabrawszy mały

ręczny kufereczek, wyjechała nazajutrz z miasta tak, żeby po południu być w Toruniu na wieczorny pociąg, idący do Królestwa Polskiego.

Cała droga do Torunia była dla Basi męczarnią i udręczeniem. Zdawało się jej, że widzi już jedynego i ukochanego brata na marach, że przy nim stoi sztywny i lodowaty Stefan, nie przyznający się do niej! Czuje, że znów zostanie sierotą tak biedną, tak bardzo opuszczoną! Och, chyba tylko jeden Bóg jej zostanie!

— Boże! — modliła się po cichu — skoro ten ciężki krzyż chcesz włożyć na mnie, to zabierz mnie lepiej do Siebie wraz z Walkiem, albo przytul w miłosierdziu Swojem w zaciszu klasztornej!

Temi i podobnymi myślami zajętej, zdawało się, że jej wcale na tem nie zależy, iż w Toruniu spotka się ze Stefanem. Nie dziwiło ją też wcale, iż nie zastała swego narzeczonego, strach ją tylko ogarnął na myśl, co teraz pocznie bez paszportu, zwłaszcza iż tu nikogo nie знаła.

Cała zakłopotana zbliżała się wolnym krokiem do dworca, gdy jakaś barczysta postać mignęła jej przed oczyma. Zdawało jej się, że to był Antek Wróblak i nie myliła się. Antek przywitał ją zaraz uprzejmie i tłumaczył Basi, że Stefan pielegnuje Walka, więc przybyć nie mógł, ale jego tu wysłał, bo właśnie wraca z Łodzi, że paszport ma gotowy, na który Basia przejedzie i że będzie jej towarzyszył dla pewności aż do stacji, gdzie musi przesiadać. Przytem był tak ugrzeczniony, serdeczny i uprzejmy, że Basia zdziwiona była tą zmianą wielką i na-

wet trochę się ucieszyła, widząc znajomego pośród tylu obcych, a zwłaszcza przy przejeździe przez granicę, której się bardzo obawiała.

Rozweseliła się nawet cokolwiek, skoro jej Antek począł zaręczać, iż Walek wkrótce wyzdrowieje, a jak twierdzą lekarze, minie choroba nawet bez wszelkiego śladu. Potrzeba mu tylko dobrego pielęgnowania, przeto wezwał siostrę do siebie.

Wkrótce pociąg ruszył z miejsca, unosząc z sobą Basię i Antka. Granicę przebyli szczęśliwie ku zadowoleniu obojga i jechali koleją aż do Wagańca. Krótco przed stacją począł Antek tłómaczyć Basi, że pociąg ten nie idzie dalej, tylko wraca, a jutro rano o ósmej muszą być na dworcu, żeby podążyć do Łodzi. Zaraz przeto wysiądą i przenocują w gospodzie. Mówiąc to Antek, dziwnie drwiąco i szyderczo się uśmiechnął, co spostrzegłszy Basia, wielce się zaniepokoiła. Pociąg stanął w tej chwili, a Antek chwycił nagle za kuferek Basi i prędko wyprowadził ją za rękę. Szedł ostrym krokiem, szybko omijając niewielki dworzec.

— Tu, tu, panienko, proszę — wołał grzecznie, ale stanowczo i nalegająco, nie dając Basi przyjść do przytomności.

Basia wahała się chwilę.

— Chciałam się jeszcze dowiedzieć dokładnie, o której pociąg rano odchodzi?

— Wiem na pewno, że o ósmej — przerwał jej Antek — niech się panienska nie obawia; jutro się nie spóźnimy, a teraz spieszyć się trzeba, bo żyd z bry-

ką odjedzie. Tu tylko żydowskie bryki kursują. Hej! Mayer, jesteście?

— Hier! tu! niech pan siada — halt! — Antek wsadził Basię do powozu i usiadł koło niej. Konie ruszyły z miejsca.

\* \* \*

W owym czasie, kiedy to Basia wezwana była telegramem do Łodzi, Walek i Stefan cieszyli się najlepszym zdrowiem i pracowali za czterech, krzując się około wzniesienia i urządzenia wspaniałego gmachu fabrycznego.

Wreszcie czwartego dnia przyszedł telegram od starej Koziółczykowej z zapytaniem, czy Basia zajechała szczęśliwie do Łodzi i jak się miewa Walenty? — Zaczyna kobieta po odjeździe Basi zaczęła się niepokoić, przyszła jej bowiem na myśl przestroga Motkowej, a niepokój zwiększył się jeszcze bardziej, skoro od Basi nie było wiadomości, pomimo iż zaraz po przybyciu przyobiegała pisać.

Walek w pierwszej chwili nie zrozumiał telegramu i byłby się nawet cieszył nadzieją ujrzenia siostry, gdyby nie było wzmianki o jego zdrowiu. Po dłuższem namyśle przyszedł do przekonania, że tu ktoś zażartował sobie, a może nawet oszukać chciał dziewczę młode i niedoświadczone, żeby ją wydostać z pod opieki. I jemu zaraz stanął przed oczyma Kazimierz! Tem strasznie przerażony, pobiegnął do Stefana. Niepokój wielki i obawa dręczyły brata i narzeczonego. Wysłali zaraz telegram do Koziółczykowej z uwiadomieniem, że Basi niema



w Łodzi, pytając zarazem, kiedy i z kim wyjechała i kto ją wezwał? — Przestraszenie powiększyło się jeszcze, gdy nadeszła wiadomość, iż Basia przed czterema dniami wyjechała i że mają jej szukać.

— Walek i Stefan rozesłali więc telegramy na wszystkie strony, a jeden z nich adresowany był także do pana Pączkowskiego, drugi do ks. Przyłbickiego. Koziółczykowa poruszyła policję, to samo uczynił ks. Przyłbicki i pan Pączkowski, bo Basi nie było w Grzybowie, ani w okolicy. Zaczęły się więc poszukiwania i nie bezpodstawne, bo i Kazimierz przepadł, zabrawszy rodzicom znaczną, jak na mniejszych gospodarzy, kwotę pieniężną. Z swojej strony Stefan i Walek poruszyli i rosyjską władzę, prosząc o śledztwo i poszukiwania.

Leosia pisała cała zrozpaczona do Walka, że podobno Kazimierz wybierał się do Królestwa Polskiego, wydając się ze swego zamiaru przed Mrozkiem.

Walenty i Stefan odebrawszy wiadomość od Leosi, wyjechali natychmiast z Łodzi, puszczając się rozmaitemi drogami pod Aleksandrowo, na różnych stacjach wysiadając, ażeby tem lepiej miejscowości te wyśledzić. Na granicy mieli się zjechać i tu dalsze czynić poszukiwania. Już od kilku dni byli w podróży, a pomimo to nie odnaleźli najmniejszego śladu obecnego pobytu Basi.

Stefan wpadał w rozpacz, Walenty drżał o siostrę, ale przytomności nie tracił, a widząc, że wszelkie zabiegi władzy i ich własne są bez pożądaných skutków, chwycił się innego środka. Ogłosił w naj-

bardziej rozpowszechnionych pismach polskich, pod rządem rosyjskim, austriackim i pruskim, w polskim i urzędowym języku, że zginęła siostra jego i jej poszukuje. Opisał postać Basi, podał wiek, nazwisko i imię, i obiecał sutą nagrodę, skoro mu kto udzieli wiadomości o niej i wskaże miejsce jej pobytu.

Basia i Antek Wróblík jechali długo, bardzo długo żydowską bryką, a noc była ciemna i mroźna. Wkońcu poczęła się Basia trwożyć i pytała, gdzie się właściwie owa gospoda znajduje.

— Niedaleko! — brzmiała odpowiedź Antka.

— Tak daleko od stacji?! — dziwiła się Basia — czy nie można było gdzie bliżej przenocować? Dziewczę drżało od zimna i z bojaźni.

— Cha! u nas lepi — besser Fräulein — śmiał się żyd. — Ciepło bendze w izbie, łóżko bialo pościelo zaslane. — Rebeka ceka z ciepło herbato!

Antek chcąc odwrócić uwagę Basi, dodał:

— Z gospody bliżej do drugiej stacji, do tej bowiem już nie wrócimy.

Basia poznała, że Antek jej nie mówi prawdy i wielce się niepokoiła.

Bryka tymczasem toczyła się dalej, skręcając w prawo i w lewo, a wreszcie wjechała w gęsty bór.

— Boże, co za ogromny las! — jęknęła po chwili Basia.

— A pełno jeszcze w nim wilków! — dodał Antek.

— Cha! — śmiał się Mayer, a śmiech ten dziwnym był.

— Czy tu na prawdę są wilki, panie Mayer? — pytało dziewczę.

Żyd milczał, a Antek upewniał Basię, że wilki widział na własne oczy.

Basia wsunęła się głębiej w powóz i drżała na całym ciele; dziwna bowiem trwoga przejmowała ją, a ciemnica była straszna wokoło, zaledwie kiedy niekiedy zamigotało jakieś blade światełko w od dali. Dziewczę z bojaźni traciło jasność umysłu.

Jadąc tak dłuższy czas, przerwał Antek milczenie:

— A nic się panienka nie pyta o Stefana?

— Wiem, że zdrów!

— A tak, wygląda jak tur, ale się zmienił!

— Zmienił? — powtórzyła dziewczeczka mimowoli.

— Pan z niego teraz wielki! Inne myśli mu po głowie chodzą! Często bywa u kupca Brandta.

Basia milczała, chwytając chciwie każdy wyraz.

— Ten Brandt — mówił dalej Antek — to bogaty człowiek, a ma piękną córkę, podobną trochę do panienki, ale wyższą i bodaj ładniejszą! Cha! — zaśmiał się szyderczo — ludzie się zmieniają! — Robotnicy opowiadali sobie w Łodzi, że Stefan dostanie ładną Gretę, bo ojciec jej lubi fachowych i praktycznych ludzi.

Każde słowo Antka raniło Basię jakoby sztyletem, serce jej pękało z bólu, a łzy ciche ciekły po wybladłej twarzy. Ocierała je ukradkiem, przy czem sięgając do kieszeni po chustkę, dotknęły jej palce twardego przedmiotu. To różaniec! pomy-

ślała i z pragnieniem i radością pociągnęła go ku drżącemu sercu i poczęła z gorączkowym pospiechem odmawiać pacierze.

Jechali jeszcze z pół godziny.

Nieboga lękała się coraz więcej, nic jednak nie mówiła, nie chcąc Antkowi okazać swojej obawy.

Wreszcie bryka skręciła jeszcze w prawo i nagle jasna smuga światła oblała ich z okien gospody. Basia wyjrzała: w cieniach nocy rozeznała zaledwie chatę jakąś niską, płot do niej przyparty, małe podwórko, a dalej domyślała się znów lasu, bo ogromna ciemność panowała dokoła.

Mayer zajechawszy, krzyknął:

— Rebeka! hier!

W tej samej też chwili wybiegła na ganek kobieta drobna, chuda, głowę jej pokrywała czarna peruka, a suknię miała brudną. W rękę trzymała małą lampkę i unosiła ją w górę, świecąc.

Gdy Basia wchodziła do sieni gospody, spostrzegła, że drzwi od izby na lewo były uchylone, a w ciemności przyczajona w kącie stała postać jakiegoś mężczyzny.

— Tu proszę — hier Fräulein — mówiła Rebeka, wprowadzając Basię wąskim gankiem do małej izdebki na prawo. Powietrze w niej było nieczyste, ale ogrzane, a łóżko przyszykowane do spoczynku.

Rebeka postawiła lampkę na stół i przyniosła herbatę i bułki. Usługując, przyglądała się Basi z przyjemnością, bo wdzięk, który bił z jej twarzy, zachwycał ją, a skoro jeszcze dziewczeczka przemó-



wiła do niej słodkim swoim głosem, prosząc ją, żeby jej rano nie dała zapaść na pociąg, dziwny żal ogarzał jej serce. Chodziła tu i tam, zaglądała do izby, na prawo i na lewo, a uchwyciwszy kilka słów, domyślała się potrosze intrygi, lecz dokładnie nic nie wiedziała, bo Mayer znając miękkie jej serce, nie wtajemniczał żony w swe sprawy.

W drugiej izbie na lewo, z frontu, siedział Antek, a w kącie przyczajony Kazimierz Sum.

Przed nimi stało piwo i wódka.

Rozmawiali przyciszonym głosem:

— A widzisz, czym ci Basi nie przywiózł? Szło gładko, tak jakbym kielich wódki wypił!

Tu Antek wychylił ogromną miarkę rozgrzewającego napoju.

— Dziękuję ci, bracie — szepnął Kazimierz.

— No, teraz pokaż i ty sztukę twoją i dziewczynę przekonaj! — zawołał Antek, patrząc śmiało w oczy Kazimierzowi.

Kazimierz milczał, wzrok spuścił ku ziemi.

— Co, u licha?! Ducha straciłeś? Jam ci ptaka upolował, to go trzymaj teraz! Dziś jeszcze wracam na dworzec, urlop mój bowiem się kończy jutro wieczorem, więc muszę być w domu!

Radź sobie sam! Przesiedź tu dzień i dwa, i trzy, tu was nie znajdą tak łatwo, a potem zatrzymaj się w innej gospodzie, o trzy mile stąd, u Mośka, a Mosiek ci wskaże drogę do Icka. Tyle czasu wystarczy, żeby dziewczyna siedząc z tobą, w oczach ludzkich była potępioną! Stefan jej już nie weźmie! Staraj się ją o tem przekonać, że wszystko dla niej

już stracone bezpowrotnie, i miłość brata i miłość narzeczonego, że jedyny dla niej ratunek — wyjść za ciebie!

Wkońcu namówili się, że wiadomości udzielać sobie będą przez żyda Abrahama z pobliskiego miasteczka, który był sprężyną wszystkiego. Z synem tegoż Abrahama zapoznał się kiedyś Antek w Gdańsku, stąd miał adres do niego i otwarte pole do działania.

W pół godziny później zajechał przed gospodę chłopski wózek w jednego konia. Antek uścisnął rękę Kazimierza i ruszył z miejsca, śmiejąc się szyderczo. Cieszył się, jak szatan, z haniebnego czynu, że odplacił teraz Dąbkom i Rychlikom za wszystko!

Kazimierz, po odjeździe Antka, wahał się jeszcze chwilę, dziwny bowiem lęk i nieśmiałość wielka chwytaly go za serce. Skoro Basię ujrzał wchodzącą, piękną jak anioł, z błaskiem niewinności prawie dziecięcej na twarzy, a przytem bladą i zapłakaną, stracił odwagę od razu, a nogi pod nim zadygotały! Czuł w tej chwili, że popełniał czyn hańbiący! I teraz ów hardy śmiałek stał i namyślał się jak niedojrzały wyrostek, lecz nagle błysnęła mu przed oczyma twarz znieawidzonego Stefana, więc postąpił kilka kroków naprzód i znów zatrzymał się, zwracając się zarazem do Rebeki:

— Czy panienka już śpi?

— Ne, herbatę piję.

— Powiedzcie jej, że dobry znajomy chce z nią pomówić.

Rebeka poszła i stanęła w progu:

— Panna! tu znajomy człowiek chce z panną gadać — czy może tu wlaźć?

— Kto taki? — zapytała dziewczeczka z trwogą, — czy ten sam znajomy, co ze mną przybył?

— Ne, inny, tam ten człowiek odjechał.

— Odjechał?! — zawołała przerażona Basia.

— A tak, odjechał, mówił, że jechać musiał, ale to jest inny, młodszy, miłszy i ładniejszy, i ten se o pannę pytał!

Basię dręczyły domysły.

— Może Stefan — Boże! — pomyślała i oczy zwróciła ku drzwiom.

Z przerażeniem ujrzała w progu stojącego Kazimierza Suma, z iskrzącymi oczyma i z pałającym obliczem. Stał cicho i wzrok swój poił widokiem dziewczeczki. Wolnym ruchem ręki wreszcie usunął Rebekę z pod drzwi, zamykając je za nią.

Widząc to Basia, zerwała się z miejsca i stanęła wyprostowana.

Kazimierz wyciągnął do niej rękę:

— Basiu! — mówił głosem słodkim, lecz pełnym namiętności — widzisz, jak cię kocham! Odważyłem się nawet wyrwać cię z pod opieki tak troskliwej, żeby ci pokazać, że bez ciebie dziś już żyć nie mogę, żeby ci dowieść, że dla ciebie wszystko zniosę i uczynię... i nawet klątwy ojca się nie lękam!

— Zdrada! Boże! — jęknęła dziewczeczka i zachwiała się cała — a Kazimierz rzucał jej dalej gorące słowa pod nogi.

— To nie zdrada! to miłość! Dam ci dach, dam chleb, dam opiekę, a kochać cię będę i szanować, jak szczęście własne! Stefan cię zdradza, bo o innej myśli, jam ci wierny od dawna!

Basia dumnie podniosła głowę i mierzyła Kazimierza wzrokiem ostrym, pełnym pogardy.

Młody Sum umilkł na chwilę pod wpływem takiego spojrzenia, lecz wkrótce szal go znów porwał, mówił dalej.

— Dziś już każdy wie, że jesteś moją, że razem jesteśmy pod jednym dachem, — dziś nikt już w cnotę twoją, Basiu, nie uwierzy, ani państwo Pączkowsky, ani ks. Przyłbicki, ani Walek, a cóż dopiero Stefan! Stefan tobą pogardzi! Bądź rozumna, Basiu, kocham cię nad życie, otulę cię opieką i broń cię będę od złych języków. O, zostań moją! To jedyny ratunek dla ciebie i dla mnie! Skoro ojcu się rzucę do nóg i powiem mu, żeś żoną moją, przebaczy mi, a tak — przeklnie mię i ciebie!

Basia oniemiała z przerażenia, blada była, jak posąg z marmuru, ale w tej cichej postawie tyle było powagi, tyle siły, a zarazem świętości, że Kazimierz nie śmiał więcej nacierać. Patrzał na nią z bojaźnią i z czcią wielką, czekając ostatecznego wyroku.

Nagle dziewczeczka poruszyła się i rękę wyciągnęła w stronę drzwi, a ręka była wyprężona jak pręt żelazny i z góry można się było spodziewać, iż się nie nagnie.

— Człowieku bezbożny! — zawołała — jeśli nie chcesz ściągnąć na głowę twoją klątwy ojców-



skiej i potępić twojej młodej duszy, to wyjdź stąd w Imię Boże!

Głos jej był potężny i smutny, a brzmiał jak dzwon pogrzebowy.

Kazimierz struchlał, głowę spuścił ku ziemi i wyszedł.

Widząc się samą, padła Basia na kolana i długo trwała w modlitwie, wyciągając słabe ramiona ku niebu, skąd szukała ratunku. Wreszcie wstała, zbliżyła się do drzwi i klucz w zamku przekręciła.

Kazimierz stał w sieni cały drżący, wkońcu znużony rzucił się pod próg drzwi, za którymi ukochana jego się znajdowała i czuwał. Przechodził i on w tej chwili męki piekielne, bo zdawało mu się, że Basia sobie życie odbierze; nadśluchiwał i śledził pilnie każde poruszenie, a cisza taka w izdebce przyprowadzała go do rozpaczki! Ani łkania, ani żadnego głosu, ani nawet poruszenia krzesłem nie usłyszał. Wokoło panował okropny, straszny spokój!

— A może Basia już nie żyje? — pomyślał. — Trzeba będzie gwałtem zajrzeć do izdebki... nie! o nie! nie mogę! To królowa, jam parobek wobec niej! Boję się, nie mogę... o nie!

W ten i podobny sposób mającąc, uczuł się nagle bardzo osłabionym a wkrótce sen skleił jego powieki.

Basia siedziała w miejscu nieruchoma, patrząc przed siebie szklanemi oczyma, wreszcie po godzinie odzyskała zupełną przytomność. Cicho zbliżyła się do okna i uchyliła lekko zasłony, badając położenie izdebki. W tej chwili zaturkotało coś przed

domem; widocznie przybył jakiś podróżny rozgrzać się wzmacniającym napojem.

Powstał też ruch w gospodzie, a Basia korzystając ze szmeru, uchyliła okno. Wychodziło ono na mały ogródek; ponieważ zaś domek był niski, nabrała dziwnej odwagi. Zrobiwszy przeto znak krzyża św., spuściła się tak, jak stała, lekko i bez szelestu z okna na murawę ogródka. Stamtąd cicho, nieznanie, przesunęła się w cieniu budynków i szła w ciemną noc, niewiedząc dokąd. Na nic nie zważała i niczego się nie obawiała, a cały ciemny las, który spostrzegła o kilka kroków, nie był dla niej tak okropnym i tak niebezpiecznym, jak Kazimierz z iskrzącymi swymi oczyma! Z początku postępowała zwolna, ażeby kto nie usłyszał odgłosu jej kroków, lecz skoro się oddaliła o spory kawał od zabudowań, biegła co tchu, niktąc w wielkim i czarnym lesie. Im głębiej szła, tem większa ją ogarniała ciemność. Zataczała się i uderzała głową o rosłe pnie sosien i ostre gałęzie świerków, więc chcąc się uchronić, ręce wyciągnęła przed siebie i dobywała wszelkich sił, żeby ująć jak najdalej. Przeszkody były straszne i ciągle potykała się o gęsto rozsiane krzaki jałowcu, o pnie złamane, o sterczące korzenie, o gałęzie suche, o mrowiska wielkie i kępy budzących się do życia roślin, a przytem gąszcz ogromnych drzew i ciemność straszna panowały nad głową i wokoło biednego dziewczęcia.

Dopomagała sobie jak mogła, kilka kroków postępując z wyprostowaną postacią, to znów czołga-

jąc się po ziemi, żeby lepiej rozpoznać położenie, bo nieraz się jej zdawało, że grunt ma pod sobą grząski.

Tak przedzierała się przez las blisko dwie godziny, bezustannie wzywając pomocy Najświętszej Paniienki.

Wreszcie poczęły ją siły opuszczać. Wrażenia i trud przebyty przez ostatnie kilka godzin zdołałby i najsilniejszą naturę wyczerpać, a cóż dopiero dziewczę młode, spracowane i osłabione rozwijającą się chorobą.

Chcąc nieco odetchnąć, przysiadła Basia na chwilę, ponieważ ją jednak sen zaczął morzyć, a chłód wiosenny dreszczem przechodził jej członki, przyszła do przekonania, że źle robi, skoro podda się zmęczeniu i zaśnie, Kazimierz bowiem ze świtem odnaleźć ją może, a powtórne zaziębienie i wilgoć leśna rozwinie w niej chorobę. Zerwała się przeto znowu z miejsca, żeby dalej jeszcze próbować młodych sił swoich. Taczając się wszelako z osłabienia, coraz częściej uderzała o drzewa, wreszcie zahaczyła zmęczonemi stopami o niski pień, mchem porośnięty, i całym ciężarem runęła o ziemię. Na chwilę czuła jeszcze straszny ból w głowie, w piersiach i w krzyżach, poczem straciła przytomność.

\*

\*

\*

Z chwilą, w której Basia w lesie zemdląła, zerwał się w gospodzie i Kazimierz od progu izdebki, a drżąc od zimna na całym ciele, począł chodzić szerokimi krokami po wąskiej sionce gospody. Nie-

kiedy stawał i nadśluchiwał, a nie mogąc się doczekać najmniejszego znaku życia, obudził Rebekę z prośbą, żeby zajrzała do Basi.

Rebeka tłumaczyła Kazimierzowi, że Basi potrzebny wypoczynek, a na pociąg jeszcze czas, lecz młodzieniec nie ustąpił i gospodyni, chcąc nie chcąc, musiała pójść pukać do izdebki.

— Trzeba będzie drzwi wysadzić — radził Kazimierz.

— Pude do okna zajżyć — szepnęła Rebeka i zwróciła się w stronę ogródka. — Okno uchylone — wołała z daleka — nech kto psyndze i zajży, dla mnie za wysoko! — Jednym skokiem był Kazimierz pod oknem, a drugim w izdebce. Błady jak ściana patrzył przerażonemi oczyma wokoło siebie — Basi nie było! Łóżko stało nietknięte, tylko mały jej kuferek, znajdował się w tem samym miejscu, co wczoraj, a kapelusz i płaszcz leżał na krześle.

— Uciekła! — krzyknął bezwiednie i żał niezmierny, a zarazem i gniew szalony począł nim miotać. Usta rzucały pioruny, oczy sypały iskry! Wpadł jak wicher do izby Mayera i wyrzucił go z łóżka, nie dając mu przyjść do przytomności.

— Mayer, radźcie! Znaleźć ją muszę, bo zmarnieje, a jest moja! Nagrodzę wam sownie, dajcie ludzi, niech jej szukają! Chodźcie! gońmy ją!

Mayer spojrział wielkimi oczyma na Kazimierza i rzekł spokojnie:

— Ne trzeba szaleć! trzeba działać z rozwagom, to i wiency se wskura — to ne zajonc!



— Gorzej niż zając, bo wsiądzie do pociągu i pojedzie do Łodzi — a jam stracony!

— To i tak źle z wami bendze!

— Wiem, że źle będzie, ale przynajmniej będę ją miał! Z nią stracę wszystko, bo to, co mi jedynie pozostaje!

Wreszcie żyd ubrał się i poszedł w podwórze po psa. Przeprowadził go do izdebki i spuścił go z łańcucha. Zabrał jeszcze dwóch parobków do pomocy, tłumacząc im, że siostra Kazimierza zginęła, która cierpi na obłąkanie, i trzeba jej szukać w lesie i u borowego, a może i dalej po okolicznych wsiach, po dworach i chatach. I tak wybrawszy się szli w czwórkę w rozmaitym kierunku, szukając prędko i uważnie. Kazimierz i Mayer postępowali za psem, który węszył ślad już z pod okna gospody, dokąd go zawołano. Uszli ogromny kawał w lesie, gdy nagle pies stanął i obwąchiwał i obchodził miejsce pod wielkim dębem. Mayer i Kazimierz zbliżyli się szybko.

— Patrzce — szepnął Mayer, wskazując ręką — tam ktoś musiał leżyc, tak jakby tu upadł, bo wunsko, a długo mejsce zarysowane.

Pies węszył uporczywie.

— A tu mejsce jak zdeptane! — wołał żyd — tu wiency było clowieków!

— Ha, jeśli więcej -tu było ludzi — zauważył Kazimierz — to nie jest jej ślad.

— Nu, a może jo kto podniosł i złożył gdzie do chaty! Albo wiem, nu!

— A kto tu mieszka najbliżej? — pytał się Kazimierz.

— Borowy Lipnik — clek uparty — nu! co robić? Chodźmy do nego!

I poszli. — W chacie Lipnika zastali tylko żonę jego i dwoje drobnych dzieci. Zobaczywszy żyda, Lipnikowa złąła się, bo jakiś wstręt czuła do niego. Wiedziała, że lud okoliczny posądza go o nieczyste sprawy. Żyd kręcił zawsze na wszystkie sposoby, a wiecznie miał stosunki z zagranicą.

— Nu, gdzie Lipnik? — pytał się żyd, wchodząc do chaty.

— W lesie!

— A kedy wylazł z chaty?

— Zanim świtało — może była druga w nocy.

— Ne mówił wam, cy kogo ne widzał w borze?

— Nie mówiłam z nim jeszcze. Pewnie, że nikogo ne widział.

Żyd ne wierzył.

— Nu, Lipnikowa, gadajce prawdę, on tu przyniosł chorom dziewczynę do chaty!

— Co mi tam Mayer gada! to ja musiałabym o tem wiedzieć!

— Nech Lipnikowa ne zartuje, bo ten panic — tu wskazał na Kazimierza — przyjechał ze sostrom do nas na noc, a ta sostra chora na oblonkane, wenc ucekle i sukac jej tzeba.

Lipnikowa spojrziała uważnie na żyda i pomyślała w duchu, że może Mayer dziś i prawdę mówi, więc rzekła:

— Pogadajcie z moim, często spotyka kogo.

Poszli dalej szukać borowego, a po godzinie spotkali się z Wosiem, synem Lipnika.

— Gdzie ocec? — pytał żyd chłopca.

— Tam, przy sążniach — Woś wskazał ręką na prawo.

Musieli jeszcze przejść cały kawał boru. Przed oczyma Kazimierza rozwinął się widok zupełnie odmienny.

Z tej strony las stał na wzgórzu, kończył się urwiskiem, a stopy spadzistości podmywały wody jeziora.

— Boże! — jęknął z cicha — może tu zginęła?! — Strach olbrzymi padł na Kazimierza, uczuł nagle ogień pod czaszką, włosy stanęły mu jeżem, pot kroplisty wystąpił na szerokie czoło.

Pod wrażeniem tej strasznej myśli, począł pilnie przypatrywać się położeniu i badać brzeg wody, ale żadnego śladu ludzkiej stopy widać nie było i zaledwie dostrzegł małe, nierówne wklęsnięcia na urwisku. Widocznie zwierzyzna szła tędy z lasu do wody.

Mayer okrążył brzeg jeziora, idąc krokiem leniwym, i Kazimierz włókł się za nim, bo stracił już w ruchach sprężystość; wrażenia ostatnich tygodni i jego przybiły.

Najróżniejsze myśli snuły mu się po głowie: Zdawało mu się, że Walenty i Stefan ścigać go będą, wreszcie go pochwyca i do więzienia wtrąca. A ojciec? Ojciec, złorzeczyć mu będzie i gotów go wydziedziczyć! A matka? Matka zmarnieje? tak zmarnieje! i to z jego winy! — wołało sumienie —

bo już i tak słabe ma siły, które sam podkopał nie-  
szczęśliwą swoją namiętnością! I znów pot kropli-  
sty wystąpił mu na czoło i czarne myśli trapić go  
poczęły:

— Więc będę więźniem, winowajcą i synem  
wyklętym! a potem i żebrakiem bez chaty — od  
którego ludzie stronić będą...

Dreszcz przeszedł ciało jego. Myśl goniła myśl,  
a wszystkie były straszne, piekielne.

— A więc cóż? — pytał sam siebie. — Czy się  
cofnąć jeszcze? Złe się już stało, wina na mnie  
spadnie w każdym razie, czy się cofnę, lub nie, czy  
Basia zginęła, lub żywa!

Zapomniał w tej chwili, że gdyby poniechał za-  
miaru, wina byłaby o wiele mniejszą i łatwiejszą do  
przebaczenia, ale widocznie stracił jasność zdro-  
wego umysłu. To było dziełem troski i namiętności.

— Nie, nie, już do odwrotu za późno! — pomy-  
ślał znów. — Jeśli Basia żyje, ja ją mieć muszę!  
Ona przebłaga rodziców i ułagodzi Walentego. Sko-  
ro będzie moją, znajdę i stanowisko, chociażby i oj-  
ciec mię odepchnął, bo Walenty ulituje się nad sio-  
strą i dopomoże nam!

Rozpacz poczęła ogarniać Kazimierza, czuł, że  
wyjście było bardzo trudne! Położenie jego było po-  
dobne do położenia człowieka, który stoi na szczy-  
cie skały podczas burzy, a z jednej i z drugiej strony  
biją nań bałwany morskie z wściekłością, chcąc go  
powalić i pogrzebać w nurtałach swoich. Czy spadnie  
w głąb na prawo, czy na lewo, czy przed siebie, lub  
za siebie, na jedno wyjdzie.



Kazimierz czuł, że tylko Basia może go wydzwignąć z tej otchłani, więc pragnął jej tem goręcej. Ale gdzież ona być może? — zastanawiał się dalej — a czyż go nie odtrąci z pogardą? Alboż on śmie na nią nacierać? Wygląda jak święta!

— Nie, nie! — mówił sam do siebie — ją zdobyć trzeba dobrocią, ją trzeba przebłagać, żeby się wstawiła za mną do wszystkich, których sobie naraziłem! Ha, czyż ją znajdę?!

Będąc z natury żywego usposobienia, a przytem zrozpaczony do ostateczności, wybuchł gniewem, siejąc zarazem zniszczenie wokoło siebie, lecz wkrótce znowu się udobruchał i stawał się spokojnym.

Wreszcie dotarli do borowego. Tu Mayer wziął Lipnika na stronę, bo nie chciał, żeby chłopci, zajęci układaniem sążni, słyszeli ich rozmowę.

— Lipnik — rzekł żyd — wy spotkac muselisce dzewcyne w tym lese! To oblonkana sostra tego tam, młodego — tu wskazał chudą ręką na Kazimierza?

— To waszej siostry szukacie? — pytał borowy.

— Tak — szepnął Kazimierz niepewnym głosem.

— A jaką miała suknię?

Kazimierz zakłopotał się.

— Ciemną — odpowiedział z wahaniem.

— Ale, czy czarną, czy brunatną, czy popielatą?

— Dokładnie nie wiem, bo w kufierku miała więcej sukien, mogła się zatem przebrać. Około północy

znikła — a może i trochę później. Skoro się zaś tak wypytyjecie, więc musieliście ją spotkać.

— Wiele ludzi tu widzę i spotykam.

— A może znaleźliście ją w lesie śpiącą?

Lipnik milczał, bo nikomu nie ufał, a tem więcej Mayerowi! Uparcie się tylko wpatrywał w Kazimierza, wreszcie ponurym odpowiedział głosem:

— Dajcie mi spokój z jakąś tam dziewczyną! Czasu nie mam, roboty pełne ręce!

Mówiąc to, spojrział ostro w oczy Kazimierzowi, mierząc go od stóp do głów. Kazimierz nie mogąc wzroku tego znieść, spuścił oczy i zaczerwienił się po same uszy, co widząc Lipnik, przyszedł do przekonania, że cała ta sprawa jest niczem więcej, jak kłamstwem i oszukaństwem. Nie spojrzawszy przeto nawet na pytających, odwrócił się i odszedł. Mayer od złości nie był w stanie i słowa wyrzec, opamiętawszy się zaś nieco, szepnął Kazimierzowi:

— To człowiek uparty i głupi jak bydle! — Chodźmy do domu, bo głud mi dokuca, a tu południe dawno już minęło! Może tam i parobcy powrócili i dowiedzeli se cego!

Nie wiedząc, co począć postanowili się udać do gospody, zanim tam jednak stanęli, była już trzecia popołudniu, pomimo to parobków jeszcze w domu nie zastali. Kazimierz wypocząwszy zaledwo godzinę, począł Mayera znowu wyciągać, żeby szedł z nim w inną stronę. Ponieważ zaś żyd tłómaczył się zmęczeniem i wyjazdem, przytem radził czekać

na powrót chłopaków, więc Kazimierz usłuchał go i czekał.

\*

\*

Chatka borowego Lipnika stała zaledwie o dwieście kroków oddalona od miejsca, w którym Basia leżała zemdlona.

Psy ujadły tej nocy tak strasznie, że Lipnik, człowiek już niemłody, doleżeć nie mógł do rana, trwożąc się o kradzież w lesie. Wreszcie zerwał się z posłania i krzyknął na syna, wyrostka, aby wstawał, gdyż pójdą do lasu.

Chłopiec wyskoczył z łóżka i począł się szybko ubierać. Lipnik zarzucił strzelbę na plecy, zapalił latarnię, dał ją Wosiowi, a sam wziął kij sękaty, w szorstką swoją dłoń. Wyszli z chaty, idąc w podwórze. Tu okrążyli budynki niewielkie, spuścili psa z łańcucha i śmiało ruszyli do lasu. Co kilka kroków stawali nad słuchując, lecz żadnego odgłosu od uderzeń siekiery nie uchwycili, nawet do uszu ich nie doszedł trzask łamanych gałęzi i za ledwie spłoszyli przycajonego zająca. Cisza panowała wokoło, tylko igliwie spadało z drzew, dając lekki szmer, jak gdyby duchy niewidzialną stopą trącały o puszysty mech.

Nie słysząc nic, zapuścili się znów dalej, czekali chwilę, ale daremnie, noży tej widocznie do lasu nikt nie zajrzał.

Wtem pies począł tropić ślad jakiś. Woś z ciekawości szedł tuż za nim, świecąc latarnią. Burek

zatrzymał się i szczechnął, a chłopiec krzyknął przestraszony:

— Jezu! tu ktoś leży!

Lipnik podskoczył do syna, który zbliżył latarnię, a jasna smuga światła padła na blade oblicze Basi.

— Chryste! to jakaś dziewczyna — zawołał borowy i uniósł głowę dziewczki, dotykając się zarazem rąk jej.

— Zimna jak lód! — Tu nachylił się nad Basią i słuchał:

— Oddycha, ale słabo.

Odrzucił strzelbę na bok.

— Prędko Woś, trzeba ją nieść do chaty, musi być chora. Patrz, z głowy krew sączy, a ręce jak strasznie podrapane!

Chłopiec dźwignął dziewczkę z ziemi i pomógł ojcu wziąć ją na ramiona. Zabrał potem strzelbę i latarnię — i wracali.

Po chwili milczenia odezwał się Woś:

— Pocóż ją niesiecie do chaty? Do dworu prawie nie dalej, a tam jest doktor, bo przyjechał brat naszej pani.

— Masz słuszność, chłopcze! zanieśmy ją do dworu.

Tu skręcili bardziej w lewo, szli jeszcze kawał gąszczem, wreszcie wydostali się na drogę szeroką i równą.

Lipnikowi ręce mdlały, bo był już spracowany i osłabiony, więc przysiadł i odpoczywał. Tu zdawało mu się, że dziewczę na krótko podniosło po-



wieki, ale to pewnie było urojeniem tylko. Po chwili nieśli znów dalej zemdloną we dwóch, bo Woś był jeszcze za słaby, ażeby dźwigać cały ten ciężar. Chcąc sobie ulżyć, ukryli strzelbę i latarnię w krzakach. Na niebie zaczęło świtać, gdy dochodzili do wsi. Tu i owdzie drzwi od chat się uchylały i wyglądała z nich czerstwa twarz jakiego kmiotka, który ciekaw był zobaczyć, kogo Lipnik niesie. Kobiety i dzieci spały jeszcze.

Dwór pogrążony był we śnie, lampka tylko tliła się słabym światelkiem w izdebce klucznicy, dając znak, że oko jej już czuwać zaczyna nad dobrem pańskim.

Młodzieniec podbiegł pod mur, stuknął lekko w okno.

Klucznica, Pawłowa, zerwała się prędko z pościeli i spojrzała w podwórze, a zobaczywszy Lipnika, mającego na ręku jakąś kobietę, spiesznie otworzyła drzwi, prowadzące do wnętrza dworu i kazała zemdloną złożyć na łożu swoim. Ruch powstał w całym domu, służbę obudzono i poczęto się krzątać około trzeźwienia Basi.

Pawłowa rozebrawszy dziewczeczkę, rozgrzewała ją butelkami, napełnionymi ciepłą wodą, pokojowa przyrządzała co tchu herbatę, a lokaj podskoczył na górę po brata pani, pana Henryka, młodego lekarza.

W kilka minut doktor stał już przy łożu i badał puls chorej. Był to wysoki szatyn, o myślących oczach, umiejący sobie jednać ludzi nadzwyczajną uprzejmością i uczynnością. Szczerze się też za-

opiekował znaną dziewczeczką. — Po długiej chwili Basia podniosła powieki, lecz zaraz je znów spuściła, tak jakby to czyniła we śnie.

— Słaba bardzo — szepnął pan Henryk — powiek unieść jej trudno. — Kazał potem podać butelkę wina i sam po kilka kropel napoju wlewał w usta dziewczeczce, a posiliwszy ją trochę, zabrał się do obmycia rany na głowie. Służba ciekawa musiała się rozejść, a sam czuwał nad chorą wraz z klucznicą. Basia znów podniosła powieki i zatrzymała je chwilę na klucznicy, która postacią swoją okrągłą przypominała starą Koziółczykową, lecz przymknęła je wnet, tylko słodki uśmiech okolił blade jej usta. Oddech stawał się mocniejszy, lecz prędszy, z czego lekarz nie był zadowolony!

— Gorączka się wzmaga — rzekł półgłosem — spokoju, a nadewszystko wygody trzeba biednej. Boję się wrażeń dla niej przy przebudzeniu się. Kto to być może? Miłą i słodką ma twarzyczkę, wygląda na coś lepszego, ręce białe, delikatne. Niech Pawłowa tu czuwa, pójdę do siostry poprosić o pokój wygodniejszy dla dziewczęcia, gdyż poleży może ze dwa, do trzech tygodni. — Tu pan Henryk poszedł do pokoiku siostry swojej, pani Zofji, i w krótkich słowach opowiedział jej rzecz całą.

Natychmiast ogrzano pokój na gorze, usłano wygodne łóżko, a po trzech godzinach przeniesiono doń chorą. Do pielęgnowania Basi dniem i nocą przeznaczyła pani Zofja starszą kobietę, wieśniaczkę Wojciechową.

Cały dwór był w poruszeniu dla dziewczeczki. Los jej i życie obchodziły każdego, tembardziej, że osłaniała je wielka tajemnica, której bohaterką była osoba młoda i piękna.

Na pytania Wojciechowej, kim ta dziewczyna jest, otrzymywała odpowiedź, iż to jakaś podróżna. Zniecierpliwiona staruszka postanowiła sama się czegoś dowiedzieć, więc poczęła przetrząsać i oglądać rzeczy Basi, lecz więcej nic nie znalazła, prócz dwóch starannie wyhaftowanych głosek na bieliznie: B. D. Nie zadowolilo jej to, czekała przeto z upragnieniem przebudzenia się Basi. Ale dziewczeczka spała i spała, wreszcie poczęła mówić przez sen. W tej chwili wszedł lekarz do pokoju, a słysząc głos chorej, stanął i chciwie chwycił wyrazy. Chora wołała z obawą i prośbą:

— Walek! Walek, czyś żyw? Ratuj siostrę, ratuj!

Pan Henryk zbliżył się do łoża, stanął bokiem, żeby twarzy jego chora nie widziała, i ujął jej rękę:

— Co chcesz, siostrzyczko? — szepnął miękim głosem.

Basia podniosła na niego zamglone oczy i znów spuściła je nagle, tylko dłoń młodego lekarza uściśnęła lekko:

— Walek, ratuj Basię! ratuj siostrę twoją!

— Basiu — szepnął znów lekarz, domyślając się jej imienia — czy bardzo cię głowa boli?

— Boli, oj boli!

— A kto cię ukrzywdził?

— Oni!

— Pokaleczona leżałaś w lesie — może uciekałaś?

Nie było już odpowiedzi — poruszyła ręką i spała dalej.

Po godzinie znów otworzyła oczy i spojrzała, a zobaczywszy okrągłą postać klucznicy, uśmiechnęła się do niej powtórnie.

— Pewnie jej kogoś przypominam — zauważyła staruszka, poczem z litości coraz częściej zaglądała do pokoju Basi.

Wieczorem gorączka wzmogła się strasznie, lekarz począł się trwożyć o swoją młodą pacjentkę, tembardziej, że straciła zupełnie przytomność.

\* \* \*

Kazimierzowi kilka godzin oczekiwania zdawało się wiekiem! Okropne przechodził katusze. Szał zaczął go opuszczać, odwaga nikła coraz bardziej; czuł swoją niemoc, bo radzić sobie w takim wypadku, w zupełnie obcej okolicy, było trudnem zadaniem! — Patrzył coraz to jaśniej na całą sprawę i w duchu złorzeczył Antkowi, mówiąc sam do siebie:

— Wszystko dziełem Antka! Potrzebnem mi to było! Siedziałem u matki i ojca w spokoju i bezpieczeństwie, kochany bardzo, jako jedynak i miałem już od św. Jana objąć gospodarstwo na własność — a teraz co? Szaleństwo mię porwało i straciłem wszystko!! Co pocznę, jeśli jeszcze i jej nie znajdę, tej ostatniej mojej pociechy!



Kazimierz z rozpaczy chwycił się oburącz za głowę, szarpiąc i targając bujny swój włos.

— Zmarnuję jeszcze i ją! i siebie! a młoda jest i piękna jak kwiat! Oszaleję z bólu! oszaleję! — szeptał.

Późno już było wieczorem, gdy Rebeka obudziła go z zadumy, wołając, iż parobcy już powrócili.

— Gdzież są? Mówcie! — Kazimierz zerwał się z miejsca.

— Przyprawdzą ich — rzekła i poszła.

— Po chwili stanęło we drzwiach dwóch chłopaków w brudnych kurtkach, tylko twarze zarumienione od wiatru, nadawały im pozór świeżości.

— Odnależliście jakiś ślad? — zapytał się Kazimierz z niecierpliwością.

— Nic wytropić nie mogłem — mówił starszy — a byłem w czterech wioskach, u kilkunastu włościan i w trzech gospodach.

— Jam biegł przez las — zdawał sprawę młodszemu — i wpadłem do Zaporowa. Zaczepiałem kobiety i dzieci, nie wiedziały, więc szedłem dalej, do Mostkowa, a potem do Tarnowa. Wtem przyszło mi na myśl wracać na Zaporowo i puściłem się tą samą drogą. W Zaporowie pytałem się chłopów na polu, czy do wsi dziś rano nie przyszła jaka panna, a może że jest i we dworze? Może ją kto przyniósł z lasu?

— No przecież, że przynieśli z boru! — zawołał chłop barczysty.

Kazimierzowi dech zatrzymał się w piersiach z obawy o Basię — sądził, że przynieśli ją nieżywą!

— Kto przyniósł ją? — pytałem ciekawie, opowiadał chłopiec dalej.

— Lipnik i syn jego, Woś.

— A gdzież ona jest?

— We dworze, ale bardzo chora; leży bez przytomności, a doktor podobno przy niej siedzi.

Kazimierz odetchnął swobodniej! Basia była słabą, ale jeszcze żywą!

— Przytomności nie ma, bo to obłąkana — tłómaczyłem — prawil chłopak bez przerwy.

— Obłąkana?

— Tak!

— Skąd o tem wiesz?

— Od brata jej, który mię tu wysłał i ją poszukuje.

— To trzeba dać znać do dworu, a może to inna osoba?

— Idźcie wy do dworu, muszę wracać do gospody Mayera, bo tam na mnie brat tej panny czeka.

Wysłuchawszy Kazimierz opowiadania posłańców i nagrodziwszy ich dobrze, zwrócił się do młodszego:

— Czy możesz mię jeszcze dziś zaprowadzić do Zaporowa?

— A czemu nie!

— To posil się i pójdziemy zaraz.

Po godzinie byli już na połowie drogi. Chłopiec niósł kuferek Basi, Kazimierz kapelusz i płaszcz.

Młody Sum szedł z początku śmiało, wiedząc, że chwilowo nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, bo dla tutejszej okolicy był obcą zupełnie osobą, lecz im bliżej dochodził do Zaporowa, tembardziej serce mu biło i lęk go ogarniał; obawiał się złej wieści. Namiętność do dziewczęcia obudziła się znów w nim z całą swoją potęgą.

Już byli we wsi, gdy nagle Kazimierz zatrzymał się, bo czuł że blednie i wargi drżeć mu zaczynają. Stał i czekał.

Chłopiec spoglądał na niego ze zdziwieniem. Po chwili młody Sum odezwał się:

Wstąpmy najpierw do jakiej chaty, zmęczylem się:

I poszli do najbliższej chaty, wpytując się o dziewczę.

— Podobno słaba bardzo, ale żyje — odpowiedziała im wieśniaczka.

— A kto jest przy niej? — pytał się Kazimierz.

— Wojciechowa tu ze wsi.

— A gdzie chata Wojciechowej?

— Tam na wzgórku, trzecia stąd, Wojciechowa siedzi u córki Wasilowej.

Kazimierz podążył do Wasilowej i prosił ją, żeby poszła do matki i oznajmiła, że brat chorej przyszedł i pragnie widzieć się z siostrą.

Wasilowa pobiegła do dworu, a Kazimierz czekał przy bramie. Nie śmiał stanąć wobec dziedzińców tutejszych, chciał się dostać ukradkiem do pokoju chorej i przekonać się, czy to rzeczywiście jest Basia.

Było już bardzo późno, chora spała, lekarz nakazał spokój i ostrożność.

Wojciechowa wahała się początkowo, ale pomyślawszy, że przecież widzenie się z bratem siostrze szkodzić nie może, posłała Wasilowę po Kazimierza.

Wkradał on się na palcach, jak zbrodniarz, niosąc kuferek i płaszcz Basi. Weszli cicho i bez szmeru, młodzieniec stanął i patrzył:

— Tak to ona! — pomyślał i odetchnął pełną pierś — ale piękniejsza jeszcze — a zawsze jak święta!

Wasilowa odeszła, Kazimierz oddał rzeczy Basi Wojciechowej i stanął pod piecem. Wojciechowa widząc ostrożność i obawę na twarzy młodzieńca, przytem i garderobę Basi, nie przypuszczała żadnego podejścia. Podsunęła nawet krzesło Kazimierzowi i prosiła, żeby spoczął.

Wtem wszedł młody lekarz, a spostrzegłszy obcego w pokoju chorej, schmurzył czoło:

— Kto tu? — zapytał cicho, lecz ostro.

Kazimierz zbladł.

— To brat tej panny — rzuciła Wojciechowa.

— Brat? Jakżeż się nazywacie?

Sum załął się na razie, wreszcie odpowiedział cicho:

— Dąbek.

— Dąbek, Dąbek — powtarzał pan Henryk i począł się zastanawiać. — Czy może z Łodzi?

Kazimierz drżał na całym ciele, lecz rzucił krótko:



— Nie!

— Kiedyś zapoznałem się z młodym Dąbkim, jadąc koleją do Kutna. A skąd wy?

— Z pod Włocławka.

Kłamstwo kalało usta Kazimierza coraz bardziej.

— Czy siostra wasza była chora? skąd się wzięła w lesie?

Usta Kazimierza znów drżały, począł się przeto jąkać, a wkońcu wykrztusił, iż cierpi na obłąkanie, widocznie dostała napadu i poszła do boru. Noco-  
waliśmy w gospodzie.

— Czy ciągle jest nieprzytomna?

— Nie, tylko czasami.

Chora poruszyła się i zaczęła jęczeć. Kazimierz patrzył na dziewczę wzrokiem dziwnym, wszystko w nim było: miłość i rozpacz, bojaźń i żal, gniew i chytrłość.

Spojrzenie to badał młody lekarz i zastanawiał się nad niem, bo nie dostrzegł nic wyraźnego. Podpadło mu tylko sztywne obejście się z chorą, jakby nie śmiał się zbliżyć do niej.

— Obojętny brat — jakiś dziwak! — pomyślał pan Henryk.

— Wyjdz! wyjdz! — krzyknęła nagle chora, a w głosie jej brzmiała straszna trwoga. Kazimierz drgnął tak mocno w tej chwili, że aż pan Henryk nań zwrócił uwagę!

— Wyście pewnie chorzy na nerwy — szepnął.

— Zmęczony jestem — tłómaczył się Kazimierz.

— Gdzie zanocujecie?

— Na wsi — a może też będę i tu potrzebny?  
— zauważył nieśmiało.

— Dobrzeby było, gdyby ktoś pomagał Wojciechowej, noc długa, staruszka się zdrzemnie, a okłady trzeba pilnie robić na głowę.

— Więc zostanę!

Zostańcie. — Tu doktor wyszedł z pokoju chorej.

— Zostanę i popatrzę na nią — myślał Kazimierz — dziś mię jeszcze tu nie znają, jutro może Basia odzyska przytomność i też niezawodnie ściagać mię zaczną.

Pytał się potem Wojciechowej o najmniejszy szczegół dnia dzisiejszego, staruszka zdziwiona była jego przebiegłością.

— To jakiś mądrala! — pomyślała sobie, a że ciekawa była z natury, więc i ona poczęła go badać. Pytała się czem są, gdzie mieszkają, ile jest rodzeństwa, czy rodzice jeszcze żyją?

Kazimierz opowiadał jej życie i stosunki Walka i Basi.

Kłamstwo potraçało kłamstwo, fałsz rodził fałsz, czuł, że brnie coraz głębiej, a nie miał siły się cofać.

Wojciechowa i Kazimierz rozmawiali z sobą przyciszonym głosem. Monotonne to brzmienie słów widocznie drażniło chorą, chociaż była nieprzytomna. Oczy bowiem często zwracała w stronę rozmawiających i jakby rękę wyciągała do nich.

Kazimierz zbliżył się z cicha i dłoń Basi przycisnął do ust.

Chora rzuciła nań przelotne spojrzenie i krzyknęła:

— Kazimierz! — A w jednym tym wyrazie tyle było przerażenia i bezbrzeżnej rozpacz, że Wojciechowa zbladła, bo zdawało się jej, że obecność brata chyba chorą zabije! Zasłoniła go więc czempredziej swoją osobą; Kazimierz schylił się i schował za szczyt łóżka Basi.

Następnie zbliżyła się Wojciechowa do dziewczki, która usiłowała unieść się na postaniu, ale z osłabienia zaledwie głowę trochę dźwignęła. Czując swoją niemoc, zaczęła płakać tak przejmująco, że Kazimierz miękł coraz więcej.

Wreszcie usłyszał szept modlitwy:

— O Marjo, ratuj! O Jezusie, zlituj się!

— Święta! — pomyślał Kazimierz.

Szał jego stawał się bezsilnym, a szlachetna miłość i szacunek budzić się poczęły w sercu młodzieńca.

Młody Sum miał żywe, lecz wrażliwe usposobienie, było w nim dużo fantazji, uczucia, ale i uporu, raczej kaprysu, a mało silnej woli. Im więcej szlachetniał przez miłość szczerą, tembardziej czuł swoją winę i krzywdę wyrządzoną Basi i coraz jaśniej poznawał, że złym jego duchem, który go wiódł na pokuszenie, był Antek Wróbnik.

Wojciechowa natomiast, widząc, niepokój chorej, prosiła Kazimierza, żeby się już oddalił, a może jutro znów będzie mógł zajrzeć do Basi.

Kazimierz usłuchał jej rady, odszedł, przenocował u Wasilowej, a rankiem wrócił do gospody. —

Basia kilka dni była nieprzytomna. Pielęgowali ją wszyscy: pani Zofja, pan Henryk, służba a przede wszystkim Pawłowa, która ogromny czuła do niej pociąg.

Każdego poranku gorączka zwykle się zmniejszała, wtedy to Basia uparcie wpatrywała się w obraz nad łożem swoim i wołała, jakby uradowana:

— W chatce! w chatce! Mój Chrystus!

Nad łóżkiem wisiał obraz Chrystusa Pana w koronie cierniowej. Podobny obraz był kiedyś w chatce Dąbkowej, później w komorze, gdzie spały jej sieroty u Wróblików, następnie umieściła go Basia w ołtarzyku swoim, w mieście. Do obrazu tego wiązały się tysiączne wspomnienia, smutne i wzniosłe. Heżto razy w doli i niedoli dziewczeczka padała przed nim na kolana! Nic więc dziwnego, że i w gorączce czynił na niej wrażenie i potęgował jeszcze chorobliwą fantazję.

Ponieważ jeszcze cicho było w okolicy i władze dotąd nikogo nie tropiły, przybywał Kazimierz zawsze wieczorem do Zaporowa, a nocą, za sprawą Wojciechowej i Wasilowej, dostawał się do pokoju Basi.

Młody Sum nie miał dziś już złych zamiarów, chciał owszem nagrodzić dziewczeczce krzywdę, którą jej wyrządził i myślał ją pozyskać sobie dobrocią i poświęceniem się dla niej bez granic. Czuł, że bez niej trudno mu dziś będzie żyć, a wiedział też, że Basia ma wstręt do niego, więc tylko uczciwą drogą



można było coś tu uzyskać, jeżeli wogóle była jakaś nadzieja.

Całe noce wpatrywał się w chorą, jak w jedyne szczęście swoje, i coraz więcej ją czcił i miłował. Basia w malignie ciągle wspominała imię jego ze zgrozą i z obrzydzeniem nie do opisania, rzucała rękoma, odpychała kogoś, a wkońcu zawsze płakała, wzywając Świętych na pomoc.

Ten wstręt Basi do jego osoby był dziś dla niego największym bólem i najstraszniejszą rozpaczą. Przeklinał Antka Wróblika i płakał przy łożu chorej jak grzesznik za winy swoje, czując, że obraziwszy dobro, traci je na zawsze! Straszne dręczyły go wyrzuty sumienia, tem większe, im mniej lekarz miał nadziei uzdrowienia Basi.

Choroba była zawikłana, a trudna do rozpoznania: lekarz był przekonany, że chora rzeczywiście cierpi na obłąkanie, stąd i wnioski i przypuszczenia jego były mętne.

Antek od czasu do czasu pisywał tajnymi drogami do Kazimierza. Donosił mu właśnie, że zniknięcie jego nagle z Grzybowa straszne zrobiło wrażenie: Matka jego rozchorowała się ciężko i leży obłożnie, a ojciec całe piekło przekleństw rzuca na syna!

„Jeżeli się obawiasz przyszłości, to wracaj!“ — dodał Antek w liście od siebie. — Może i Basia ci umrze — prześlągaj ojca, póki matka żyje, dni jej już policzone podobno. A chcesz iść na upartego, to uciekaj w inną okolicę, bo już cię poszukują i ścigają!

Po odebraniu listu Antka, Kazimierz zachwiał się jeszcze bardziej, nie wiedział teraz zupełnie, jak sobie począć i radzić. Na upartego nie chciał pójść, był bowiem przekonany, że tą drogą już nie dojdzie do niczego.

Zostawała mu tylko pokora, nią mógł matkę przebłagać, a przez matkę ojca, chociaż wielkiej nie miał nadziei, wiedząc jak wielce rodzic jego był zacięty. Ale cóż z nim się stanie, skoro ta dobra, kochająca go tak czule matka, oczy i usta zamknie na wieki? Ta droga istota, która tylko sama ma wpływ na zawziętego i obrażonego tak wielce ojca, ta jedyna, która za nim przemówić może?

— Więc pojedę i rzucę się matce i ojcu do nóg!  
— zawołał sam do siebie z energią i byłby natychmiast wyruszył w podróż, gdyby go nie był pochwycił ogromny lęk o Basię.

— A jeżeli beze mnie tu umrze? — rozmyślał. — Och, byłoby to straszne!

I nie mógł się zaraz oderwać od dziewczeczki, więc cichaczem wracał jeszcze co wieczór do Zaporowa i strzegł jej z Wojciechową, a noce te długie były dla niego zarówno męką i rozkoszą! Radował się, że ją widuje i tak blisko jest przy niej, a wyrzucał sobie w duszy, że ją zabija swoją namiętnością, a z nią razem niszczy zdrowie i życie matki i podnieca straszny gniew rodzica, który już bucha płomieniem.

Słowem zmarnował wszystko, co mogło być dlań szczęściem na długie lata.

Którejś nocy Kazimierz siedział dłużej, niż zwykle, u chorej, a poranek już świtał. Basię gorączka zdawała się opuszczać, miała jasne zupełnie chwile, więc poczęła się rozglądać po pokoju, gdzie się może znajdować.

Wojciechowa poszła właśnie po herbatę dla chorej, a Kazimierz widząc, że Basia patrzy przytomnie, rzucił się na kolana ponad jej łóżem.

Dzieweczka spojrzała na niego tak zamglonymi oczyma, iż zdawało się, jakoby rzeczywisty, obłąd ją ogarniał.

— Nie dręcz mnie! — krzyknęła i z całą mocą odpychała Kazimierza od siebie, lecz siły jej nie dopisywały, więc wychudłe ramiona wyciągnęła w górę i z gorącym naleganiem wołała do Pana:

— O zabierz mię do siebie! zabierz mój Boże! — Łzy ciekły po jej twarzy, a oczy miały blask nie tego świata!

Łzy Basi zaciążyły Kazimierzowi ołowiem na sercu; począł i on mówić głosem przerywanym, pełnym serdecznego płaczu:

— Nie lękaj się... Basiu... daruj... i przebac mi wszystko! To Antek najwięcej zawinił... nie byłbym nigdy śmiał coś podobnego uczynić... ale stało się już... Przebac mi!... przebac!... błagam cię o to, jak o łaskę... o jedyna... o najdroższa!

Basia łzawym wzrokiem spojrzała na Kazimierza i drżącemi odpowiedziała usta:

— Mścić się nie będę... ale przysięgnij, że mnie nie ukrzywdzisz nigdy! że będziesz cnotliwy i uczciwy! — Głos jej był uroczysty, ale słaby.

— Przysięgam na Boga! ale przebacz i kochaj mnie! — Dzieweczka przeczyła głową:

— Nienawiść wyrzucę z serca... przebaczę... zapomnę! — dorzuciła cichym szeptem.

— O daj mi choć odrobinę miłości! — wołał młodzieniec w rozpacz.

— Nie mogę... nie mogę!... szepnęła.

— Więc broń mnie od zemsty Stefana i Walka!

— Obronię! — jęknęła i wpadła w straszną niemoc. Febra zatrzęsła całym jej ciałem, po chwili oczy zaczęły sypać iskry, usta spiekały się, a na lica wystąpiły ostre rumieńce.

— Żle! źle! — pomyślał Kazimierz, zerwał się i począł lodem okładać głowę Basi.

Zrobiło się późno, cały dwór był już na nogach. Kazimierz kątami, ukradkiem jak wąż, wysunął się ze dworu i ze wsi, ale odchodził z szalonym bólem w sercu!

— Basia umrze! tak... umrze! — powtarzał nieprzytomny i rwał sobie włosy z rozpacz. Skoro przybył do gospody, Mayer wziął go zaraz na ubocze:

— Cas uciekać, bo was złapią! Dopytujęm się na wszystkie strony! Jest i list do was. Abraham go przysłał.

Kazimierz czytał następujące pismo od Antka:  
„Matka twoja umarła! Krwotok ją zabił, w środę pogrzeb. Ojciec leży chory, przeklinał cię



tak strasznie, że ludzie uciekali z chaty, bo nie mogli więcej słuchać tego! I Motkowa nie żyje, umierając wołała, żeś ty Basię porwał. — Uważaj, bo cię ściągają!“ — Antek.

Na te okropne wiadomości Kazimierz skamieniał! Długo stał w jednym miejscu bez ruchu najmniejszego, wodząc wokoło błędnem spojrzeniem, wreszcie padł na ziemię i z głębi serca zapłakał.

— Więc straciłem już wszystko! — jęknął po chwili — matkę, tę jedyną, która byłaby życie oddała za szczęście syna! Straciłem łaskę u ojca, a z nią dobytek i mienie i pogrzebię jeszcze ostatnie moje skarby... i ją jeszcze! Zmarnowałem dary Boże, bo nie umiałem ich cenić, dziś widzę, com uczynił! Zabrał mi je Pan Bóg, bom nie był ich godzien! — cóż pocznę teraz? — myślał cały zalany łzami — tam matkę grzebią... tu Basia umiera!

Straszna walka toczyła się w duszy syna i kochanka, wreszcie miłość do matki zwyciężyła. Prosił Mayera, nagradzając mu, sownie za wszelkie przysługi, żeby go odwiózł na kolej, a wiadomości o Basi udzielał mu przez Antka i Abrahama. Z ciężkiem i rozdartem sercem wsiadł na brykę, zwracając smętne i tęskne spojrzenie w stronę Zaporowa.

---

## ROZDZIAŁ VI.

---

Kazimierz opuszczając za radą Mayera gospodę, zamienił ubranie z jakimś wieśniakiem i zgolił za-

rost, żeby niepoznany szczęśliwie się mógł przedostać przez granicę i dalej aż do Grzybowa.

Młodzieńcowi było dziś obojętnem, czy go pochwyca lub nie; chociaż miał młodość i zdrowie, to jednak w sercu jego nie było nadziei, tam gościła bezdenna rozpacz! — Zdawało mu się, że nie ma pogo i dla kogo bronić swojej wolności, bo wszystko, co miał i kochał, znikło już ze świata! Rozpacz zrobiła go obojętnym na całe otoczenie. Bez najmniejszego wrażenia przebył granicę, szedł śmiało, mając w kieszeni nowy paszport, który zawdzięczał Abrahamowi. Bez zaczepki też przebył całą drogę; sam poznawał swoich znajomych, ale w nim się nikt nie domyślił młodego Suma. Był blady i zmarnowany od smutku i czuwania w nocy, a resztę przemiany dopełnił ubogi strój wieśniaczy i brak zarostu. Nocą dotarł pieszo od kolei do Jana Mrozka i zapukał do chaty.

Jan oczom swoim nie wierzył, czy człowiek, czy duch? Czy Kazimierz, czy żebrak, czy obłąkany? Straszne zrobił na nim wrażenie, a było to jeszcze o północy, gdzie fantazja w grę wchodzi, a ludzie wierzą, że o tym czasie krążą duchy po świecie.

— Kto to? — krzyknął wreszcie Jan, a pot wystąpił mu na czoło.

— To ja... ja... — szepnął Kazimierz.

— Co za ja?

— Kazimierz! ale cicho... wpuść mię, a nie bądź nikogo!

Mrozek wahał się, lecz Kazimierz odgarnął go ręką i wszedł do chaty.

— Bój się Boga! jak ty wyglądasz, człowieku!  
— wołał Jan, przypatrując się uważnie Kazimierzowi. Gdzieżeś ty był? Mów prawdę! Coś uczynił z Basią? Mów! mów o wszystkim, bo już cała wieś głośno rozpowiada. Tyś łotr! Szkoda dziewczyny, serce mię za nią boli... Tłómacz się, mów prawdę, bo ja pierwszy wsadzę cię za kratę!

— Nie obawiam się więzienia — rzucił Sum głosem jakby z pod ziemi wychodzącym — powiem ci wszystko, ale nie teraz! Mów ty, co ojciec robi? Czy matki zwłoki jeszcze w chacie leżą w trumnie?

— Więc już wiesz... i po to przyszedłeś?

— Po to... jęknął Kazimierz i zaszlochał. W Mrozkę obudziła się litość.

— Żał mu! — pomyślał — ale za późno!

— Matkę twoją pogrzebaliśmy dwa dni temu!

— O Jezu drogi! więc już pogrzebana! A ojciec?

— Ojciec leży chory.

— Czy jeszcze mię przeklina?

— I o tem wiesz?

— Wiem... jęknął.

— O, przeklina cię strasznie i chyba nigdy nie przebaczy! Ojciec twój wie, żeś matkę wepchnął w grób... a z utratą jej, świat dla niego istnieć przestał! Ciebie ma wprowadzie jeszcze, aleś ty mu dużo kłopotu narobił w życiu... nie wierzy ci... uważa cię za łotra!

Kazimierz pochylił głowę i twarz zakrył rękoma, łzy ciekły mu po palcach.

— Za późno! — westchnął znów Mrozek, po chwili zapytał się:

— Kazmierzu, cóż chcesz uczynić teraz?

— Pójdę na grób matki i rzucę się ojcu do nóg!

— Idź — idź! ale wpierw powiedz mi, coś zrobił z Basią? Mów prawdę, a pójdę z tobą do ojca, a gdybyś skłamał... pochwycę cię i oddam w ręce sprawiedliwości! Wyznaj, jak na spowiedzi!

— Nie strasz mię! Nie myślę uciekać, ani kłamać, bo szczęścia dla mnie już niema! Wszystko mi zarówno! chociażby przyszło i siedzieć w więzieniu...

— Dziwne jakoś masz zapatrywanie... powiedz mi jednak, coś uczynił z Basią? — Janowi głos zamierał w piersiach, nogi pod nim drżały, zawsze jeszcze cenił i kochał Basię.

Kazimierz opowiedział wszystko, nie zataił nic, wkońcu dodał:

— Dzieweczka jest czysta i niewinna jak łza... i to było dla niej szczęściem! To było siłą, która nie pozwoliła się nawet do niej zbliżyć! Święta, mówię ci, święta jest! Nie wiem, czy żyć będzie... och! żeby żyła! to i ja może kiedyś odżyję... chociaż daleko w świecie... Wiem, że za mnie nigdy nie wyjdzie, ale też i żalu i pogardy mieć nie będzie. Przebaczyła mi wszystko, bo przysiągłem jej, że odtąd będę uczciwym!

Po długiej chwili dodał jeszcze:

— Stefan z nią skarb weźmie do chaty... dla mnie ona stracona na zawsze!



Tu zadumał się głęboko młodzieniec, utkwił wzrok w podłogę i patrzył zamglonemi oczyma. Wreszcie ocknął się i zerwał z miejsca:

— Idę na grób matki!

— W nocy?

— Wszystko mi jedno!

Żal się Janowi zrobiło Kazimierza, więc rzekł:

— Poczekaj chwilę, skoro zaświta, pójdę z tobą.

— Zaczekam — odparł sucho.

Jan wystawił chleb i masło dla Kazimierza, chcąc go czemś wzmocnić, lecz młody Sum odepchnął posiłek ręką, tylko strudzony rzucił się na łożę; sen jednak nie skleił mu powiek.

Razem ze świtem zerwali się z posłania i szli ku cmentarzowi. Droga była dosyć daleka od chaty Mrozka, więc dla skrócenia jej, wybrali ścieżkę przez pola i łąki, które uginały się jeszcze pod ich stopami, bo wiosna była wilgotna. Kazimierz szedł krokiem ociężałym, głowę spuścił ku ziemi, wzrok miał rozpaczliwy; skoro stopy mu zapadły na grząskim gruncie, potykał się i chwiał cały.

— Co namiętność z człowieka zrobić może! — myślał Mrozek patrząc na Kazimierza. — Wygląda jak chodząca mara, a był rzeźwy niby poranek majowy!

Im bliżej byli cmentarza, tembardziej Kazimierz pochylał głowę i tem więcej się chwiał. Weszli wreszcie na miejsce wiecznego spoczynku przez ciasną drewnianą furkę.

Mrozek szedł naprzód, postąpił kilka kroków a nie widząc przy sobie Kazimierza, nagle się obej-

rzał. Młodzieniec stał oparty o mur ogrodzenia cmentarnego, a bladość śmiertelna pokrywała oblicze jego, z pod czoła patrzyły oczy pełne łez, lecz głęboko zapadnięte, jakby spoglądały wewnątrz... w duszę!

— Biedny! — pomyślał Mrozek i zbliżył się do niego.

Widząc to Kazimierz, ruszył z miejsca i szedł za Janem, który mu wskazał w milczeniu grób matki. Mogiła nie była jeszcze dobrze usypana, a zdobiły ją dwa wieńce z barwinku i jałowcu. Obok spoczywali starzy Dąbkowie.

Kazimierz, cały drżący, objął żalosem spojrzeniem grób matki i z jękiem rzucił się na mogiłę, obejmując ją ramionami swemi. Tak przebył długą, bardzo długą chwilę, zraszając łzami ostatni przytułek na ziemi znikłych szczątków zgasłej i najdroższej dlań istoty.

Jan nie śmiał go oderwać od mogiły i patrzył nań z niezmiernem współczuciem.

Skoro jednak Kazimierz przez dłuższy czas nie wstawał od grobu, począł się Jan o niego trwożyć. Przystąpił zatem doń, pociągnął towarzysza za ramię i rzekł:

— Wstań! już czas... będzie późno!

— O Jezu! — jęknął Kazimierz unosząc się z klęczek — cóżem uczynił?!

— Stało się! — rzekł Mrozek — aby ci tylko ojciec wybaczył! — A chcąc przerwać myśli Kazimierzowi, wskazał mu grób na lewo:

— Patrz, tu spoczywa Motkowa, a kończyła, jak przystało na chrześcijankę — bez obawy, z modlitwą na ustach, z nadzieją i wiarą w sercu w miłosierdzie Boże!

— O, żeby mię tam byli lepiej pochowali!

— Nie, bracie — zawołał Mrozek — na ciebie jeszcze nie czas!

— I cóż pocznę z tem straszmem życiem, jeśli ojciec mi nie wybaczy!

— Poświęć się dla bliźnich — szukaj pociechy w pracy!

Tak rozmawiając zaszli do Grzybowa. Im bliżej byli chaty Sumów, tem większe drżenie przejmowało serce Kazimierza. Nie śmiał ócz podnieść, gdyż sądził, iż cała wieś palcem nań wskazuje jako na zabójcę matki, marnotrawcę dobra ojcowskiego i uwodziciela niewinnej, jak anioł, dziewczyny.

Weszli w podwórko, lecz marnotrawny syn nie śmiał przestąpić progu ojcowskiego! Został więc przed drzwiami, przytulony do muru, a Jan wszedł do chaty.

Okno było uchylone, każdy głos z izby dochodził wyraźnie do uszu Kazimierza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał Mrozek, otwierając drzwi izby.

— Na wieki! — odpowiedział głos grobowy, ale słaby.

— A jak dziś ze zdrowiem waszem?

— Ha, zwlokłem się z łoża do słońca, bo i z tęsknoty wytrzymać nie mogę! Dam sobie choć za-

prząc do wózka i pojedę na cmentarz. — Tu starzec w głos zaszlochał.

I Kazimierz pod oknem zajęczał z bólu.

— Dajcie pokój, nie jedźcie, dziś chłodno.

— Muszę jechać, bo tęsknota mię zamęczy. Ona tu była słońcem mojem... ciepłem mojem; wszystko straciłem przez tego łotra! — Stary Sum załamał ręce.

— Nie mówcie tak, Kazimierz wróci, przeprosi was i będzie wam lżej we dwóch.

Starzec zerwał się z miejsca na słowa Jana, a głos jego brzmiał jak grom:

— Niech noga jego w chatce mojej nie postanie! Nie godzien jest takiej matki, nie godzien przestąpić progu tego! To podły niktzemnik! Wiedzieć o nim nie chcę, wyrzucę jak psa! Wczoraj umyślnie pojechałem do miasta, by oddać testament mój na sądzie. Nie mam już syna! nie mam dobytku! Z nią dla mnie wszystko przepadło. Ukrzywdziłem kiedyś sieroty Dąbkowej, więc za to chatę im oddaję za połowę ceny dawniejszej. Gospodarstwo po Wróblikach sprzedasz ty, Janie, bo ciebie wyznaczyłem do wypełnienia mojej woli w testamencie, i rozdasz pieniądze ubogim. Jeślim źle zrobił, to niech ten miłosierny uczynek zmaże winę moją... ale on... on nie godzien szeląga z ciężkiej pracy mojej, zroszonej potem ojcowskim!

— Ależ to wasz syn... wasza krew... bójcie się Boga!

Jęk straszny wydobył się z piersi Kazimierza.



— Nie godzien ani szeląga! mówię ci raz jeszcze! Nie znam go! niech ginie jak zwierz pod płotem! Niech pełza jak robak i żebrze litości, a niech jej nigdzie nie znajdzie, tak jak jej nie miał dla rodziców swoich!

I znów jęk straszny rozdarł powietrze...

Kazimierz chwycił się za głowę i jak szalony wpadł do chaty, lecz we drzwiach nagle stanął, a zobaczywszy postać ojca prawie zgrzybiałą, rzucił się w progu na kolana i wyciągnął doń ręce:

— Ojciec... przebacz!

Stary Sum spojrzał ostro, a w oczach jego drgało całe piekło złorzeczeń:

— Przeklęty!... — syknął przez zaciśnięte zęby — nagle chwycił się za serce — dyszał, robiąc strasznie pierśią... i runął na ziemię, jak wywrócona kolumna!

Kazimierz i Jan rzucili się do upadającego, lecz niestety już tylko martwe zwłoki złożyli na łożu.

Przy tych zwłokach ukląkł przeklęty i marnotrawny syn i łzami i pocałunkami, które składał na sztywniejące już ręce i nogi ojcowskie, chciał przebłagać gniew jego i usunąć karę Bożą! I w twarz patrzył ojcu... i w niej szukał litości i przebaczenia... ale oblicze rodzica nawet po śmierci było straszne dlań i groźne... Porwał się więc, wydarł garść włosów i zawołał grobowym głosem:

— Słuchaj, Janie — nie mogę dłużej patrzeć na martwe, a jeszcze zagniewane oblicze ojca mojego... bo zmysły stracę... Nie zniosę więcej bólu i hańby... idę w świat... słyszysz! idę! Nie chcę

widzieć nic i nikogo! Nie chcę nikogo znać, o niczem nie chcę wiedzieć... Co ojciec postanowił w testamencie, niech się wypełni! To będzie pokuta moja za winy! Oną sumę, którą zapisał z konieczności synowi, ty zabierz, bom ci winien. Do Walentego napiszę i podam adres Basi.

Tu spojrział raz jeszcze na zwłoki ojca błędnemi, lecz strasznyemi oczyma, niemi też okrzyki ściany chaty i wybiegł jak szalony.

Jan szedł za nim, wołając:

— Kazimierzu! upamiętaj się i nie brnij jeszcze głębiej.

— Puść mię! bo rozum stracę! — jęczał — w świat! w świat ze mną!

— Ha, może i lepiej — zauważył Mrozek. — Dusza jego więcej i dłużej bólu już znieść nie może... niech idzie... a Pan oby mu był miłosiernym!

Jan wrócił do chaty Suma, zawołał parobka i posłał go po Rychlika. Skoro kowal przybył, obydwoj zajęli się pogrzebem i dobytkiem starego Suma.

Wiadomość o śmierci starca i klątwe ojca rozeszła się lotem błyskawicy po wsiach i chatach, przeraziła ona wszystkich, a szczególnie młodych i lekkomyślnych ludzi, nadto także starców, miotających przekleństwo od rana do wieczora.

Kazimierz biegł jak szalony, był prawie nieprzytomny. Zdawało mu się, że go ktoś goni, a on z miejsca ruszyć nie może. Czuł, że przekleństwo ojcowskie wisi nad jego głową, jak straszna, czarna chmura, i że z niej spadną gromy, więc przed nią uciekać trzeba, żeby się gdzie schronić w zaciszu.

Czuł to przekleństwo w duszy, czuł je w sercu, przyginało ono mu piersi, jak olbrzymi ciężar, wiązało mu ręce, jak kajdany, wstrzymywało kroki jego, jak ołowiane kule, zawieszona u nóg! Bezwiednie skierował kroki w podwórze Mrozka — tu mu się przypomniało, że chciał pisać do Walka, wpadł więc do chaty, a znalazłszy papier i atrament, usiadł i pisał. Złożył potem ćwiartkę papieru, wsunął ją w kopertę i zaadresował do Walka. Zrobiwszy swoje, skinął na parobka.

— List ten oddasz Mrozkowi i powiesz, żeby go przeczytał i zaraz wysłał na pocztę.

Tu Kazimierz wcisnął czapkę na głowę, chwycił za kostur i wybiegł znów jak szalony, nie zważając na nikogo i na nic. Czuł, że bólu nie przetrzyma, skoro się nie oderwie od wszystkiego, co mu przypomina przeszłość. Ratował życie, jak dziecko małe, bezwiednie — instynktowo. Szedł i szedł bez końca, bez upamiętania. Skoro głód za bardzo mu dokuczył, to wystarał się o kawał suchego chleba, skoro siły go opuszczały — rzucał się gdzieś na polu, przespał godzinę i znów szedł dalej.

Bał się tej chmury ołowianej, co wisiała mu nad głową i szukał zacisza. Dostał się wreszcie do Galicji i tam zaprzepaścił się. Wieści o nim odtąd nie było żadnej.

Mayer i Abraham czytali ogłoszenia Walentego Dąbka, w których tenże poszukuje siostry.

Pachniał im przeto nowy zarobek! Za mało było tego, co w garść im rzucił Kazimierz, więc podsunęli trzecią osobę, Icka, i uwiadomili Walentego o pobycie siostry. To samo uczynił pan Henryk, ale zrobił to z litości dla biednej dziewczyny, z góry się wyrzekając wszelkiego zysku.

Radość Walentego i Stefana nie miała granic na wiadomość o Basi, tej ukochanej dziewczeczki, którą już mieli za straconą! Szczęście ich mąciła obawa o jej zdrowie, bo pan Henryk i o tem donosił bratu.

Walenty wybierał się zaraz w podróż, po siostrę, i polecił Stefanowi wynająć pokój dla Basi, tu w Łodzi, nadmieniając, iż źle swych skarbów pilnują i że trzeba je bliżej umieścić.

— Masz słuszność — odparł Stefan — tak dłużej być nie może, zaniedbujemy obowiązki narzeczonych.

Tu Walek spojrział na zegarek:

— Godzinę jeszcze mam czasu do pociągu. Napiszę więc Koziółczykowej, żeby sprzedała swoje meble i przybyła na mój koszt z Leosią do Łodzi. Zajęcie i chleb będą tu miały ten sam, co i w Prusach. A skoro nie zechce, to niech Leosia przybywa sama, przecież znajdzie się tu uczciwa opieka kobieca dla istot nam drogich, zanim wprowadzimy je jako żony do gniazd naszych. I z tem trzeba się pośpieszyć!

— Nareszcie, Walek! Tego postanowienia czekałem od dawna!

— Mój bracie, pierwszy obowiązek, nie własne, osobiste szczęście! Wiesz dobrze, że urządzenie



fabryki pochłania nas zupełnie — a potem chciałem sobie wprawdzie wyrobić pewne i dobre stanowisko — i tyś je miał zdobyć, zanim połączysz się z Basią.

— Ha, po tej burzy, może i słońce dla nas zaśnieje?!

— Daj Boże! — odparł Walenty i spieszył na kolej. — Stefan po długim szukaniu, najął dla Basi miłą i obszerny pokój już umeblowany, od zamożnej jakiejś rodziny, która miała zarazem nad dziewczeczką czuwać. Kącik Basi przybrał w kwiaty i z bijącym sercem oczekiwał narzeczonej, męcząc się tą myślą, że Basia będzie wycieńczona chorobą. Dzieweczka była rzeczywiście bardzo osłabiona, ale niebezpieczeństwa nie było już żadnego. Po ostatnim wybuchu Kazimierza, wpadła w straszną niemoc, mdlała raz po raz, lecz widocznie choroba już się przesiliła, a świadomość i siły powoli wracały.

Odzyskując przytomność, nie mogła sobie w pierwszej chwili przypomnieć, gdzie się właściwie znajduje. Obraz Chrystusa w koronie nasuwał jej na myśl chatę i pobyt w mieście, ale pokój był inny, otoczenie odmienne, ludzie jacyś obcy...

— Cóżto? na Boga! gdzież jestem? — pytała sama siebie. — Kiedy zaś przyszła klucznica Pawłowa i mile na Basię spojrzała, wyciągnęła do niej rękę, pytając nieśmiało, czy jest Koziółczykową.

— Nie jagódka — odpowiedziała słodko klucznica — to Pawłowa Nowakowa, ale kocha cię, jak swoją córkę. Moja siostra nazywa się Koziółczykowa, ale dawno już nie pisała do mnie, a mieszka w Bydgoszczy i ma dziewczętą na pensji.

— To nasza poczciwa opiekunka! O, pani do niej zupełnie podobna. Ale skąd ja się tu wzięłam? U kogo jestem?

— W Zaporowie, u zacnych państwa Rybickich; Lipnik, borowy, przyniósł cię z lasu, gdzie leżałaś zemdlona pod dębem.

Basia przypomniła sobie w tej chwili, że uciekała przed Kazimierzem.

— Czy długo już tu leżę we dworze?

— Przeszło dwa tygodnie.

— Nikt mię nie szukał?

— O tak, tu był brat twój.

— Brat? — zadziwiła się Basia — kiedyż tu był?

— Zaraz pierwszej nocy po przyniesieniu cię z boru.

Tu stanął jej przed oczyma Kazimierz.

— To pewnie nie był brat — alboż wie, gdzie jestem? A gdzież on teraz jest?

— Nie wiem, całe noce czuwał przy tobie, a w dzień odchodził zawsze, nagle jednak wyjechał bez pożegnania. Wszak ty jesteś Basią Dąbekówną?

— A tak.

— Młodzieniec ten mówił, że nazywa się także Dąbek.

Basia zastanawiała się.

— Kiedy tu był po raz ostatni?

— Przed tygodniem.

— I nic nie mówiąc, odjechał bez pożegnania?

— Odjechał i żadnej nie mieliśmy wieści o nim.

Basia nie wierzyła, żeby to był Walek, tem bardziej, że zaraz pierwszej nocy widziano go w dworku.

— To Kazimierz! — pomyślała.

— Powoli w pamięci jej przesuwały się wszelkie zajścia ostatnich tygodni: przypomniła sobie podróż do Wagańca i do gospody, ucieczkę swoją do boru, wreszcie i to, że kto ją niósł na rękę, ale nie wiedziała kto i gdzie ją niesie, ogromną bowiem wtedy czuła niemoc w całym ciele. Wreszcie snując obrazy z pamięci, wpadła i na ostatnią rozmowę z Kazimierzem. Przypomniła sobie jego przeprosiny, przysięgę i to, że mu przebaczyła winę i obiecała go bronić od zemsty Warka i Stefana.

Nazajutrz, czując się silniejszą, opowiedziała całe to przejście swoje Pawłowej, a później znowu ujęła w krótkich słowach przebieg całego życia swojego.

Dwór miał dużo serca do Basi, a teraz, znając historję jej życia, pokochał ją prawdziwie.

— Więc to był prześladowca Basi i nieszczęśliwy kochanek, ten młodzik, co przesiedział blisko tydzień, i to co noc u łoża chorej! Ale jak zręcznie nas oszukiwał, z jaką śmiałością tu wchodził! — mówił pan Henryk do pani Zofji, siostry swojej.

— Kochał ją jednak gorąco! — zauważyła Zofja.

— Chyba szalem chwilowym!

— Nie był to szal jedynie, pielegnował ją tyle nocy, a wiedział na co się naraża i co go spotkać mogło każdej chwili!

— Z szалу rodzi się często i lepsze uczucie, skoro burze życia nami wstrząsą, niby kolumną, dźwigającą zbyt ozdobną głowicę — wszystko wtedy z niej opadnie, a zostaną tylko kształty gładkie, ale szlachetniejsze, — tłumaczył pan Henryk — o liniach prostych, lecz pięknych.

Równocześnie z powrotem zdrowia Basi, nadeszły też pisma z ogłoszeniami Walka. Porównywano jej osobę z opisem — i wszystko się zgadzało. I Basia czytała te ogłoszenia, wyraźnie nadmieniając, że Walenty, to jedyny jej brat, mieszkający w Łodzi. Intryga wyjaśniła się już nieledwie zupełnie, coś w niej jeszcze zostało tajemniczego i to zadziwiało pana Henryka. Basia miała rozum jasny, niby kryształ przezroczysty, dla czegoż Kazimierz z niej zrobił oblakana w całej okolicy?

— Rzecz prosta — tłumaczyła pani Zofja — chodziło mu o to, żeby Basi słowom nie wierzono, żeby tem łatwiejszy mieć przystęp do niej; zresztą chciał czemś upozorować ucieczkę jej z gospody, żeby swoją osobę uchronić od podejrzeń.

— Masz słuszność, Zofjo, ale zastanawia mię to prawdziwie, jak wielce młodzik ten był przebiegły, i chytry! — zauważył pan Henryk.

— Musiał mieć dobrego mistrza!

I odgadła pani Zofja, tym mistrzem był Antoni Wróblík! — Kazimierz miał niezły charakter, był tylko prędkí. Antek wiedział z której strony się do niego zabrać i jak zapalkę rzucić, żeby wywołać wybuch, a wybuch ten z ucznia zrobił nędznika, podobnego z podłości do samego mistrza. Całe nie-



szczęście dzisiejsze Kazimierza było dziełem Antka Wróblika! Los młodego Suma obchodził go dopóty, dopóki wiedział, że coś na nim zyskać może, a skoro usłyszał, że wszystko się już dla Kazimierza skończyło w Grzybowie, nawet o niego się nie zakłopotał, owszem jeszcze usunął od siebie wszelkie podejrzenia i zaparł się przed sądem, że nigdy w niczem Kazimierzowi nie dopomagał. Śledztwo jednak toczyło się dalej.

Ten sam Mayer, który wioził Antka i Basię z Wagańca i przetrzymywał w gospodzie Kazimierza, przywiózł teraz i Walentego przed dwór w Zaporowie, udając najniewinniejszego.

Brat Basi wszedł nieśmiało do dworu i przez służącego poprosił, czyby się nie mógł widzieć z panem Henrykiem. Młody lekarz wybiegł co tchu, a spojrzawszy zaledwie na Walentego, zawołał wesoło:

— A to moja znajomość z podróży do Kutna! Więc to pan pewnie prawdziwy brat Basi?

Walenty odpowiedział ukłonem:

— Tak jest, panie łaskawy i nie wiem, jak wyrazić moją wdzięczność dla wszystkich państwa, za tyle trudu i troskliwości, okazanej siostrze mojej?! O wszystkim dowiedziałem się od Mayera i słyszałem też, że Basia o wiele lepiej się miewa, że szczególnie szanownemu panu, jego zabiegom i opiece czcigodnej jego siostry, życie i zdrowie Basi dziś zawdzięczam!

— Spełniłem tylko mój obowiązek — zauważył pan Henryk i podał rękę Walentemu.

Pan Henryk przyjął mile wdzięczne słowa Walentego i cieszył się oglądzie młodzieńca. Znając życie Basi wiedział, że rodzice jej posiadali małe tylko gospodarstwo w Grzybowie, stąd i mienie ich było skromne; wiadomem mu też było, iż wcześniej pomarli, zostawiwszy sieroty drobne jeszcze, tem więcej umiał cenić Walentego i Basię, bo to, co dziś posiadali, ogładę, wiedzę i stanowisko, było wyłącznie ich własną zasługą! To było owocem dobrej woli i pracy, a źródłem, z którego tryskały ożywcze chęci do walki z życiem, było zamiłowanie i dążenie ku dobremu i szlachetnemu, które dzieciom w spadku zostawili rodzice ubodzy, prości, ale uczciwi. Dzieci, maleńkie jeszcze wówczas, nie pojmowały zupełnie jasno, co dobre i złe, ale były do dobrego przyzwyczajone od kolebki. Złote ziarno, rzucone ręką rodziców na dziewiczą glebę dzieci, wsiąkło w ich serca i zakiełkowało, wydając kwiat cudnej piękności!

Pan Henryk wprowadził Walentego do Basi, która od dwóch dni wstawała. Walenty wyciągnął do niej czule ramiona, Basia z okrzykiem radości rzuciła się bratu w objęcia. W serdecznych uściskach ronili łzy szczęścia i bólu, który świeżo im tkwił w sercu i pamięci.

Pan Henryk nacieszywszy się do woli widokiem szczęścia tych dwojga, wyszedł.

Wówczas zaczęło się szczegółowe opowiadanie Basi.

Walek był w obawie, czy Kazimierz nie ośmielił się za bardzo do siostry.

— Ojciec niebieski mię strzegł i Anioł Stróż! — szepnęła Basia, ocierając łzy.

— O łotry! łotry! — wołał w oburzeniu Walek — myśląc o Kazimierzu i Antku — ścigać ich będą i muszą być ukarani!

— Nie mścij się, Waluś — błagała Basia — tem mi bólu nie wynagrodzisz, Bóg wie, co się stało z Kazimierzem?! Miałam dziś straszne sny, trumny, i krzyże stały wkoło niego, a on sam wyglądał jak po śmierci!

— I ty go jeszcze bierzesz w obronę, Basiu? Alboż nie masz żółci w sobie?

— Błagał mię o przebaczenie... przebaczyłam... i mścić się nie pozwolę! — mówiło dziewczę stanowczo.

— Ale tu chodzi o ukaranie złego czynu! Tu musi być wymierzona sprawiedliwość!

— Masz słuszność, ale w tym przypadku ta kara zasłużona i sprawiedliwa sama przyjdzie i strasznie chłostać będzie biednego grzesznika!

— Jakże mi to wytłómaczysz?

— Powiem ci: u Kazimierza był szal z początku, płomień ten zatlił iskrę czystej miłości i ona go palić więcej będzie, niż namiętność chwilowa, bo jest trwalsza. Pielęgnował mię tu w chorobie z wielkiem poświęceniem, marnując zdrowie czuwaniem przez długie noce, z narażeniem bezpieczeństwa swojej osoby, bo wiedział już wówczas, że go ścigają. O ile mi potem opowiadała Wojciechowa, bo w pierwszym tygodniu choroby byłam nieprzytomną, to z ogromną nieśmiałością i czią

zbliżał się ku mnie, a godzinami wpatrywał się w twarz moją wybladłą i łzy ronił!

— Więc jednak ma w sobie trochę sumienia i szlachetności! — zawołał Walenty. — Ha, jeśli tak, to nie byłby nigdy tak postąpił, gdyby nie Antek! To jest podłość uosobiona, dla której niema nic świętego na świecie!

Potwierdzeniem słów Basi był list Kazimierza do dziewczeczki, który właśnie w tej chwili jej wręczono.

Walek rozerwał kopertę i czytał głośno:

„Nie przeklinaj mię, Basiu, jeśliś żywa, ale błogosław! Jestem sierotą i żebrakiem bez dachu! Z bólu tracę zmysły... idę w świat, gdzie mię oczy poniosą! Matkę dobiłem winą moją, ojciec skonał, przeklinając mię! O, chociaż ty jedna błogosław mi, żebym się stał dobrym i uczciwym, jak ci to przysiągłem przy łożu twojem! Błogosław mi, żebym kiedyś mógł być podobnym do ciebie, o ty święta, święta moja!“ — Kazimierz.

Basi łzy toczyły się po twarzy, bo zrozumiała żal grzesznika i straszne jego nieszczęście, a Walek umocnił się w swoim przekonaniu, że Kazimierz działał pod wpływem Antoniego Wróblika, i że dusza młodzieńca nie była jeszcze zupełnie zatruta podłością; zostało w niej jeszcze coś lepszego.

Nazajutrz wybrał się Walenty z Basią w podróż do Łodzi, dziękując wdzięcznem sercem dobrodziejom swoim i nagradzając służbę, która się krzątała około chorej. Po drodze wstąpili do Lipnika, borowego; Basia odezwała się doń słodkim głosem:



— Gdyby nie wasze dobre serce i silne ramię, byłabym tu zmarniała w tym borze! Niech Pan Bóg wam za to błogosławi na dzieciach! — I uścisnęła serdecznie dłoń starca.

To samo uczynił Walenty, dając Wosiowi kilka rubli w rękę.

Lipnik spojrzał na brykę i woźnicę, po chwili skinął na Walentego i szepnął mu na ucho:

— To ten sam żyd, co pannę przywiózł z Wagańca i tego nędznika przechowywał — to lis, lis, a chciwy jak wilk!

Basia dopiero teraz zauważyła Mayera, więc zadrżała w pierwszej chwili, ale wnet nabrała otuchy, widząc brata przy sobie.

Gdy dojeżdżali do Wagańca, Walek zaczął rozmowę z Mayerem:

— To wy, Mayer, woziliście siostrę moją ze stacji do gospody?

— A ja! gewiss, pocóżbym nie miał jej wozić, ja pilnuje se kazdego zarobku!

— Musieliście poznać, że to nieczysta sprawa?

— Ja nic ne wiedział, skąd ja miałbym wiedzec? Kazalj — jechalem i już!

— Przecież Kazimierz Sum był u was wpierw i zamówił pokój dla Basi?

— A byl — gewiss byl! Kazal dla sostry sykowac izbe i miec ciepło herbate. Rebeka nic ne wiedzała, i ja nic — i bachory nic! Czybym ja se w to wdawal, to nieladna rzec! Kein Geschäft! ne! ne! Kein Geschäft!

— Pamiętajcie — rzekł Wałenty głosem ponurym i groźnym, wychodząc w Wagańcu z bryki — że mam was w rękę! I biada wam, skorobyście się wdawali raz jeszcze w tak brudne i podłe sprawy... wtedy będzie... Sybir!

Żyd zbladł i oniemiał, a zanim przytomność odzyskał, Basi i Walka już nie było.

— Co to za ostry człowiek — szepnął po chwili — z nim nie ma co żartować — kein Geschäft! Br — br — br — chłodno, jakby kto lód z Sybiru kład na grzbiet! Br — br — br.

Tu żyd obejrzał się ostrożnie wkoło, nagle śmignął batem i ruszył galopem z miejsca.

Stefan chodził na każdy pociąg, którym przybyć mogła Basia, wreszcie doczekał się jej wieczorem.

Z jakąż troskliwością i obawą spoglądał w jej oczy, czy blasku swojego nie straciły, czy lica zachowały świeżość i nieszczęśliwa intryga nie odebrała jej słodkiego uśmiechu, którym go oczarowała? Basia wyglądała blado i znużono, ale zobaczywszy Stefana, ożywiła się, tak, że na razie żadnej zmiany nie spostrzegł, a musiała się też rozpromienić, mając tyle świeżych dowodów przywiązania narzeczonego. Wszystko znalazła w swoim pokoju, co tylko możliwe, żeby dusza miała rozrywkę, a ciało wygodę. Urządzenie kącika dla Basi było jedynie zasługą Stefana. Cieszyła się też wszystkim, nie miała jednak tej naturalnej swobody, co dawniej, nieraz wpadała w smutną zadumę, to bolało Stefana. Troska jego zwiększyła się jeszcze,

skoro dostrzegł łzy w oczach Basi przy opowiadaniu Walentego o nieszczęściach Kazimierza.

— Czuje litość nad nim... pomyślał — a może go i pokochała? — Tu począł sobie wyrzucać, że był opieszalym w pisywaniu listów do Basi, cały czas swój poświęcając sprawom pana Minda.

— Jeśli tamtego pokochała — sam winien jestem! — zastanawiał się Stefan, wzdychając głęboko.

Wtem zapytał go Walenty:

— Czy niema listu do mnie?

— Owszem, jest — mam go nawet przy sobie — tu podał pismo Walentemu.

— To ręka Kazimierza! — zawołał młody Dąbek.

— Stefan spojrział na Basię, a dziewczeczka spuściła oczy ku ziemi.

— Och! ona go kocha! — pomyślał narzeczony i straszny ból uczuł w sercu!

Walek czytał w głos:

„Wykradłem Basię, bom ją kochał i Kocham, ale jej nie ukrzywdziłem! Niewinna i święta jest jak anioł! Rozchorowała się i leży we dworze, w Zaporowie, w Królestwie Polskim, w bok Wagańca. — Nie przeklinaj mię, Walku, bom już przeklęty przez Ojca! Nie szukaj i nie ścigaj mię, bo nikt mię nie znajdzie... odpokutuję sam winy moje! — Ojciec wydziedziczył mię, chatkę waszą i ziemię testamentem oddaje wam za połowę ceny dawniejszej — bierz ją! Niech się dzieje wola Ojca mojego!

Kazimierz.

— Szaleniec! — zawołał z oburzeniem Stefan i utkwiał wzrok w Basi.

— Szaleniec, prawda, ale dziś biedny i nie-szczęśliwy człowiek! — dorzucił Walenty.

— I ty się nad nim litujesz, Walenty? Ty, któremu tyle sprawił niepokoju i zgryzoty i nieledwie siostry nie zabił?

— Muszę i ja nad nim mieć miłosierdzie, skoro mu i Basia przebaczyła. Czytaj list Kazimierza, pisany do siostry, a poznasz, że w nim dusza jeszcze nie zasnęła na wieki i obudzić się jeszcze może i za-tęsknić do niebieskiej ojczyzny swojej!

Tu Walenty podał pierwszy list Kazimierza narzeczonemu Basi.

Młodzieniec zabrał się do czytania pisma z chciwością, a krew uderzyła mu do głowy. Twarz miał purpurową, oczy zaiskrzzone. Po kilka razy odczytując pismo, spoglądał ukradkiem na Basię. I spotkały się naraz ich spojrzenia: Stefan w oczach dziewczki dostrzegł litość, ale i smutek. Smutek ten był mu podejrzliwy. Basia w ruchach jego i wzroku dopatrzyła się niepokoju i braku pewności, tak, jakby w sercu Stefana spoczywało jeszcze coś ukrytego.

— Może zajął się Gretą? — zauważyła w duchu — pytanie, czy Antek i Kazimierz kłamali! Albo też jest zazdrosny o Suma i posądza mię! — Po wyjściu Stefana, pytała się Basia Walka, gdzie bywają wieczorami?

— Nigdzie! zatrudnialiśmy się pisaniem; ale dlaczego się pytasz?



— Słyszałam, że bywaliście u kupca Brandta.

— Byliśmy tam raz jedyny! Gwałtem nas wciągnięto! Brandt urządził zabawę i brakowało młodzieży do tańca.

— Czy Brandt ma córkę, Gretę?

— Zdaje mi się, że Greta jej na imię.

— A ładna?

— Dosyć, ale sztywna. Skąd wiesz o Grecie?

— Od Antka i Kazimierza.

— Oczernili nas! Mię, czy Stefana?

— Stefana!

— I ty wierzysz, Basiu?

— Nie chciałabym uwierzyć, ale posądzenie i nieufność budzi się w sercu mimowoli.

— Niech się Stefan sam tłumaczy! — rzekł Walenty na dobranoc siostrze i oddał ją pod opiekę bardzo uczciwej i starszej rodziny Klasów.

— Niech się Stefan sam tłumaczy — powtórzyła sobie w myśli Basia słowa brata, skoro drzwi się za nim zamknęły — więc jest jednak powód do tłumaczenia się! I coraz większy niepokój ją ogarniał i zwątpienie o przywiązaniu Stefana na dobre zakradło się do serca dziewczki.

Następnego dnia, w południe, wpadli obydwaj młodzi do Basi, chcąc się dowiedzieć o jej zdrowiu. Stefan jakoś smutnie i ponuro patrzył na Basię, a Basia stawała się sztywna i obojętna. Walenty widząc tę zmianę w ich usposobieniach, nie mógł dłużej wytrzymać.

— Słuchajcie — rzekł poważnie — coś się w was burzy i gotuje; tak dłużej być nie może, bo

dobrej i szczęśliwej przyszłości wam nie wróżę! Więc dalej, wyrzucajcie wszystko, co macie na sercu! Stefan, mów, co tobie? Wiesz, że lubię otwartość. Może masz inne... świeże zamiary?

— Ja? inne zamiary? — odezwał się Stefan głosem, pełnym zdziwienia. — Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć?

— Może uczucia twoje zwróciły się do kogo innego?

Basia zadrżała, zadrżał i Stefan i oblał się krwią.

— Moje uczucia miałyby się zwrócić do kogo innego?... Chyba Basi...

— Co, moje?! — zawołała Basia z oburzeniem. — O co mię posądzasz?

— O miłość do Kazimierza... szepnął cicho Stefan.

— Boże! — jęknęło dziewczę z boleścią — jeszcze i to!

— Więc przepraszam cię, Basieczko droga i jedyna moja, jeśli tak nie jest, ale widząc zmianę w tobie, sądziłem, że litość zrodziła miłość!

— W tobie większą spostrzegłam zmianę, Stefanie!

— Więc o co ty mię podejrzewasz, Basiu?

— O zajęcie się Gretą Brandt!

— Gretą Brandt! Cha, cha, cha, tu Stefan wybuchnął śmiechem serdecznym, uchwycił ręce Basi i ucałował je czule.

Pojednanie było łatwe i znów powróciła swoboda i szczęście do serca Basi i Stefana. W kilka dni później przybyła dobra Koziółczykowa z Leosią.

Zacna ta kobieta, z pospiechem nie do opisania, posprzedawszy sprzęty swoje i nie namyślając się wielce, na wezwanie Walentego podążyła do Łodzi. Dla niej Basia i Leosia były jak córki; kochała też Walentego i Stefana, bo widziała w nich zacność i szlachetność.

Leosia w czarnej, żałobnej sukience była jeszcze smętniejsza i powabniejsza, pełna tajemnego uroku. Walenty zobaczywszy ją, aż zajaśniał całym wielkiem zadowoleniem.

— O, jak mogłem żyć tak daleko od niej! Piękna i niewinna! — pomyślał, witając narzeczoną z szacunkiem i słodyczą.

Stara Koziółczykowa litowała się nad wybladłą Basią i poczęła ją pielęgnować, żeby dziewczeczka znów zakwitła jak róża.

Przyjemną, a zarazem dziwną było dla Koziółczykowej niespodzianką, że Basia spotkać się musiała w nieszczęściu swoim z Pawłową, siostrą jej, w Zaporowie.

— Widzisz kochanko — zauważyła staruszka — zwracając się do Basi — jak to wszędzie Pan Bóg czuwa nad uciśnionymi!

Wkrótce przybył młody pan Mind do Łodzi, żeby dać świeże polecenie co do wewnętrznego urządzenia fabryki. Dowiedziawszy się na wstępie o zajściu z Kazimierzem i o cierpieniach Basi, zacny chlebobawca odezwał się do Walentego i Stefana w te słowa:

— Najmijcie pomieszkania, panowie, i żeńcie się, a nie dajcie cierpieć tym biednym istotom, które po-

trzeba ją troskliwej opieki. O cóż wam chodzi właściwie? Angażowani jesteście, fabryka wprawdzie jeszcze nie wykończona, ale daję wam słowo honoru, że ustaleniu tu będziecie w Łodzi.

— Nie chcielibyśmy się odrywać od pracy, pierwszym jest dobro chlebobdawcy, skoro się jest zależnym — odezwał się Stefan.

— Cenię waszą sumienność i zacność, stąd chcę też was zastąpić na dni tych kilka w fabryce, ale nie pozwolę zaniedbywać i osobistego waszego szczęścia, tem bardziej, że dzielić je macie z osobami wam drogiemi. Chcę was widzieć szczęśliwymi i zadowolonymi, bo jako chlebobdawca mam do tego prawo! Jedno sobie zastrzegam, że w dniu tym uroczystym podejmować będę młode pary u siebie; w pierw jednak musicie mię zaprosić na ślub, bo zaszczyt ten należy mi się, jako waszemu szefowi!

Godny chlebobdawca codziennie parł na Walentego i Stefana, żeby się krzątali około gniazd swoich. Nasi młodzieńcy zanadto byli uczciwi, żeby li tylko myśleć o sobie, powierzyli więc swoje sprawy domowe zacnej staruszce, dopomagając jej wieczorami, a sami nie odrywali się od zwykłej pracy. Dobra Koziółczykowa ledwie płuc nie wyzionęła od biegania wszelkiego; całe urządzenie pomieszkań dla par młodych spoczywało na jej głowie, a ręce Basi i Leosi upiększały skromne, lecz miłe kąty zacisza domowego.

Walenty i Stefan, myśląc o bliskim szczęściu swoim, nie zaniedbywali bynajmniej obowiązków



swoich, a zwłaszcza też teraz, po świeżym dowodzie przychylności pana Minda, tem pilniej krzatali się w fabryce, ustawiając olbrzymie maszyny. Wkrótce też w tych świeżo wzniesionych murach, zawrzało życie fabryczne z całą swoją siłą:

Warczały koła, szeleściały pasy, para dysząc ciężko, świsnęła niekiedy lekko i krótko, a młoty wydawały huk ponury, jednostajny.

Inspekcję fabryki powierzono Walentemu Dąbkowi, a jako prawą rękę dodano mu Stefana. Więc los młodzieńców, pomimo złości ludzkiej i intryg podstępnych i podłych, był ustalony, do szczęścia ich zupełnego brakowało im tylko jeszcze połączenia się dozgonnym ślubem z Leosią i z Basią. I dzień ten był także oznaczony i bliski; a sposobili się do niego długo i szczerze, z modlitwą na ustach, wiedząc, że od błogosławieństwa Bożego całe ich szczęście przyszłe zależeć będzie.

\*

\*

\*

Któregoś pogodnego dnia świątecznego stanął niewielki orszak ślubny przed ołtarzem kościoła katolickiego w Łodzi, a osobliwością jego były dwie młode pary, nie jedna, jak to zwykle bywa.

Przed ołtarzem stanął ks. Przyłbicki. Basia i Leosia, w śnieżnych szatach, bielily się jak lilje z obliczem pogodnym i czystym spojrzeniem, a Walenty i Stefan, z podniesionem nieco czołem w szlachetnej postawie, przedstawiali się jak dęby młode, silne, a proste w swojej zacności, mające być podporami uroczych kwiatów.

— Co za piękne drzewa i kwiaty w Bożym ogródku! — pomyślał ks. Przyłbicki i serdecznie i tkliwie do nowożeńców przemówił.

Po uroczystym akcie kościelnym pan Mind rozkazał dorożkarzom jechać do hotelu, gdzie sutą uczcią podejmował młode pary i ich gości.

Przy bliższem zapoznaniu się z ks. Przyłbickim i panem Pączkowskim, dowiedział się pan Mind o testamencie starego Suma, więc i o tem, że chatkę po Dąbkowej z ziemią i gospodarstwo po Wróblkach każdej chwili nabyć można. Pan Pączkowski zwrócił uwagę fabrykanta i na to, że w całej okolicy Grzybowa, w obwodzie przeszło piętnasto milowym, nie ma żadnej fabryki machin i że świetny byłby interes fabrykę podobną wystawić. Pan Mind uśmiechnął się do tej myśli, jak do wschodzącego słońca.

Żegnając się z młodemi parami, rzucił fabrykant przelotnie:

— Pójdę i ja wkrótce waszym śladem!

Trzeciego dnia po uroczystości ślubnej, wezwał do siebie Walentego i rzekł mu poważnie:

— Wybierzecie się pewnie państwo teraz i do Grzybowa. Chatę waszą nabyć można, jeżeli są trudności jakie, to służę panu chętnie pożyczką. Przy tej sposobności proszę, żeby pan i moje sprawy załatwił i kupił dla mnie gospodarstwo po Wróblkach. — Walentemu zabrakło słów na wyrażenie wdzięczności panu Mindowi, lzy cisnęły mu się gwałtem do ocz, wreszcie nie mogąc dłużej wzru-

szenia wstrzymać, wybuchnął urywanym łkaniem. Po chwili przemógł się i zawołał tłumionym głosem:

— Więc będę ją miał, tę ukochaną, chatę, którą zdobywałem całym życiem mojem! i to za łaską Bożą z ręki twojej zacny i szlachetny chlebobawco!

Młody fabrykant spojrział na Walentego załzawionemi oczyma a ściskając dłoń jego serdecznie zauważył:

— Zdobyłeś pan chatę jedynie swoją zasługą!

Cały oszołomiony tą pomyślną wiadomością, wpadł Walenty do domu swego i do Stefana i Basi, a radość i niesłychane szczęście tryskało z jego twarzy!

Nazajutrz wiozł pociąg młode pary do Prus Zachodnich. Pierwszem miejscem odwiedzin były ukochane ich groby, zatrzymali się też i przy mogiłach Wróblika i Suma.

— Gdyby nie oni — mówił Walenty, wskazując miejsce spoczynku dwóch tych osadników — nie bylibyśmy może dziś tak szczęśliwi, ani tak zabezpieczeni na stanowiskach! Prześladowanie wyrabia charakter!

Po przywitaniu się z ks. Przyłbickim, dążyły młode pary do Grzybowa, gdzie gościnnie i serdecznie je przyjęto w domu państwa Pączkowskich.

Wielkie było zdziwienie Walentego, gdy tu zastał pana Henryka.

Młody lekarz witając się z Walentym, rzucił mu na ucho:

— Nie patrz pan na mnie wielkiemi oczyma! Rzecz prosta i jasna, panna Anna Pączkowska za

dużo ma czaru obok niewinności, żeby za nią nie pogonić... Proszę mi tylko opinii tu nie psuć!

— Chyba ją ustroję w najszlachetniejsze czyny!  
— zauważył Walenty.

Następnego dnia, na wezwanie Dąbka, stawił się Jan Mrozek jako wykonawca ostatniej woli starego Suma. Zobaczywszy Basię, przywitał ją ze czcią wielką, lecz smutek patrzył z zamglonych ocz jej; dłoń była dziewczeczka bowiem już straconą!

Długo potem rozmawiał Jan z Walkiem i zgodził się chętnie na sprzedaż posiadłości po Sumie. Pan Mind nabył więc gospodarstwo po Wróblkach, a Walenty Dąbek, dawniejszą chatę i glebę rodziców swoich.

Władek Wróblik, który trwał przy dobrem, miał się odtąd zajmować gospodarstwem męskim w świeżo nabytej posiadłości, a zacna Koziółczykowa, gospodarstwem kobiecem.

Po załatwieniu wszelkich formalności sprzedaży, skoro już ziemia była własnością Walentego, udały się obiedwie młode pary do ukochanej chaty swojej, roniąc łzy gorące.

Tu Walenty objął czule ramieniem żonę i siostrę, wznosząc w niebo oczy pełne łez, zawołał drżącymi ustami:

— O chwala Ci, Boże, za to największe i najmiłsze mi zwycięstwo w życiu — za ukochaną moją chatę!



## ROZDZIAŁ VII.

---

Minęło lat kilkanaście; życie naszych znajomych snuło się jednostajnym trybem w fabryce i w zaciszu domowym. W fabryce był zawsze ruch wielki i hałaśliwy, w kąciach domowych ciche szczęście, oparte na czystych i szlachetnych uczuciach.

Walenty Dąbek z roku na rok rosł w znaczenie u chlebodawcy i u ludzi, a z szacunkiem i uznaniem pracy, rosły też i dochody.

To samo nieledwie można było powiedzieć i o Stefanie, chociaż o wiele mniejsze miał zdolności, więc nie mógł sobie zdobyć tak świetnego stanowiska, jakie osiągnął Walenty, ale i jego dochody były dość znaczne.

Twarz Stefana i Basi tryskała zadowoleniem i szczęściem, a przy nich promieniał stary Rychlik.

Na gruncie Wróblików stała dziś fabryka machin; postawił ją młody Mind, przyjmując za współnika Walentego Dąbka. Stefan zaś został z Basią w Łodzi i objął stanowisko po Walentym.

Obok chatki Dąbkowej, odświeżonej i otulonej najpiękniejszymi krzewami, wabiła oko przechodnia ładna, elegancka wila w Grzybówie, — było to pomieszkanie Walentego Dąbka i jego rodziny. Biuro dla siebie urządził młody fabrykant w ukochanej chatce... w niej najchętniej pracował i przesiadywał. W niej czuł nad sobą błogosławieństwo umierającej matki i błogo mu z niem było!

Na biurku w chatce, obok książek fabrycznych, leżało wspaniałe album rysunków Grotgera. Był to dar Stefana i Basi. Walenty, zaciągając raz poraz do albumu, zwykł był mawiać:

— Och! ta przeszłość nasza, ileż pochłonęła ofiar i łez! Oby z nich wyrosły czyny, pełne chwały dla nas, oparte na zamiłowaniu do pracy i wiedzy!

Władysław Wróblík krzątał się gorliwie w fabryce, gdzie go umieścił Walenty, dając mu dobrą posadę.

Zacna Koziółczykowa trudniła się jeszcze zawsze gospodarstwem domowem, a dobrze jej było i przyjemnie u łagodnej Leosi. Basia nieraz tęskniąc za opiekunką swoją, przetrzymywała ją miesiącami u siebie. Obdarzała ją wtedy wszelką wygodą tak, jak to zrobiła z ojcem Stefana, którego przytułiła do swego ogniska domowego, szczerze go kochając.

Miłym nieraz gościem w domu Stefana i Basi był Henryk. Wybrał on sobie pannę Annę Pączkowską za towarzyszkę życia i osiedlił się jako lekarz w Łodzi.

Stara Wróblíkowa umarła w zakładzie obłąkanych na rękach Władysława i Walentego, którzy ją często odwiedzali. Pamiętała i o niej Basia, przysyłając jej przysmaki do zakładu. Kasia, Marta i Antek zapomnieli o matce. Kasia nadto zmarnowała się wkrótce i zgasła w szpitalu innowierców bez pociech religijnych.

Antek poczynił oszustwa, a czując wiecznie nad sobą miecz sprawiedliwości, umknął z Martą do Ameryki, gdzie skończył jako opój. Od kilku lat był

już zdegradowany z podoficerstwa; prócz tego spotkała go także kara za namawianie Kazimierza do podłego czynu i zyczynienia się do wykradzenia Basi.

Marta została sama, jak kołek, na drugiej półkuli, pracowała ciężko na chleb, złorzecząc w duszy, Kasi i Antoniemu.

Jan Mrozek prędzej się nie ożenił, aż znalazł Basię!

Nie była to wprawdzie dobra i słodka Basia Dąbkówna, ale uczciwa i łagodna osoba.

Walenty i Leosia stali się błogosławieństwem dla całej okolicy. Nie było nędzarza, żeby go nie wspierali, nie było smutnego i strapionego, żeby go nie pocieszali, chorych pielęgowali i odwiedzali, słowem pełnili wszelkie miłosierne uczynki, które chrześcijanie pełnić powinni. A najchętniej wspierał Walenty radą młodzież, mogąc całe życie swoje postawić jej na przykład!

Dobroczynność młodych Dąbków była znana, często gęsto pukano o jałmużnę do pięknej wili. Któregoś dnia, po południu, zastukał i zakonnik do drzwi gościnnych.

Walenty wyszedł zaraz na jego spotkanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — szepnął mnich.

— Na wieki! — brzmiała odpowiedź Walentego.

— Czy tu mieszka Walenty Dąbek? — pytał zakonnik drżącym głosem.

— Na usługi! ale proszę wejść i zająć miejsce.

— Nie mogę...

— Dlaczego?

— Aż mi przebaczysz...

— Kim jesteś? na Boga!

Tu Walenty przypatrzył się dobrze, lecz oczom jeszcze nie wierzył! Zmiana była zbyt wielka!

Zakonnik miał twarz strasznie wychudzoną, nos sterczący, głowę gołą, a oczy wciśnięte w głąb czaszki, wszakże oczy te żarzyły się podobnie, jak oczy Kazimierza.

— Nie poznałeś mię? — szepnął zakonnik — Kazimierz Sum! dziś mnich i pokutnik!

Walenty roztworzył swoje ramiona i przycisnął go do serca ze łzą w oku. Zaprosiwszy potem Kazimierza do stołu, opowiedział mu, że chatę dawniejszą po rodzicach nabył i pieniądze za nią złożył w obecności Jana Mrozka w banku, na imię i nazwisko Kazimierza Suma, i że każdej chwili je odebrać może.

— Dobrze — zawołał zakonnik — zabiorę pieniądze dla naszych biednych chłopców, wychowalców zakładu; pójdą na dobre cele! Niech się spełni wola ojca! Dla mnie dziś wystarczy uboga sukienka zakonna!...

W toku rozmowy pytał się też Kazimierz i o Basię, a nasłuchawszy się o jej szczęściu, rzekł uroczystym głosem:

— O, powiedz Basi, Walenty, iż to dziełem jej czystego serca, że dziś chodzę w szacie zakonnej i że może zdołam pokutą przebłagać Stwórcę za podłe czyny moje!



Pobożny zakonnik przenocował w wili, pobłogosławił zacisze domowe Walentego i Leosi i znikł na drodze, wiodącej do wsi kościelnej. Tam wszedłszy niepostrzeżony na cmentarz, obejrzał się wokoło:

— Co za zmiana! — krzyknął uradowany. — Oczy jego spostrzegły ładne nagrobki z piaskowca, żelaza, nawet i z marmuru, obwiedzione kratami. Na grobach Dąbków stał piękny krzyż, płyty kamienne leżały na mogiłach rodziców Leosi i Motkowej, nawet i Wróblików groby były uporządkowane i ogrodzone.

— A gdzież moje mogiły? Gdzież one są? — pytał się sam siebie zakonnik i począł pilnie szukać... i znalazł je, lecz oczom nie wierzył.

Przy grobie ojca, na krzyżu spostrzegł napis, więc czytał w głos:

„Synu! przebaczam ci, skoroś pokutę czynił, tak, jak pragnę, żeby mnie Pan Bóg odpuścił winy moje!“

— Boże mój! Boże! — jęknął Kazimierz, rzucając się z płaczem na grób ojca i matki.

W tej chwili na niebie wiatr przepędził chmury, a słońce zaświeciło jaskrawo. Jasne promienie światła padły na głowę Kazimierza i otoczyły ją aureolą świętości.

Zakonnik modlił się jeszcze długo, bardzo długo, wstał wreszcie, ale uczuł się dziwnie pokrzepiony na duchu.

— O błogosławione te ręce, które krzyż ten postawiły! — zawołał z uniesieniem.

— I błogosławionys ty, synu, boś pokutę czynił! — zabrzmiał głos poważny i słodki. Zakonnik obejrzał się. Za nim stał ks. Przyłbicki, biały jak gołąb i cały drżący.

Zobaczywszy przez okno plebanji zakonnika, podążył do niego na cmentarz, a po głosie poznał zaraz Kazimierza Suma.

Zacny kapłan położył dłoń na jego ramieniu i przemówił doń serdecznie:

— Wszystko, co tu widzisz, to jest zasługą Basi i Walentego, szlachetne ich serca pamiętają o żywych i o umarłych! — O, jakżeż się cieszę — dodał po chwili — że ciebie widzę w tej skromnej sukience! Duszę, z takim usposobieniem jak twoje, pozyskać Bogu, to więcej, niż zwycięstwo!

Ks. Przyłbicki prowadząc Kazimierza do plebanji, wlewał mu niesłychany spokój w serce słodkimi słowy, mówiąc o miłosierdziu Bożem, tak wielkiem i nieprzebranem!

Skoro zaświtał brzask poranny, wyruszył znów Kazimierz w świat, lecz nie szedł już jak grzesznik, z ponurem spojrzeniem, ale jak człowiek zacny, z pogodnem obliczem, szerzyć chwałę Bożą i pełnić dobre uczynki.



INSTITUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-250 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-54-31 w. 48











F  
1375